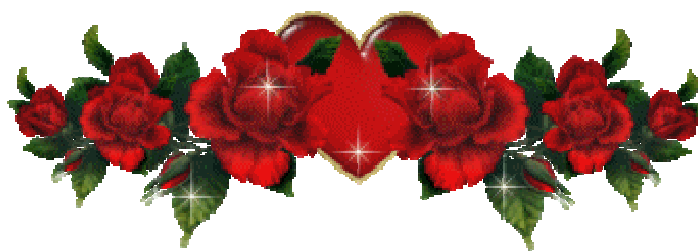




*Christine Flynn*

---



*Radosne święta*

---

## Prolog

Rebeka stała przed lustrem w garderobie, zastanawiając się, co na siebie włożyć. Wyciągnąwszy z szafy wszystkie czarne spódnice, rozłożyła je na łóżku. Skąpy seksowny top czy nieco bardziej konserwatywny sweter? - rozważała, kiedy zadzwonił telefon.

Zanim podniosła słuchawkę i przycisnęła ją brodą do ramienia, zerknęła przelotnie na wyświetlacz.

- Cześć, Jack! - zawołała, przykładając do siebie kolejne bluzki. - Właśnie o tobie myślałam. Wiesz już, gdzie chcesz pójść na kolację?

Cisza.

- Jack? Jesteś tam? - zaniepokoiła się.

- Jestem. - W jego głosie słychać było wyraźne wahanie. - Byłem u ciebie kilka godzin temu, ale nie zastałem cię w domu.

- Zeszło mi się trochę w punkcie ksero. Nie mieli gotowych moich odbitek, więc musiałam poczekać.

- W sumie może to i lepiej. Teraz to ona się zawahała.

- Co lepiej?

Wydawało jej się, że usłyszała po drugiej stronie z trudem tłumione westchnienie. Poczowała się niezręczne, zwłaszcza że nie miała pojęcia, po co zadzwonił.

- Jack, jesteś prawnikiem. - Był także pasierbem mężczyzny, który mógł się okazać jej biologicznym ojcem. Tak przynajmniej sądziła. Dlatego zależało jej na tym, żeby go poznać. W tej chwili powód jej przyjazdu do Rosewood nie miał jednak żadnego znaczenia, tym bardziej

że Jack nie znał jej motywów. - Nie owijaj w bawełnę i powiedz mi, o co chodzi.

- Dobrze. No, więc... rzecz w tym, że... Uznałem, że nie powinienem cię dłużej zwodzić - wykrztusił w końcu. - Nic z tego nie będzie. Jesteś wspaniałą dziewczyną, ale mam teraz tyle na głowie. Praca, dzieci...

- Rozumiem. Nie jesteś gotowy na poważny związek - dokończyła za niego. - W każdym razie nie ze mną.

- Dokładnie - odetchnął z ulgą.

Nie mogła uwierzyć, że znów jej się to przytrafia. Pierwszy raz umówiła się z nim tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o domniemanym ojcu, a być może nawet go poznać. Wcale nie chciała, żeby Jack zapraszał ją później na randki. W końcu był wdowcem z dwójką dzieci. Potem wszystko potoczyło się samo. Kilka razy zjedli wspólnie kolację i bardzo się polubili. Tak jej się przynajmniej zdawało. A teraz co? Rzuca ją po kilku tygodniach i zostawia z niczym. A raczej z urażoną dumą i brakiem jakichkolwiek informacji na temat poszukiwanego rodzica.

- Nie przejmuj się. Nie ma sprawy - zapewniła zdecydowanie. Za nic w świecie nie da po sobie poznać, że sposób, w jaki ją potraktował, dotknął ją do żywego.

Szczyliła się tym, że potrafi zachować kamienną twarz. Był to chyba jej jedyny talent, a zarazem najskuteczniejszy mechanizm obronny. Pozostawała niewzruszona, nawet jeśli ktoś mocno ją zranił.

- Trzymaj się ciepło.

- Dziękuję. Ty też.

- Do widzenia, Jack.

Zakończyła rozmowę, zanim zdążył się pożegnać, i zebrała porozrzucane na łóżku spódnice. Kierując się do garderoby, przystanęła na

moment i zwiesiła głowę. Może i pozostawała niewzruszona, ale tylko na pokaz. W rzeczywistości wcale nie była taka twarda, za jaką chciałaby uchodzić.

## Rozdział 1

Ile liści może spaść z jednego drzewa? - zastanawiała się Rebeka, grabiąc ścieżkę w ogródku przed domem przy Danbury Way. Wydawało jej się, że uprzątęła ich już z tonę, a końca wciąż nie było widać.

Szczerze nie cierpiała takich prac, ale przecież nikt za nią tego nie zrobi. Przynajmniej miała czym zająć ręce podczas ponurych rozmyślań. Zaczynała dochodzić do wniosku, że pora zaakceptować fakty. Miała dwadzieścia osiem lat, znakomite wyczucie w sprawach mody, za to kompletny brak wyczucia w doborze życiowych partnerów. Prawdopodobieństwo, że znajdzie szczęście u boku mężczyzny, wydawało się znikome. Jej przyjaciółkom się udało. Większość z nich wyszła za mąż, zaręczyła się lub pozostawała w stałych związkach. W jej wypadku żadna z tych opcji nie wchodziła w rachubę, zwłaszcza po niespodziance, jaką zgotował jej kilka dni temu Jack Lever.

Całe szczęście, że nie zdążyła się w nim zakochać. Owszem, lubiła go, ale nic ponadto. Dzięki temu oszczędziła sobie wielu cierpień. Wprawdzie nie złamał jej serca, jednak czuła się odtrącona i upokorzona.

Niestety, uczucia te nie były jej obce. Doświadczyła ich boleśnie już wcześniej. Na samo wspomnienie tamtych wydarzeń wciąż robiło jej się niedobrze. Pół roku temu zerwał z nią Jason. Zmarnowała przy nim dwa lata, snując marzenia o wspólnej przyszłości, a on, jak gdyby nigdy nic,

poinformował ją któregoś dnia, kiedy wracali z kina, że między nimi koniec. Dwa miesiące po tym, jak oznajmił, że właściwie nigdy jej tak naprawdę nie kochał, ożenił się z inną.

Wyrzucała sobie, że wciąż nie potrafi myśleć o tym przykrym rozstaniu bez gwałtownych emocji. Często zadawała sobie pytanie, czy już zawsze towarzyszyć jej będzie poczucie osamotnienia i odrzucenia.

Poprawiła idealnie dopasowaną do kaszmirowego swetra pomarańczową apaszkę, po czym chwyciła mocno rękojeść grabi i z wigorem zaatakowała liście.

Fatalny finał związku z Jasonem dał początek całej serii niefortunnych zdarzeń. Okoliczności potrafią czasem zmienić życie samotnej dziewczyny w prawdziwy koszmar. Niedługo po perfidnej zdradzie ukochanego uczestniczyła w dwóch hucznych weselach i świętowała razem z przyjaciółkami narodziny córki jednej z nich. Rzecz jasna, cieszyła się szczęściem koleżanek, niemniej tego typu okazje wpędzały ją w stan skrajnego przygnębienia. Przypominały jej o własnych niespełnionych marzeniach.

Wydawało się, że gorzej już być nie może. A jednak. Pewnego dnia włamano się do jej mieszkania na Manhattanie i wyniesiono cały sprzęt elektroniczny. Jej życie prywatne zmierzało donikąd. W dodatku po kradzieży stanęła przed koniecznością płacenia wyższej składki ubezpieczeniowej. Uznała, że pora zacząć wszystko od nowa, gdzie indziej.

Właśnie wtedy postanowiła odnaleźć ojca. Gdyby go wreszcie poznała, może miałyby szansę na stworzenie choćby namiastki rodziny. Potrzebowała odrobiny stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa, których nie zaznała zbyt wiele, wychowywana tylko przez mamę. Z początku wszystko

układało się po jej myśli. Spotkanie z pasierbem ojca okazało się bardzo obiecujące. Zaczęła się nim nawet poważnie interesować...

Wystarczy. Nie będzie tego dłużej roztrząsać. Została porzucona, i to dwa razy z rzędu. Następnym razem, jeżeli będzie jakiś następny raz, to ona pierwsza da facetowi kosza. Nie na odwrót.

Westchnęła zrezygnowana, rozglądając się po ślepej uliczce, przy której wynajmowała uroczą dwupiętrową willę w stylu kolonialnym. Co ona tu właściwie robi? Zamknięta w zbyt dużym domu na przedmieściu, sama z dwoma kotami, które jej nie znoszą. Umowa najmu wygasła za dwa miesiące, a ona nie miała zielonego pojęcia, co dalej robić. W przeciwieństwie do sąsiadek nie miała męża ani dzieci, którymi mogłaby się zająć, a pielęgnowanie trawnika było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Wiedziała, że nie pasuje do tego miejsca. Czuła się tu zupełnie obco.

Szczekanie psa wyrwało ją z zamyślenia, przerywając kwadrans użalania się nad własnym losem. Spojrzała przez ramię w kierunku ogrodzenia. Na filarze murku otaczającego sąsiednią posesję zauważyła puchaty kłębek. Nie miała pojęcia, że jeden z jej podopiecznych uciekł. Wychodząc, zawsze upewniała się, czy dwa futrzaste potwory, które przypadły jej w udziale razem z domem, nie kręcą się w pobliżu drzwi. Widocznie tym razem była zbyt zajęta rozmyślaniami o swoim niepokładanym życiu, żeby tego dopilnować.

Zmarszczyła brwi, zaniepokojona zachowaniem kota. Napinając grzbiet i jeżąc sierść, przyglądał się groźnie czarnemu labradorowi Shibbów. Szczeniak najwyraźniej mylnie odczytał sygnały kocura, bo cały czas radośnie poszczekiwał, wymachując ogonem, jakby upatrzył sobie w nim partnera do zabawy.

Zdziwił ją widok Elmera na ulicy. Jego właściciele, Molly i Adam, byli w pracy. Psiak powinien biegać w ogródku. Widocznie odkrył w sobie talent do robienia podkopów, pomyślała, oparłszy grabie o drzewo. Niestety, spóźniła się z interwencją. Nim otworzyła furtkę, usłyszała przeraźliwy pisk i zawodzenie. Kot dał susa wprost na zaskoczonygo szczeniaka i wczepiwszy się w jego sierść, zaczął zawzięcie drapać. Zanim ich dopadła z zamiarem rozdzielenia, Elmer, otrząsając się zamasyście, zdołał już posłać napastnika w stertę liści kilka metrów dalej, po czym uciekł z podwiniętym ogonem na swoją działkę.

Dopiero po kilku sekundach Rebeka uświadomiła sobie, że cały czas wstrzymuje oddech. Wypuściwszy głośno powietrze, ruszyła w stronę przerażonego kocura, który schronił się na szczycie stosu drewna. Żołądek zacisnął jej się do wielkości ziarnka grochu. W najlepszym wypadku bliskość zwierząt wszelkiego gatunku przyprawiała ją o dreszcze. Nienawykła do ich towarzystwa, zwyczajnie się ich bała, zwłaszcza kiedy ociekały krwią, jednocześnie nieprzyjaźnie pomrukując.

Powtarzała sobie, że jest od niego znacznie większa, ale na niewiele się to zdało. Przez chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem. Nie miała pojęcia, czy ma do czynienia z Kolumbem czy z Magellanem. Nigdy nie potrafiła ich odróżnić. Do tej pory nie odgadła, który z potworów obsikał jej różowe pantofle od Prady. Cóż, nawet jeśli to właśnie ten był sprawcą niecnego czynu, nie mogła pozwolić, żeby wykrwawił się na śmierć.

Postawiwszy ostrożnie stopę na dolnej belce, wyciągnęła do kota rękę.

- Nie zdechniesz na mojej warcie... - Zamierzała dodać „ty mała bestio”, ale wyglądało na to, że zwierzak szykuje się do skoku. Nie chciała ganiać go po całym osiedlu. Chwyciła kota zdecydowanym ruchem w pól,

zanim dał susa ponad jej głowę. Przyciskając do piersi prawie pięć wrywających się rozpaczliwie kilogramów, straciła równowagę. Gdyby nie chwyciła się jakiejś gałęzi, wylądowaliby razem na rabatce.

W nagrodę za uratowanie życia niewdzięczny kocur zadrapał ją w szyję. Syknąwszy z bólu, chwyciła go za łapy i pobiegła do domu.

W redakcji słynęła z tego, że potrafi robić kilka rzeczy naraz, jednak udzielenie pomocy rannemu czworonogowi przerastało jej możliwości. Włożyła go więc razem z czystym ręcznikiem do znalezionej w suszarni transportera dla kotów i upewniwszy się, że jej drugi podopieczny jest w domu, wsiadła z rannym zwierzęciem do samochodu. Na szczęście właściciele domu, państwo Turnerowie, zostawili jej w kuchni listę ważnych telefonów. Bez trudu odnalazła na niej numer i adres kliniki weterynaryjnej. Przed odjazdem zatrzymała na chwilę wóz przed domem Shibbów i zdjawszy z płotu największą doniczkę, zatkała nią dziurę, przez którą Elmer wydostał się na ulicę.

Na wszelki wypadek zadzwoniła do przychodni, żeby uprzedzić lekarza, iż wiezie kota, który brał udział w bójce z psem i okropnie krwawi.

Kilka minut później zaparkowała na jednym z trzech wolnych miejsc na parkingu przed wejściem do kliniki i chwyciwszy transporter, ruszyła biegiem do środka. W progu powitała ją odziana w kitel chirurga nad wyraz opanowana kobieta w średnim wieku i niezwłocznie zaprowadziła do pokoju zabiegowego. Wystraszona Rebeka zdążyła tylko powiedzieć, że przyjechała najszybciej, jak mogła, zanim asystentka weterynarza wyjęła protestującego kota wraz z zakrwawionym ręcznikiem na stół.

- Nie widziałam dokładnie, co się stało. Grabiłam liście w ogródku. W pewnym momencie zauważyłam, że kot siedzi zjeżony na płocie, a pies



szczeka na niego z dołu. Odwróciłam się dosłownie na sekundę, żeby odstawić grabie, kiedy kot przeleciał przez podwórko, a pies uciekł do domu.

- Czy pies trzymał go w pysku?

Zerknęła w stronę mężczyzny, który pojawił się po drugiej stronie stołu. Miał bardzo miły, męski głos. Wzrok dziewczyny prześlizgnął się po ukrytych pod białym kitlem szerokich ramionach, zatrzymując się na dłużej na wyrazistej twarzy lekarza. Starannie przystrzyżone ciemne włosy opadały mu lekko na czoło. Intensywnie niebieskie oczy spojrzały na nią przelotnie, po czym skoncentrowały się na pacjencie.

Doszła do wniosku, że musi być wyjątkowo zestresowana, skoro niemal jej uniknęło, że jest zabójczo przystojny. Wyglądał po prostu bosko, ale jej uwagę zwróciło przede wszystkim to, że dr Joe Hudson, jak informował identyfikator, odnosi się do swoich pacjentów z ogromną delikatnością.

- Nie wiem - odpowiedziała na pytanie, przyglądając się, jak jego dłonie z wprawą obmacują futro kota. Nie nosił obrączki. - Ale wydaje mi się, że tak. Inaczej nie rzuciłby go tak daleko. - Objęła się ramionami. - To wszystko wydarzyło się tak szybko...

- Jak duży był ten pies? - Weterynarz przytrzymał łeppek zwierzęcia, żeby zajrzeć mu w oczy.

- Trzy albo cztery razy większy niż on. Elmer to jeszcze szczeniak, ale dość wyrosnięty. Uratuje go pan? To znaczy kota? Bardzo pana proszę, niech pan powie, że z tego wyjdzie. On... on nie jest mój. Wynajmuję dom od Turnerów... Nawet nie wiem, czy to Kolumb czy Magellan - zakończyła rozpaczliwie. Widząc, że kocur zupełnie się uspokoił, niemal wpadła w

popłoch. Uznała, że jest zbyt słaby, żeby się ruszyć. - Nigdy nie mogę ich odróżnić. Wyglądają zupełnie tak samo.

- Dlaczego zajmuje się pani kotami Turnerów?

- To jeden z warunków wynajmu. Właściciele wyjechali do Europy. Nie ma ich już cztery miesiące, a wracają dopiero za kolejne dwa. Stwierdzili, że koty będą się lepiej czuły w znajomym otoczeniu. Powiedzieli, że wystarczy, żebym je karmiła i czyściła im kuwetę. Miały same zająć się sobą i nie sprawiać kłopotów. Ale ja... nic nie wiem o zwierzętach. Nigdy żadnego nie miałam. - Rebeka wyprostowała nerwowo ramiona i niemal natychmiast skrzyżowała je z powrotem. - Tam, gdzie mieszkałam, nie wolno było trzymać zwierząt. Psy i koty widywałam tylko z daleka.

Najpierw pacjent, pomyślał Joe, potem jego niebywale atrakcyjna opiekunka. Musiał jak najszybciej zidentyfikować źródło krwawienia i sprawdzić, czy nie ma złamań lub obrażeń wewnętrznych. Pobieżne oględziny nie wykazały niczego niepokojącego. Oczy i język w porządku. Zdaje się, że krwawił tylko naderwany koniuszek ucha.

Teraz Joe mógł się zająć uspokajaniem efektownej szatynki, która przywiozła kota. Zachowywała się niczym komar po spożyciu końskiej dawki kofeiny. Wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, a mowa jej ciała była niezwykle wyrazista. Oczywiście, miała prawo niepokoić się o podopiecznego, ale chodziło chyba o coś więcej. Sprawiała wrażenie, jakby nie czuła się swobodnie w nowym otoczeniu. Gotów był się założyć, że nie tylko nie zna się na zwierzętach, ale też zwyczajnie się ich boi. Stałe towarzystwo Kolumba i Magellana z pewnością nie sprawiało jej przyjemności.

Nie wiedząc, jak ją zagadnąć, zaczął przemawiać tonem, którego używał zwykle do osvajania rozdrażnionych czworonogów.

- Boi się go pani?

Miała czekoladowobrązowe włosy, związane nisko w koński ogon, i nieskazitelną cerę. Szary cień do powiek podkreślał błękit jej oczu. Najbardziej spodobały mu się jednak jej usta. Wydatne i lśniące od błyszczczyka, aż się prosiły, żeby je całować.

Rebeka zacisnęła wargi, jakby nie chciała przyznać, że może się czegoś bać.

- Nie ufam stworzeniom, którym nie można przemówić do rozsądku - przyznała, wzruszając smukłymi ramionami.

- Dzieciom też nie?

- Z dziećmi raczej bym sobie poradziła. Mam nadzieję. Na razie rzadko się z nimi stykam, ale to się zmieni. Kiedy znajdę sobie męża. - O ile to kiedykolwiek nastąpi, dodała w duchu. - Co z kotem? Wydobrzeje?

- Nic mu nie będzie. - Joe uśmiechnął się. - Za chwilę sprawdzimy wszystko dokładnie, ale myślę, że krwawienie pochodzi głównie z rany na uchu. Jest lekko naderwane. Trzeba je zdezynfekować i zatrzymać krwotok. Może założę kilka szwów. Tracy - zwrócił się do asystentki - zabierz go do gabinetu i przygotuj do zabiegu. Zaraz do ciebie dołączę. Naprawdę nic mu nie jest - zapewnił jeszcze raz Rebeke i podszedł do umywalki. - Aha, byłbym zapomniał. Nasz pacjent to Kolumb. Teraz, kiedy nie ma połowy ucha, bez trudu odróżni go pani od Magellana. - Umył starannie ręce. - Zanim się nim zajmę, chciałbym rzucić okiem na panią.

- Na mnie?

- Na pani szyję. Nieźle panią zadrapał.

Zamrugła, dotykając palcami rany.

- A tak z ciekawości, jak udało się pani go złapać? - Zdjąwszy z tacy kilka sterylnych wacików i buteleczkę z jakimś medykamentem, postawił je na stole. - Koty są bardzo szybkie.

- Zaskoczyłam go. Siedział na stercie drewna i nie bardzo miał dokąd uciekać.

Kiedy do niej podchodził, dostrzegła pod fartuchem zarys potężnych mięśni. Efekt długich, zmudnych godzin na siłowni, pomyślała, albo ciężkiej fizycznej pracy na świeżym powietrzu. Nie wyglądał na kogoś, kto rzeźbi sylwetkę w fitness klubie.

Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu. Przy swoim metrze sześćdziesięciu siedmiu i pięciocentymetrowych obcasach nie musiała zadzierać głowy, żeby spojrzeć mu w oczy.

Ująwszy ją palcami pod brodę, odchylił jej głowę na bok.

- Rana jest dość głęboka. Zadrapał panią gdzieś jeszcze?

Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Uderzyła ją w nozdrza woń antyseptycznego mydła i wody po goleniu. Nie potrafiła rozpoznać jej marki, ale uznała, że ma bardzo subtelny i przyjemny zapach. Spodobała jej się również delikatność, z jaką jego palce muskały jej szyję. Jakby się bał, że może ją uszkodzić.

- Nie, tylko tutaj.

Opuścił dłoń i sięgnął po białą paczuszkę.

- Jak pani na imię?

- Rebeka. Peters - dodała na wypadek, gdyby potrzebował do dokumentów także nazwiska.

- Okay, pani Rebeko Peters, uwaga, teraz będzie bolało.

- Au! Szczypie! - Gdy nasączony preparatem odkażającym wacik zetknął się z jej skórą, poczuła przyjemny chłód, który sekundę później zmienił się w ostre pieczenie.

- Przepraszam - mruknął i przemył ranę jeszcze raz. - Ostrzegałem panią.

Nie wiadomo dlaczego nagle zapomniała o bólu. Skoncentrowała się na tym, że mężczyzna dotyka bezpośrednio jej skóry.

- Czy to nie jest środek przeznaczony dla zwierząt? - zapytała nieco podejrzliwie.

- Niekoniecznie.

Przyjrzał się dokładnie prawie dziesięciocentymetrowemu zadrapaniu i zadowolony z oględzin posmarował je maścią z antybiotykiem.

- Proszę to wziąć. - Wręczył jej tubkę z resztą leku i uśmiechnął się przyjaźnie. Wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. - Niech pani smaruje kilka razy dziennie. Pójdę teraz ratować kota Turnerów. Może pani tu zostać albo wrócić po niego za godzinę.

Nie czekając na jej decyzję, wyszedł, zostawiając Rebekę samą.

Wrzuciwszy maść do torebki, postanowiła, że jednak nie będzie czekać. Po części ze względu na to, że gdyby została, musiałaby dzielić pomieszczenie z wielkim bernardynem i jakimś bliżej niezidentyfikowanym gryzoniem w klatce. Poza tym nie miała ochoty siedzieć i rozmyślać o Joem Hudsonie, jego nad wyraz delikatnych palcach i o ciepłe, które czuła w całym ciele, kiedy jej dotykał. Kot nie był tak ciężko ranny, jak jej się wydawało. Pan doktor pewnie pomyślał, że jest beznadziejna. Zazwyczaj nie miała skłonności do paniki. Przynajmniej do niedawna.

Zła na samą siebie, doszła do wniosku, że dobrze jej zrobi duża porcja latte.

Wzmocniona podwójną dietetyczną kawą, dokładnie sześćdziesiąt minut później wmaszerowała z powrotem do kliniki. W poczekalni siedział starszy pan z kotem pogrążony w rozmowie z właścicielką pekińczyka, która wykazywała spore podobieństwo do swojego pupila.

Rudowłosą asystentkę zastąpiła w recepcji sympatyczna blondynka z szeroką obrączką na palcu. Dostrzegłszy Rebeke, zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, po czym uśmiechnęła się do niej szeroko. Najwyraźniej została uprzedzona i wiedziała, z kim ma do czynienia.

- Kolumb ma się dobrze - oznajmiła, przekrzykując dzwonek telefonu. - Doktor Hudson ma teraz pacjenta. Będzie pani musiała chwileczkę poczekać. - Podniosła słuchawkę i zajęła się rozmową.

Rebeka przycupnęła ostrożnie na krześle. Nie lubiła siedzieć beczynnie, kiedy była podenerwowana. Czuła się nieswojo, wiedząc, że za chwilę zobaczy się znowu z Joem Hudsonem. Ponadto gnębiła ją obawa, że nie sprosta roli kocięj pielęgniarce.

Dosyć rozczulania się nad sobą, postanowiła zdecydowanie. Wystarczy hysterii, jak na jeden dzień. Choćby ją przypiekali, nie da po sobie poznać, że jest, delikatnie mówiąc, wystraszona. Matka nauczyła ją we wczesnym dzieciństwie, że w życiu zawsze należy nad sobą panować i jak ognia unikać okazywania światu własnych słabości. Na szczęście wzięła sobie tę lekcję do serca. Dorastając w wielkim mieście, nauczyła się, że to jedyny sposób na przetrwanie i utrzymanie się na powierzchni.

Nie oznaczało to oczywiście, że jest całkowicie odporna i że nikt nie może jej zranić. Wręcz przeciwnie. Należała do osób bardzo wrażliwych, ale przyjęła sobie za punkt honoru, że jeśli już musi cierpieć, to tylko w sa-

motności. Ostatnie przejścia z mężczyznami pozbawiły ją nieco pewności siebie, utwierdzając jednocześnie w przekonaniu, że przynajmniej w kontaktach z płcią przeciwną powinna mieć się na baczności.

Kusiło ją, by spalić nadmiar energii, przechadzając się w tę i z powrotem po poczekalni, ale uznała, że byłoby to nie na miejscu. Podeszła więc do ściany i zaczęła z uwagą studiować zdobiącą ją kolekcję fotografii. Zdjęcia zwróciły jej uwagę głównie dlatego, iż wydawało się, że kompletnie nie pasują do otoczenia, zwłaszcza do plakatów ze zwierzętami i rozmaitych ulotek. Był to zbiór pięknie oprawionych pejzaży, który dorównywał poziomem artystycznym niejednej profesjonalnej wystawie, jaką widziała w Nowym Jorku.

- Zrobił je doktor Hudson - usłyszała za plecami głos recepcjonistki.
- Jest miłośnikiem przyrody. Uwielbia bezpośredni kontakt z naturą.

Uśmiechnęła się przez ramię. Powinna się była domyślić. Pan doktor różnił się od większości znanych jej mężczyzn. Emanował wręcz dyskretną tężyzną fizyczną, której nie można nabyć w zamkniętych pomieszczeniach. Piękne, pomyślała, wpatrując się z zachwytem w fotografie. Nie zwracała uwagi na zamieszanie za plecami. Zauważyła tylko, że jakiś pacjent wszedł do recepcji, żeby zapłacić. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiła sobie że ktoś za nią stoi.

Odwróciła się i zobaczyła autora zdjęć we własnej osobie. Uśmiechał się swobodnie, trzymając na ręku Kolumba. Kocur miał zabandażowane jedno ucho i pół łebka. Najwyraźniej był zanadto odurzony lekami, by zareagować na to, że założono mu na kark plastikowy kołnierz do złudzenia przypominający lejek.

Rebeka z miejsca zaczęła się martwić, że nie będzie potrafiła należycie się nim zająć.

- Proszę się nie obawiać - uspokajał ją lekarz. - To tylko tak groźnie wygląda. Rana na karku ma zaledwie trzy centymetry. Założyłem kołnierz, żeby nie ściągnął sobie bandaża i nie rozdrapał szwów.

Mimo tych zapewnień wcale nie poczuła ulgi. Bez przekonania odebrała podopiecznego z rąk doktora Hudsona. Szczerze mówiąc, wolałaby zostawić go pod fachową opieką. Na szczęście Kolumb okazał się całkowicie spacyfikowany. Nie protestował, kiedy wzięła go w ramiona. Dopiero po chwili uwolniła wstrzymywany oddech i uśmiechnęła się niepewnie.

- Ma pan ogromny talent - powiedziała, kiwając głową w stronę zdjęć. - Fotograficzny - wyjaśniła, chociaż niewątpliwie był także zdolnym weterynarzem. - Są naprawdę dobre.

Joe przyglądał jej się z rosnącym zaciekawieniem. Nadal sprawiała wrażenie zdenerwowanej i wciąż bała się kota, ale trzymała go mocno w objęciach, głaszcząc bezwiednie puszystą sierść. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że drzemie w niej silny instynkt opiekuńczy.

- Większość zrobiłem tu, w okolicy. Tylko to z urwiskiem pochodzi z gór w New Hampshire. Lubię się wspinać. A pani?

- Zwisanie ze skały to nie moja specjalność - wyznała szczerze. Na samą myśl o podobnych wyczynach ze strachu oblewała się zimnym potem. - W ogóle nie przepadam za rozrywkami na świeżym powietrzu. Najbliższy kontakt, jaki miewam z przyrodą, to koncerty rockowe w Central Parku.

- W takim razie pewnie interesuje się pani fotografią?

- Nie, to znaczy nie osobiście, ale pracowałam z kilkoma zawodowymi fotografami, więc trochę się na tym znam. Potrafię rozpoznać dobre prace.



- Jest pani modelką?

Uśmiechnęła się rozbawiona, czując w żołądku dziwne mrowienie. Pochlebiało jej to przypuszczenie.

- Nie, ale dziękuję za komplement. Pracuję jako wolny strzelec dla nowojorskiego magazynu mody.

Kiedy zatrzymał wzrok na jej ustach, serce zatrzepotało jej niczym ptaszek na uwięzi.

Uzmysłowiła sobie nagle, że przestał dzwonić telefon, a rozmowa między panem z kotem i panią z pekińczykiem całkowicie ucichła. Dopiero po chwili zauważyła, że stoją z panem doktorem zdecydowanie zbyt blisko siebie. Naturalnie wszyscy, z wyjątkiem zwierząt, gapili się na nich jak na eksponaty w muzeum.

Odchrząknawszy nerwowo, odsunęła się o krok w tył.

- Proszę włożyć kota do transportera. - Joe przysunął kosz i przytrzymał jej klapę.

Jego rudowłosa asystentka podała Rebecce dwie torby z logo kliniki.

- W jednej jest pani ręcznik, w drugiej antybiotyk Kolumba - poinformowała zwięźle.

- Proszę mu podawać lekarstwo dwa razy dziennie w jedzeniu - dorzucił weterynarz. - Jak już wspominałem, założyłem kilka szwów. Rozpuszczą się same, ale chciałbym w przyszłym tygodniu jeszcze raz go zobaczyć i sprawdzić, czy wszystko dobrze się goi. Gdyby przestał nagle jeść albo gdyby miała pani jakieś pytania, proszę zadzwonić. - Posłał jej ostatni, lekko rozkojarzony uśmiech i zniknął w głębi korytarza.

Rebeka umówiła się w recepcji na kolejną wizytę, podziękowała i wyszła, zastanawiając się, co jej strzeliło do głowy. Joe Hudson zdecydowanie nie był w jej typie.

W niczym nie przypominał wytwornych dżentelmenów z wielkowiejskiej socjety, a właśnie tacy zazwyczaj ją pociągali. Zarabiał na życie, lecząc zwierzęta na prowincji. W dodatku uwielbiał przyrodę i dalekie piesze wędrówki. Uprawiał wspinaczkę. Potrafił uspokoić jej tętno niewinnym dotykiem i przyspieszyć je serdecznym uśmiechem.

Przesunęła palcem po zadrapaniu, które niedawno opatrzył, i natychmiast opuściła rękę. Biorąc pod uwagę fakt, że ostatnio w ciągu pół roku porzuciło ją aż dwóch facetów, chyba nie było sensu snuć marzeń o następnym? Powinna skoncentrować się na znalezieniu ojca. Po to tu przecież przyjechała. Nie pozwoli, żeby cokolwiek ją rozpraszało.

## Rozdział 2

Rebeka siedziała na kanapie w salonie, wpatrując się w ekran laptopa. W pokoju świeciła się jedynie niewielka lampka, którą postawiła na niskim stoliku obok komputera.

Na ścianie nad jej głową wisiał ogromny zegar oraz kilka rodzinnych fotografii Turnerów. Jednostajne tykanie wskazówek zlewało się z cichym pomrukiwaniem Kolumba śpiącego obok niej na kremowo-niebieskim jaśku. Leki, które podał mu weterynarz, najwyraźniej nie przestały jeszcze działać. Kocur poruszył się kilka razy, ale odkąd wrócili do domu, ani razu nie otworzył oczu. Kiedy był taki grzeczny i potulny, wydawał jej się całkiem uroczy. Głaszcząc go odruchowo po jedwabistej sierści, uznała, że najwyższa pora zakończyć buszowanie po Internecie. Teraz, kiedy nie mogła już liczyć na to, że Jack Lever dostarczy jej jakichś istotnych informacji o ojcu, zaczynała wątpić w sens dalszych poszukiwań.

Pragnęła poznać ojca, odkąd poszła do przedszkola i odkryła, że w przeciwieństwie do niej większość rówieśników ma nie tylko mamę, ale i tatę. Fascynował ją widok dzieci spacerujących ulicą z obojgiem rodziców albo mężczyzn trzymających córki za rękę.

Jej największym marzeniem z czasów dzieciństwa było mieć tatusia. Kiedy zwierzyła się z tego mamie, ta oznajmiła, że tatuś nie jest jej do niczego potrzebny. Konsekwentnie odmawiała też jakichkolwiek rozmów i dyskusji na temat człowieka, który powołał jej córkę na świat. Po kilku nieudanych próbach Rebeka dała w końcu za wygraną i przestała pytać, co nie znaczy, że przestała fantazjować na jego temat. Wręcz przeciwnie, wyobrażała sobie, że kiedyś zostanie pełnoprawnym członkiem jego rodziny - dużej i szczęśliwej rodziny. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że przyjmą ją tam z otwartymi ramionami. Niestety, sprawdzenie nazwiska ojca w akcie urodzenia nie przyniosło spodziewanych rezultatów, rubryka na nie przeznaczona okazała się pusta. Pewnie nadal żyłaby w nieświadomości, gdyby nie pewien incydent sprzed roku.

Wybierała się wtedy na zjazd absolwentów swojego liceum, a ponieważ niektórych kolegów i koleżanek nie widziała od niemal dziesięciu lat, miała poważne obawy, że może ich nie rozpoznać. Szperając w starych szpargałach matki w poszukiwaniu szkolnego albumu, natrafiła niechcący na jej pamiętnik. Nie spodziewała się znaleźć w nim niczego godnego uwagi. Przekartkowała go z czystej ciekawości. W pewnym momencie jej uwagę przyciągnęły wyjątkowo interesujące daty, mniej więcej z okresu, kiedy została poczęta. Zaintrygowana, przeczytała kilka stron. Dowiedziała się, że jej matka w wieku dziewiętnastu lat była

szaleńczo zakochana w koledze, studencie zarządzania Russelu Leverze. Chęć odnalezienia tego człowieka stała się odtąd obsesją Rebeki.

Przejrzała w sieci wszystkie dostępne strony adopcyjne. Chciała się upewnić, czy pan Lever nie poszukuje przypadkiem córki. Niczego takiego nie znalazła, ale wynajęła adwokata, któremu udało się zlokalizować w Rosewood jego rodzinę. Był żonaty i miał pasierba o imieniu Jack.

Mniej więcej w tym czasie splądrowano jej mieszkanie. Włamanie znacznie nadszarpnęło jej budżet. Nie była już w stanie opłacać prawnika, postanowiła więc szukać ojca na własną rękę. Skontaktowała się z agencją nieruchomości w Rosewood. Wkrótce potem dostała kilka ciekawych ofert. Nie szukała domu - uważała, że w zupełności wystarczy jej kilkupokojowe mieszkanie - niemniej propozycja państwa Turnerów wydała jej się niezwykle korzystna. Oferowali znacznie więcej przestrzeni za niższą cenę. Problem stanowiły jedynie koty. Wiedząc, że nie nadaje się na kocią mamę, prawdopodobnie zrezygnowałyby z podpisania umowy. Ostateczną decyzję pomogła jej podjąć pośredniczka, kiedy wspomniała mimochodem, że na tej samej ulicy mieszka jej bratowa oraz niezwykle atrakcyjny wdowiec, Jack Lever. Rebeka uznała, że to zrządzenie opatrności, i wynajęła posiadłość mimo wrodzonej niechęci do zwierząt.

Nie zamierzała jednak czekać beczynnie na kolejne dary od losu. Już pierwszego dnia pobytu w miasteczku, uzbrojona w mapę, ruszyła pod wskazany przez prawnika adres Russela Levera. Na miejscu zobaczyła odgródzone od reszty świata osiedle prywatnych rezydencji.

Po powrocie do domu odnalazła Agencję Konsultingową Russela Levera w książce telefonicznej. Chcąc sprawdzić, jakiego typu poradnictwem się zajmuje, wpisała nazwę firmy w wyszukiwarce. „Międzynarodowe doradztwo w zakresie pomnażania potencjalnych zy-

sków z zakupu i likwidacji przedsiębiorstw oraz ich aktywów", odczytała chwilę później na ekranie. Innymi słowy pomaga większym przedsiębiorstwom pozbywać się słabszej konkurencji. Choć jego zajęcie nie przypadło jej szczególnie do gustu, przysięgła sobie, że nie będzie oceniać człowieka, który może się okazać jej ojcem, zanim nie pozna go osobiście.

Tydzień później zebrała się w końcu na odwagę i wybrała jego numer. Automatyczna sekretarka poinformowała ją, że „pan Lever oddzwoni do niej, jeśli zostawi swoje dane oraz poda powód, dla którego chce rozmawiać”.

Rzecz jasna Rebeka nie była na to gotowa. Najpierw musiała mu się przyjrzeć. Zobaczyć go choćby przez chwilę, z daleka. Ich pierwsze spotkanie miało być idealne. Nie mogła pozwolić, by sparaliżowały ją nerwy.

Nie liczyła na to, że uda jej się wejść na teren ekskluzywnego osiedla, na którym znajdowała się jego luksusowa willa. Nie pozostawało zatem nic innego, niż wypatrywać jego samochodu. Za odpowiednią opłatą adwokat zdobył dla niej informację o marce i numerach rejestracyjnych wozu Levera. Kolejny tydzień spędziła, wyczekując o różnych porach w pobliżu bramy jego osiedla. Jej wysiłki w końcu zostały nagrodzone, gdy na ulicy pojawił się czarny mercedes. Niestety, za kierownicą siedziała atrakcyjna blondynka w średnim wieku, zapewne sekretarka lub żona Russela.

Jakiś czas później ochroniarze zauważyli, że jej auto parkuje w tym samym miejscu zbyt często, i powiadomili policję. Próbowала wytłumaczyć pani oficer, że zaszła jakaś pomyłka, ale dyżurna okazała się

nieugięta. Wylegitymowała ją, spisała i wlepiła mandat za postój przy hydrancie przeciwpożarowym.

To przelało kielich goryczy. Rebeka postanowiła poznać Jacka i przez niego dotrzeć do ojca. Niestety, mimo kilku wspólnych kolacji nie dowiedziała się od niego zbyt wiele. Jak większość przedstawicieli swojej płci uwielbiał mówić wyłącznie o sobie, swoich poglądach i zainteresowaniach. O mężczyźnie, który go wychował, wspominał raczej niechętnie. Dwa razy udało jej się poruszyć temat dzieciństwa, ale natychmiast kierował rozmowę na inne tory. Dał jej tylko do zrozumienia, że jego stosunki z seniorem rodu były dość napięte. Podobno starszy Lever nie znajdował czasu dla nikogo i niczego poza pracą.

Pogłaskała kota, wsłuchując się w miarowe tykanie zegara. Uświadomiła sobie, że gdyby się okazało, że Jack jest jej przyrodnim bratem, relacje między nimi stałyby się co najmniej dziwne. Przyszło jej też do głowy, że skoro Russel Lever całymi latami zaniedbywał pasierba, z pewnością nie byłby zachwycony pojawieniem się nieznanej córki. Jej marzenia o wzruszającym spotkaniu i przyjęciu na łono nowej rodziny mogą się zatem okazać zwykłą mrzonką. Wolałaby uniknąć tak wielkiego rozczarowania. Między innymi dlatego ponownie zaczęła szukać w Internecie informacji na temat firmy ojca. Sądziła, że jeśli dowie się o nim czegoś więcej, łatwiej jej będzie zyskać jego sympatię i akceptację.

Nagle wydała się sobie żałosna. Nie da się przecież zyskać czyjejs aprobaty na siłę. Wyłączyła komputer, ale na niewiele się to zdało. Nadal czuła w sobie ogromną pustkę.

O dziwo, podniosła ją nieco na duchu obecność kota. Miło było pogłaskać jego miękkie futerko.

Następnego ranka Rebeka długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. Mimo przejmującego chłodu postanowiła wyjść na zewnątrz. Ogródek znowu zasypany był liśćmi. Zupełnie niepotrzebnie męczyła się wczoraj ich zagrabianiem. Była zaledwie ósma, a ona nie spała już od trzech godzin. Doglądając co jakiś czas Kolumba, czekała na codzienną gazetę.

Może przywieźli ją, kiedy byłam pod prysznicem, pomyślała i otuliwszy się szczelniej swetrem, rozpoczęła poszukiwania. Odnalazła dziennik pod krzakiem begonii. Gdyby nie Sylvia Fulton z naprzeciwka, nie wiedziałyby nawet, że taka roślina w ogóle istnieje. Uroczą starszą panią z koshmarnym kokiem wyjaśniła jej, że odpowiednio pielęgnowane begonie pięknie kwitną. Wspominała też coś o nawozie. Rebeka uznała jednak, że już samo podlewanie i utrzymanie roślin przy życiu było w jej wypadku wystarczająco dużym sukcesem.

Podniósłszy gazetę, wygramoliła się z zarośli i wyjrzała na ulicę. Jej dom stał u szczytu ślepego zaułka, miała więc doskonały widok na podjazdy wszystkich sąsiadów. Angela Schumacher wycofywała właśnie swojego vana z parkingu. Biedna kobieta, pomyślała Rebeka, machając do niej z daleka. Trójka dzieci i dwa etaty. Musi jej być ciężko radzić sobie z tym wszystkim w pojedynkę. Nic dziwnego, że zawsze jej się spieszy.

Zamierzała jak najszybciej schować się z powrotem w mieszkaniu - w każdej chwili na horyzoncie mógł pojawić się Jack - ale zatrzymała ją Molly Jackson-Shibb.

- Dostałam twoją wiadomość! - wykrzyknęła zdyszana, podbiegając do furtki. Niebieski sweter, choć obszerny, nie ukrywał już jej zaokrąglonego jak piłka brzucha. - Elmerowi nic nie jest. Dzięki, że zatkałaś tę dziurę. Adam zabetonuje ją przed wyjściem do pracy. Co z

kotem? Chciałam do ciebie wczoraj zadzwonić, ale bardzo późno wróciłam do domu. Miałaś już pogaszone światła...

- Nie martw się. Kolumbowi nic nie jest.

- Skąd wiesz, że to Kolumb jest ranny? - zdziwiła się Molly.

- Weterynarz mi powiedział. - Rebeka do tej pory nie miała pojęcia, jakim cudem Joe go odróżnił. - Stracił tylko kawałek ucha. To znaczy kot, nie weterynarz - dodała pospiesznie, próbując nie patrzeć na sąsiadkę z zazdrością. Cięża wyraźnie jej służyła. Była w ósmym miesiącu i wyglądała kwitnąco.

- O Boże, Elmer odgryzł mu ucho?!

- Nie całe. Tylko kawałek. Nie denerwuj się. To może zaszkodzić dziecku. - Tak przynajmniej słyszała, ale co ona może o tym wiedzieć?

Zaprzyjaźniły się już na tyle, że Molly bez trudu wychwyciła w jej głosie nutkę gorzkości.

- A ty? Jak się miewasz? - zapytała, odgarnąwszy z twarzy kasztanowe loki. - Świetnie sobie poradziłaś na imprezie, ale pewnie było ci trochę głupio, co?

Aluzja do okropnego balu z okazji Halloween wywołała na twarzy Rebeki grymas niechęci. Zoey, nowa niania dzieci Jacka, postanowiła je uszczęśliwić, wydając przyjęcie. Zaprosiła sąsiadów z całej ulicy, naturalnie łącznie z nią. Mieszkańcy Danbury Way stawili się w komplecie. Wszyscy wiedzieli, że jeszcze do niedawna Rebeka była zainteresowana gospodarzem. Zdążyli się też zorientować, że Jack nagle przestał się z nią spotykać.

- Rzeczywiście - przyznała szczerze. - Sytuacja była nieco niezręczna, ale byłoby znacznie gorzej, gdybym nie przyszła. Doszłam do wniosku, że obejdzie się bez niepotrzebnych demonstracji, tym bardziej że



właściwie nic się nie stało. Umówiliśmy się tylko kilka razy. Prawdę mówiąc, niespecjalnie między nami iskrzyło.

- Nie tak jak między nim i Zoey?

- Właśnie - zaśmiała się Rebeka zażenowana. Brak zainteresowania ze strony Jacka bynajmniej nie zranił jej uczuć. Cała ta sprawa wprawiała ją raczej w zakłopotanie. Zwłaszcza odkąd stało się jasne, że młodemu Leverowi wpadła w oko niania. - Większość kobiet dałaby się poćwiartować, żeby tylko facet spojrzał na nie w ten sposób. Ale nie ja. Zresztą, postanowiłam na jakiś czas dać sobie spokój z mężczyznami. - Z szukaniem ojca też, dodała w duchu.

Usłyszały warkot silnika i spojrzały na drogę. Srebrny pickup nie należał do żadnego z sąsiadów.

- Kto to? - zainteresowała się Molly.

- Nie wiem. - Rebeka zmrużyła powieki, wpatrując się intensywnie w podjeżdżające auto. Przez szybę nie rozpoznała jednak twarzy kierowcy.

- To... chyba doktor Hudson - stwierdziła, kiedy zatrzymał wóz na jej podjeździe i wysiadł. Miał na sobie jasne spodnie i skórzaną kurtkę.

- Dzień dobry paniom - odezwał się uprzejmie, podchodząc do nich.

- Jak się miewa Elmer?

Najwyraźniej był także lekarzem psa Shibbów.

- Ogólnie, czy w związku z wczorajszą bójką? - uśmiechnęła się Molly.

- Jedno i drugie.

- Dobrze, nic mu nie jest.

- Cieszę się. - Wsunąwszy ręce do kieszeni, zwrócił się do Rebeki. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Wpadłem sprawdzić, co z moim pacjentem.

Zdumienie mieszało się z innymi gwałtownymi emocjami, które poczuła na jego widok. Ignorując przyspieszone tętno, uznała, że rozsądniej będzie odgrywać zaskoczoną.

- Nie wiedziałam, że weterynarze przyjeżdżają na wizyty domowe.

W odpowiedzi wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie przyjeżdżają - potwierdziła konspiracyjnym szeptem Molly, po czym spojrzała na zegarek. - Muszę lecieć - dodała z błyskiem w oku. Nawet nie próbowała ukryć, że snuje na ich temat jakieś przypuszczenia. - Miło było pana spotkać. Pogadamy później, Beko. Na razie. - Odwróciła się i odmaszerowała na swoją posesję.

Zdaje się, że liczyła na szczegółowe sprawozdanie z wizyty przystojnego doktora u koleżanki. Spotka ją niestety przykre rozczarowanie. Rebeka nie żartowała, mówiąc, że zamierza przez jakiś czas nie interesować się facetami. Była śmiertelnie poważna i planowała wprowadzić to postanowienie w życie. Jedyne, na co mogła sobie pozwolić, to platoniczna przyjaźń. Żadnych romantycznych wzlotów i emocjonalnych huśtawek. Wystarczy, że będzie trzymać się tych żelaznych zasad, a nie spotka jej nic złego.

- Jeśli zjawilem się nie w porę, mogę zwrócić do pani później. Jestem w drodze do kliniki, pomyślałem, że...

- Nie ma sprawy. Zapraszam do środka. - Fatygował się specjalnie, żeby obejrzeć kota. Powinna być mu wdzięczna. - Zaparzyła świeżą kawę, jeśli ma pan ochotę. - Uśmiechnęła się ostrożnie.

Joe przyglądał się jej z aprobatą, kiedy prowadziła go do drzwi. Była ubrana na czarno. Miała na sobie gustowny półgolf, eleganckie spodnie i wysokie szpilki.

Naprawdę chciał sprawdzić, jak się miewa Kolumb, ale nie musiał robić tego osobiście. Zazwyczaj takie sprawy załatwiała za niego telefonicznie asystentka. Tym razem uznał jednak, że lepiej będzie, jeśli na własne oczy się przekona, czy rekonwalescencja przebiega pomyślnie. Prawdę mówiąc, zależało mu również na tym, żeby wybadać stan ducha opiekunki swojego pacjenta. Kiedy rozmawiali wczoraj w klinice, zauważył, że panicznie boi się zwierząt, a co gorsza nie ma pojęcia, jak zajmować się rannym kotem.

Rebeka otworzyła drzwi i niemal natychmiast schyliła się, wyciągając przed siebie dłoń. Nie napotkawszy gotowego do ucieczki czworonoga, wyprostowała się i przepuściła Joego przodem.

- Państwo Turner mają specyficzny gust - wyjaśniła, mając na myśli eklektyczną kolekcję ozdób w salonie. - Dużo podróżują. Przywożą pamiątki z różnych regionów świata. - Sama wolała bardziej surowy, nowoczesny wystrój wnętrza. Mniej przepychu, więcej funkcjonalnej prostoty. - Kolumb ukrywa się w sypialni dla gości - poinformowała, naciskając klamkę w głębi korytarza. Klękawszy obok wielkiego łóżka z baldachimem, odchyliła rąbek ozdobnej narzuty. - Nie mam pojęcia, jak udało mu się wcisnąć w tę wąską szparę mimo kołnierza, ale na pewno wciąż tam siedzi. Może pan zdoła go jakoś stamtąd wywabić.

Joe ogarnął spojrzeniem jej atrakcyjną sylwetkę. Była wyjątkowo zgrabna i ujmująco kobieca, w dodatku zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach. Niewątpliwie jest na czym zawiesić oko, pomyślał z sympatią.

- Tkwi tam od wczoraj?

- Mniej więcej od dwunastej w nocy. Kiedy przestał działać środek uspokajający, który mu pan podał, zeskoczył na ziemię. Wcześniej leżał ze mną na kanapie.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby spała na kanapie, żeby go pilnować lub dotrzymać mu towarzystwa. Może jednak aż tak się go nie boi? Albo z troski o zdrowie podopiecznego postanowiła przewyciężyć niechęć do zwierząt.

Drugi kocur wkroczył właśnie do pokoju i uniósłszy dumnie ogon, stanął obok swojej opiekunki. Magellan pochodził z tego samego miotu co Kolumb. Na pierwszy rzut oka były nie do odróżnienia. Taka sama szara puszysta sierść i takie same czarne prążki.

Wyczuwając obok obecność Joego, Rebeka podniosła się. Jakby nie była do końca pewna, czego się po nim spodziewać.

- Może pan spróbuje go jakoś wyciągnąć. - Minęła lekarza, kierując się do drzwi i pozostawiając za sobą zapach kokosowego szamponu. - Ode mnie zawsze ucieka.

- Jadł coś albo pił? - Ignorując mrowienie w okolicach żołądka, Joe zajął jej miejsce na podłodze.

- I jedno, i drugie. Nie tknął wprawdzie kocięj karmy, ale za to spałaszował pół puszki tuńczyka. Należę nam kawy. Jaka pan pije?

- Czarną.

- Będę w kuchni. Ostatnie drzwi na lewo.

- Okay.

Rebeka wiedziała, że weterynarze nie praktykują wizyt domowych i że doktor Hudson zrobił dla niej wyjątek. Była mu za to wdzięczna. Chciała jak najszybciej usłyszeć z ust lekarza, że Kolumb całkowicie wyzdrowieje, choć kocury Turnerów znajdowały niewysłowioną wręcz

przyjemność w nieustannym terroryzowaniu swojej opiekunki. Ich ulubiona zabawa - chowały się w najciemniejszych zakamarkach, a potem wyskakiwały na nią z nienacka niczym futrzaste pociski - niejednokrotnie przyprawiła ją niemal o zawał serca.

Dwie minuty później, kiedy kawa parowała już w kubkach na stole, Joe pojawił się w progu, prowadząc za sobą oba koty. Szły za nim jak po sznurku. Zupełnie jak w bajce o czarodziejskim flecie. Chociaż doktor Hudson zapewne wcale nie potrzebował czarów, żeby zapanować nad zwierzętami. Znał się na swoim fachu. Nie dalej jak wczoraj widziała na własne oczy, jak Kolumb uspokoił się pod wpływem jego dotyku.

Cóż, zdaje się, że cudowny dar pana doktora działa nie tylko na czworonogi. Kiedy opatrywał Rebecę szyję, ona także poczuła uspokajającą moc jego dłoni.

Lepiej się nad tym zanadto nie rozwodzić, skarciła się w duchu.

- Jak się miewa pacjent?

- Bardzo dobrze. A pani? Jak pani sobie z nim radzi?

- Naprawdę bardzo dobrze? - spojrzała na niego podejrzliwie.

- Naprawdę. Nic mu nie będzie - zapewnił z uśmiechem.

- To wspaniale. Ulżyło mi. - Od piątej rano, odkąd wstała, zaglądała do Kolumba co pół godziny, żeby sprawdzić, czy wciąż oddycha. Na szczęście już nie będzie musiała tego robić. - Zdradzi mi pan, skąd pan wiedział, którego kota przyniosłam do przychodni?

- Mamy w kartach zdjęcia wszystkich stałych pacjentów. Po pani telefonie asystentka wyjęła teczkę Turnerów. Ciemniejsze prążki na czole Kolumba przypominają mi trochę rogi. U Magellana wyglądają bardziej jak wykrzykniki. - Spojrzał na kubek na stole. - Mogę się poczęstować?

- Oczywiście. Bardzo proszę, panie doktorze. - Podała mu kawę, przyglądając się z ukosa Kolumbowi. No jasne. Każdy aniołek z piekła rodem ma rogi. Czemu wcześniej tego nie zauważyła? To pewnie on nasikał jej do najlepszych pantofli.

- Może przejdziemy na „ty”? Mam na imię Joe.

- Hm...? - Podniosła gwałtownie głowę, przerywając obserwowanie kotów, które zwinęły się w kłębek na dywanie.

- Mówmy sobie po imieniu - powtórzył, i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się w stronę zawalonego papierami stołu. - Widzę, że oderwałem cię od pracy.

- Nie. Jeszcze nie zaczęłam.

- Mówiłaś, że jesteś dziennikarką?

- Wolnym strzelcem. Publikuję w piśmie, z którym współpracowałam kiedyś na stałe. Dostaję też ciekawe propozycje z kilku innych. Zajmuję się głównie modą i dodatkami. Czasami opracowuję wyniki sondaży.

- Mogę rzucić okiem? - Sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

- Śmiało - odparła, analizując wnikliwie jego ubranie. Niebieska koszula, znoszona skórzana kurtka, spodnie khaki i ciężkie brązowe buty. Jest dokładnie takim facetem jak ci, o jakich właśnie piszę, pomyślała nagle; inteligentnym, przystojnym i seksownym, ale bez wyrobionego gustu w sprawach mody.

- Może zechciałby pan... Może zechciałbyś mi pomóc?

Uniósł nieznacznie brew.

- Jeden z moich artykułów wymaga opinii mężczyzn. To nic skomplikowanego - dodała pospiesznie na widok jego sceptycznej miny. - Trzeba tylko wypełnić ankietę i uporządkować kilka zdjęć według gustu.

Nie chodzi o te, które teraz oglądasz. - Skrzywił się niemiłosiernie, przerzucając leżące na stole fotografie wymuskanych modeli. Nietrudno było odgadnąć, że facet na wybiegu to dla niego zjawisko kompletnie niezrozumiałe. - Rzeczywiście są może troszkę...

- Koszmarne?

Spojrzała na niego wyrozumiale, chociaż śmiało mogłaby mu wytknąć niedociągnięcia w stroju, który miał na sobie. Nie znał się na modzie, tak jak ona nie znała się na zwierzętach. Z tym że ona nie miała zwyczaju wygłaszać opinii na temat czegoś, o czym nie miała pojęcia.

- Zamierzałam raczej użyć określenia „awangardowe” albo „nowatorskie”. To, co oglądamy na wybiegach, różni się znacznie od rzeczy, które trafiają do produkcji masowej. Wszystko, od włosów począwszy, na makijażu skończywszy, jest z założenia przerysowane. Każda nowa kolekcja to wizytówka projektanta. Wybierając jakiś konkretny motyw przewodni, jej autor się określa. Zabiera głos w sprawie mody. To sztuka jak każda inna. Ale mnie chodzi o coś innego. Mam inne zdjęcia, bardziej wpisujące się w główny nurt. - Sięgnęła po kopertę. - Calvin Klein, Ralph Lauren, Versace, Issey Miyake, Armani, mój osobisty faworyt. - Odwróciła się do niego z uśmiechem. - Levi Strauss. - Przygotowała pięćset kopert. Dziś rano miała do nich dodać ostatnie fotosy. Potem zamierzała zacząć rozprawadzać ankiety w sklepach odzieżowych i wśród znajomych mężczyzn.

- Po to przyjechałaś do Rosewood? Żeby ubierać facetów z przedmieścia?

- Ja tylko uświadamiam ludzi w sprawach mody. Nikomu nie mówię, co ma nosić.

Joe powiódł wzrokiem od jej rozentuzjasmowanych błękitnych oczu do gładko zaczesanych włosów. Była naprawdę piękna, ale jej klasyczna uroda miała niewiele wspólnego z tym, co z reguły podobało mu się u kobiet. Ciasny koński ogon krzyczał „nie dotykać”. Karkołomnie wysokie obcasy zrównywały ją wzrostem z większością mężczyzn, jakby chciała dać wszystkim do zrozumienia, że jest twarda i lepiej z nią nie zadzierać. Sprawiała wrażenie niedostępnej, jednocześnie emanując kobiecością. Całkowicie czarny strój nie był prowokujący sam w sobie, ale na niej wyglądał niesamowicie seksownie.

- Nie o to pytałem.

Zamrugła, wprawiając w ruch gęste rzęsy. Błysk ożywienia zniknął nagle z jej oczu.

- Przyjechałam, bo musiałam. - Wytrzymała jego spojrzenie i wyciągnęła dłoń z kopertą. - Więc jak? Pomożesz mi?

Zastanawiał się, co go bardziej intryguje: fakt, że jest pełna sprzeczności, czy wrażenie, jakie robi na nim jej zapach i uśmiech. Doszedłszy do wniosku, że będzie miał czas pomyśleć o tym później, wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żebym ci się na coś przydał, ale czemu nie? Będziesz mi tylko musiała wytłumaczyć, o co dokładnie chodzi. Ale nie teraz - zakończył, dopijając kawę.

- Spieszę się do kliniki. Co powiesz na sobotę? Pamiętasz zdjęcia, które oglądałaś w przychodni? Wybieram się na wycieczkę w pobliżu łąki, na której je robiłem. Możesz pójść ze mną. Przy okazji porozmawiamy o twojej ankiecie.

- Mam z tobą iść na wycieczkę? Pieszko?



Rebeka nie była pewna, czy bardziej zaskoczyło ją samo zaproszenie czy forma spędzania czasu, jaką jej proponował. Tak czy inaczej nie była w stanie ukryć niedowierzania.

- Nie martw się, to nie będzie wspinaczka. Żadnego zwisania ze skały, słowo. Potraktuj to jak spacer po parku. A może masz już jakieś inne plany?

Zawahała się.

- No... nie, nie mam...

- Wpadnę po ciebie o wpół do drugiej.

Nie wyglądała na przekonaną. Próbując zapobiec dalszym protestom, spojrział na jej szpiczaste szpilki. Jak w ogóle można w czymś takim chodzić?

- Włóż jakieś płaskie buty. Dzięki za kawę. Do zobaczenia.

Upewniwszy się, że nie kręcą się koło niego koty, ruszył do wyjścia. Była na tyle bezpośrednia, że gdyby nie chciała z nim iść, na pewno na poczekaniu wymyśliłaby jakąś wymówkę. Ale nic takiego się nie stało. Najwyraźniej na moment odjęło jej mowę, a zapewne nie zdarzało się to zbyt często.

Siadając za kierownicą, przypomniał sobie o dokumentach, które zostawił na siedzeniu pasażera. Nie powinien był umawiać się na sobotę. Starał się o kredyt na doinwestowanie kliniki i miał mnóstwo papierkowej roboty. Przy odrobinie szczęścia i sporym wysiłku za rok o tej porze zaczęnie budowę nowej przychodni połączonej ze szpitalem dla zwierząt. Dzięki temu będzie mógł zapewnić pacjentom fachową opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Poza tym obiecał rodzicom, że wpadnie na weekend do domu, żeby pomóc ojcu i bratu przy uszczelnianiu stodoły. Niedługo przyjdą pewnie

pierwsze mrozy. Nie rwał się specjalnie do tej wizyty. Ostatnio za każdym razem, gdy przestąpił próg, matka podsuwała mu kolejną kandydatkę na narzeczoną. Nie miał pojęcia, skąd je bierze, w każdym razie zawsze znajdowała dziewczynę, która „akurat była przypadkiem w okolicy”.

Długo nie mogła mu wybaczyć, że zaraz po studiach zerwał z Sarą Jennings. Kiedy w końcu się z tym pogodziła, odnalazła nowy cel w życiu: ożenić syna. Realizowała swoją misję z godną podziwu wytrwałością. Nie przeszkadzało jej nawet to, że ów syn nie ma najmniejszego zamiaru wstępować w związek małżeński. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Chciał jeszcze sporo osiągnąć na polu zawodowym, zanim zacznie myśleć o stabilizacji.

Nie powstrzymywało go to, rzecz jasna, przed rozmyślaniami o Rebecce. Jej nieporadność wobec zwierząt była doprawdy ujmująca. Podziwiał ją za to, że choć nie czuła się w towarzystwie kotów swobodnie, tak ofiarnie się nimi zajmowała, zwłaszcza poturbowanym Kolumbem. Zresztą, radziła sobie z nimi i z własnym lękiem znacznie lepiej, niż się spodziewał. Nie mógł zaprzeczyć, że pociąga go również fizycznie, ale to akurat łatwo dałoby się wytłumaczyć, gdyż od miesięcy z nikim nie był. Zaintrygowało go jej zachowanie, kiedy zapytał o powód przyjazdu do Rosewood. Sądząc po tym, jak zareagowała, był to dla niej temat tabu. Z pewnością nie mogło chodzić o pracę, bo przecież tutaj robiła dokładnie to samo co w mieście, choć prawdę mówiąc, miał raczej mgliste pojęcie o tym, czym Rebeka tak naprawdę się zajmuje. I dlaczego. Jednego był pewien: ostatnio żadna kobieta nie wzbudziła w nim aż takiego zainteresowania. Dawno też nie spotkał osoby równie zagubionej jak ona. Sprawiała wrażenie kogoś zupełnie niepasującego do otoczenia. Jakby

Rosewood było dla niej obcą planetą, a nie nowym miejscem zamieszkania.

Nawet nie podejrzewał, jak bardzo czuła się nie w swoim żywiole, kiedy dwa dni później zabrał ją na wycieczkę.

## Rozdział 3

Naprawdę nie powinien robić sobie w ten weekend wolnego.

Sobotnie popołudnia były jednak dla Joego jedyną odskocznią od codziennej harówki. Niedziele poświęcał niemal w całości remontowi domu i pracy na swoich dwóch hektarach. W dni powszednie był nie mniej zajęty. Jeżeli czas pozwalał, wieczorami wyprowadzał jedynie psy do parku. Mimo to wciąż się wahał. Chciał nawet zadzwonić do Rebeki i poprosić, żeby po prostu zostawiła mu ankietę w przychodni, ale w końcu zrezygnował. Nie miał zwyczaju wycofywać się z raz podjętych zobowiązań.

Pocieszał się, że wycieczka potrwa tylko kilka godzin. Może później uda mu się wreszcie wypełnić wniosek kredytowy.

Kiedy skręcił w Danbury Way, zauważył, że mężczyzna z domu na rogu natychmiast porzucił koszenie trawnika i zaczął mu się uważnie przyglądać. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta oparła się na grabiach i spojrzała spod runda fioletowego kapelusza na jego wóz. Dwie inne panie w średnim wieku o mało nie skręciły karków, usiłując jednocześnie kontynuować jogging i odwracać się za siebie, żeby niczego nie przegapić.

Zdaje się, że na tej ulicy nie sposób kichnąć bez wiedzy sąsiadów, pomyślał, kiedy na progu pojawiła się Rebeka.

W ocieplanej rudobrazowej kamizelce z apaszką pod kolor, musztardowym swetrze i markowych dzinsach wyglądała jak żywa reklama jesiennej kolekcji ubrań, a nie jak osoba, która zamierza odbyć długi marsz.

- Cześć! - zawołała, zmierzając w jego stronę.

- Cześć! - Z trudem powstrzymał się, by nie zmarszczyć brwi na widok jej butów. Były niemal identyczne jak te, które miała na sobie w dniu, w którym się poznali. Owszem, miały dość solidne podeszwy, ale obcasy pozostawiały wiele do życzenia. Były stanowczo zbyt wysokie i niepraktyczne. Kompletnie nie nadawały się do spaceru po nieutwardzonych drogach. Na domiar złego ich właścicielka sprawiała wrażenie zmartwionej.

- Jak się miewa mój pacjent?

- Nie cierpi mnie. Obydwa mnie nie cierpią.

- Aż tak źle?

- Atakują mnie jak szalone. Dziś rano, kiedy wychodziłam spod prysznicza, Kolumb wyskoczył na mnie zza sedesu. - Ten mały diabeł tak ją wystraszył, że zaczęła krzyczeć. Za karę zaklinował się kołnierzem między szafką a koszem na śmieci i nie mógł wyjść. - Magellan napadł na mnie wieczorem, kiedy wstałam, żeby wyłączyć telewizor.

- Pomrukiwały na ciebie albo atakowały pazurami? - zapytał, starając się nie wyobrazić sobie jej nagiej i ociekającej wodą.

- Nie.

- W takim razie pewnie chciały się tylko pobawić. U kotów to normalne.

- Normalne? Wyskakiwanie na ludzi z ciemnego kąta? Zawału można dostać.

Skinął głową w stronę samochodu.

- Wsiadaj. Opowiesz mi po drodze, co jeszcze robią. Postaram się wyjaśnić ci ich zachowania, żebyś lepiej sobie z nimi radziła.

- Naprawdę? Zrobisz to dla mnie?

Ciekawe zjawisko. I niebezpieczne, stwierdził zdziwiony. Nigdy dotąd nie ścisnęło go w dołku tylko dlatego, że uśmiechnęła się do niego ładna kobieta. A tak właśnie się poczuł, kiedy dostrzegł wdzięczność w błękitnych oczach Rebeki.

- Z przyjemnością.

Odwróciła pośpiesznie wzrok, jakby nagle zdała sobie sprawę, że zachowała się niestosownie.

Joe zupełnie nie rozumiał, dlaczego się wstydzi, że potrzebuje pomocy w czymś, czego nie rozumie.

- Dasz radę przejść w nich kilka kilometrów? - zapytał, spoglądając na jej buty.

Zerknęła na grube podeszwy obuwia, które Joe założył do dzinsów i szarej flanelowej koszuli. Jej obcasy miały tylko pięć centymetrów. Jak dla niej były praktycznie płaskie. Spacer przez łąkę nie może chyba być aż taki trudny?

- Jeśli muszę, potrafię biegać w szpilkach - oznajmiła, wzruszając ramionami.

- Naprawdę? - W jego głosie słychać było wyraźne powątpiewanie.

- W Nowym Jorku ciągle musiałam biegać. Głównie za taksówkami. Ale wiesz, tak naprawdę wcale się nie zgodziłam na tę wycieczkę - przypomniała dla porządku. - Jak chcesz, możemy iść gdzieś na kawę.

Wyjaśnię ci w kawiarni, o co chodzi w ankiecie.

- Jest zbyt ładna pogoda, żeby siedzieć w kawiarni.

- Możemy wziąć stolik na zewnątrz. Tu niedaleko mają bardzo dobrą latte z...

- Nie lubię kawy z dodatkami. Pijam tylko czarną. - Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Jak zwykle związała włosy w koński ogon. Spod spinki nie wystawało ani jedno luźne pasemko. U innej kobiety nawet nie zwróciłby na to uwagi, ale u niej, nie wiedzieć czemu, wyjątkowo go to drażniło. Miał ochotę wyciągnąć rękę i zdjąć jej klamerkę z głowy.

Jeszcze kilka minut temu zgodziłby się zostać w mieście, tym bardziej że oszczędziłby w ten sposób wiele czasu. Teraz jednak nie zrezygnowałby z tego wypadu za nic w świecie.

- Masz jakieś obawy przed tą wycieczką? Otworzyła usta, po czym natychmiast je zamknęła. Kiedy spotkali się po raz pierwszy w przychodni, nie chciała przyznać, że boi się kotów. Teraz też nie przejawiała ochoty, żeby powiedzieć otwarcie, iż być może czemuś nie sprosta.

- Oczywiście, że nie - oznajmiła w końcu.

- To dobrze. - Zastanawiał się, co jej każe brnąć w to, na co wyraźnie nie ma ochoty. Upór, determinacja czy może zwykła przekora? Ciekawe, jak daleko gotowa jest się posunąć? - Bo obiecałem Baileyowi, że sobie trochę pobiega.

- Baileyowi?

Podeszli do wozu. W szybach pickupa odbijały się konary drzew, więc nie zauważyła, że nie przyjechał sam.

- Jest kochany, zobaczysz - powiedział, otwierając drzwi. - No, wyskakuj, olbrzymie.

Sekundę później na chodniku pojawił się ponad trzydziestokilogramowy owczarek niemiecki. Rebeka momentalnie zeszywniała.

- Spokojnie, jest zupełnie nieszkodliwy - zapewnił Joe. - Naprawdę. - Oplótny palcami jej nadgarstek, pociągnął ją lekko w stronę psa. Wiedział, że boi się zwierząt. Nie przyprowadziłby ze sobą Baileya, gdyby nie był pewien, że to najłagodniejszy czworonóg na ziemi. - Nic ci nie zrobi. Tylko się z tobą przywita. Dobrze?

Wydawało się, że nic nie jest w stanie odwrócić jej uwagi od góry czarno-złocistego futra, ale myliła się. Gdy tylko poczuła dłoń Joego na swojej, od razu się uspokoiła i skinęła przyzwalająco głową.

- Okay, Bailey, chodź, zapoznasz się z Rebeką.

Pies podszedł do nich i usiadł. Chwilę potem wywiesił język i spróbował podać jej łapę.

Nie, pomyślała Rebeka. Tego już trochę za wiele. Był tylko jeden powód, dla którego nie wycofała się jeszcze z tej niby-randki. Co do tego, że nie jest to prawdziwa randka, nie miała żadnych wątpliwości. Można by rzec, że dla niej było to spotkanie w interesach. Czekają ją kolejne dwa miesiące użerania się z kotami, a przy Joem te małe bestie chodziły jak po sznurku. Postanowiła czegoś się od niego nauczyć.

Poza tym obiecał wypełnić dla niej ankietę. Wprawdzie musiała się w zamian poświęcić i przystać na coś, przed czym się wzdragała, ale cóż, trudno. Jak słusznie mawiała Eleanor Roosevelt: „Kiedy napotkasz na swej drodze coś, co cię przerasta, musisz się z tym zmierzyć”. To zdanie, przeczytane nad drzwiami ulubionej włoskiej restauracji, od dziecka stanowiło dla Rebeki inspirację. A w tej chwili i w zaistniałych okolicznościach bardzo jej potrzebowała.

Perspektywa chodzenia godzinami po łące wydawała jej się równie ekscytująca jak leczenie kanałowe zęba. Pocieszała się, że po powrocie będzie miała nieco większe pojęcie o typowym mężczyźnie z przedmieścia. Kto wie, może nawet napisze o tym artykuł?

Zebrała się na odwagę i objęła dłonią łapę Bailey'a.

- Dobry... piesek. - Nie mając pojęcia, co jeszcze można powiedzieć do owczarka, spojrzała nieufnie w ciemne ślepie.

Joe pogłaskał psa po karku i kazał mu wrócić do samochodu.

- Mamy przed sobą jakieś pół godziny jazdy do głównego szlaku. - Zaprowadził ją do drzwi od strony pasażera. - Mam batoniki i wodę. Jeśli chcesz coś jeszcze, możemy po drodze wstąpić do sklepu.

- Nie trzeba. - Pomachawszy z daleka pani Fulton, wsiadła wozu i... zamarła.

Bailey leżał pomiędzy siedzeniami dosłownie centymetry od niej. Na szczęście wiedział, że nie może tam zostać. Gdy tylko jego pan usiadł za kierownicą, czmychnął na tył, przy okazji muskając Rebekeę ogonem w czoło.

- Doskonale sobie z nimi radzisz - zauważyła, przytulając się do drzwi. - To znaczy, że zwierzętami.

Roześmiał się swobodnie.

- Mam nadzieję. Inaczej umarłbym z głodu. A ty? Nie miałaś w dzieciństwie żadnych zwierzątek?

Pewnie nie mieści mu się to w głowie, pomyślała. A może zadał mi pytanie, żeby uniknąć rozmowy o sobie? Jak dotąd nie spotkała jeszcze mężczyzny, który nie uważałby siebie za pępek świata, doszła więc do wniosku, że raczej to pierwsze.



Przez następnych kilka minut wyliczała mu powody, dla których posiadanie psa lub kota w mieście jest raczej niepraktyczne.

Nie licząc wypadków do Albany po zakupy, Rebeka nie wyjeżdżała poza granice Rosewood, odkąd tam zamieszkała. Nigdy w życiu nie postawiła też nogi w rezerwacie ani parku narodowym. Znała ludzi, którzy cenili kontakt z przyrodą i mieli domy letniskowe na prowincji. Zaszywali się w nich latem, pragnąc uciec od zgiełku metropolii, na który byli skazani przez większość życia. Osobiście nie wyobrażała sobie podobnej formy wypoczynku. Zazwyczaj spędzała wakacje w światowych mekkach mody - Paryżu, Rzymie czy Mediolanie. Jeśli musiała zostać w kraju, wybierała Chicago, Los Angeles lub San Francisco. Lubiała miejsca z dostępem do plaży, obsługą hotelową i taksówkami. No i chociażby namiastką życia nocnego.

Nie uważała się za osobę kapryśną. Przeciwnie, czasami wychodziła z koleżankami z pracy do restauracji tylko dlatego, że akurat podawali tam darmowe przystawki i nie musiała płacić za posiłek. Jej markowe ubrania w większości pochodziły z wyprzedaży albo z zasobów „Vogue'a”, który po sesjach zdjęciowych z modelkami zatrzymywał niektóre rzeczy na użytek zwykłych śmiertelników.

Nie zamierzała dzielić się tym z Joem, ale po upływie pięciu minut od opuszczenia samochodu doszła do wniosku, że zgodziłaby się przemierzyć trzydzieści przecznic w ulewnym deszczu bez parasola, byle tylko pozwolił jej zejść z tej przeklętej ścieżki wśród zarośli.

Dróżka była za wąska, by maszerować ramię w ramię, szła więc za nim, wpatrując się na przemian to w jego pomarańczowy plecak, to w najrozmaitsze krzaki i chaszczce, które co i raz smagały ją po nogach i

ramionach. Pies biegł daleko z przodu, ale właśnie wrócił z kawałkiem gałęzi w pysku. Widocznie nie przeszkadzał mu smak ziemi.

- Daleko jeszcze do tej łąki?

Joe wziął konar od Bailey'a i rzucił go przed siebie. Owczarek wystrzelił jak z procy i pognał za swoją zabawką. Spoglądając za nim, Rebeka potknęła się o korzeń. Z trudem złapawszy równowagę, wyprostowała się i strzepała z dzinsów igły.

- Tylko kilka kilometrów. - Obejrzał się przez ramię i zaczął, aż się z nim zrówna.

- Kilometrów?! - Boże, co to ma być? Pieszy maraton?

- Tak, ale nie martw się. To prosta droga.

Wolne żarty, skrzywiła się w duchu. Potem przypomniała sobie, że znalazła się tu w konkretnym celu, i przyspieszyła kroku.

- Po co ci te wycieczki?

- Lubię przebywać na świeżym powietrzu.

- Czemu?

- Bo większość tygodnia spędzam zamknięty w czterech ścianach.

- Są jakieś inne powody? Spojrzał na nią i poprawił plecak.

- Owszem. To świetny sposób na relaks. Traktuję te wypadki jak powrót do natury. Albo, jeśli wolisz, do korzeni. - Swoją dociekliwością przypominała mu czteroletniego siostrzeńca, który przechodził właśnie etap ciągłego nękania rodziny pytaniem „dlaczego”.

- Próbujesz odnaleźć w sobie dziecko, którym kiedyś byłeś?

O tak, wiedział coś na ten temat. Jego młodsza siostra była niestety psychologiem. W zeszłym roku po jednej z rodzinnych kolacji oznajmiła wszem i wobec, że brak zainteresowania stałym związkiem u jej kochanego braciszka wynika prawdopodobnie z tego, że jego wewnętrzne

dziecko boi się zobowiązań. Matka tylko na to czekała. Natychmiast zaczęła snuć czarne wizje na temat jego przyszłości. W przeciwieństwie do rodzeństwa, które zdążyło już pozakładać własne rodziny, miał zwiędnąć i zestarzeć się w samotności. Kochał ich wszystkich, ale nie znosił, gdy ktoś wtrącał się w jego prywatne sprawy, tym bardziej jeśli chodziło o życie uczuciowe.

- Nic z tych rzeczy - odpowiedział Rebecce. - Nie jestem aż tak skomplikowany. Po prostu lubię od czasu do czasu posłuchać wiatru, zażyć trochę ruchu...

- Nie łatwiej zażywać ruchu na siłowni?

- Po co miałbym płacić za bieganie po bieżni, skoro tutaj mogę sobie pobiegać za darmo?

Machnęła dłonią, próbując przepędzić jakiegoś owada, który od dłuższego czasu brzęczał jej koło ucha.

- Tam przynajmniej nie ma żadnych much i innych paskudnych robali.

- Nie przesadzaj. Nie jest tak źle. Przyjdź tu w pełni sezonu, a dopiero zobaczysz, co to znaczy plaga komarów.

- Dziękuję bardzo. Chyba jednak nie skorzystam z propozycji. Nie cierpię krwiopijców.

- Czyli nie chodzisz na randki z prawnikami?

- Już nie.

Przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

- Mocno się sparzyłaś?

- Powiedzmy, że ledwie przypiekłam. - Jedynym prawnikiem, z jakim się umawiała, był Jack. O dziwo, w tej chwili sposób, w jaki zakończył z nią znajomość, nie wydawał jej się aż taki przykry, jak jeszcze

do niedawna. Uśmiechnęła się do Joego, lecz po chwili zrzędała jej mina. Zauważyła, że ścieżka skręciła w lewo, a na jednej z jej krawędzi zamiast drzew pojawiła się przepaść. Instynktownie odsunęła się jak najdalej od urwiska.

- Masz lęk wysokości?

Potrząsnęła głową.

- Pracowałam kiedyś na trzydziestym piętrze, a moje mieszkanie było na dziesiątym. - No tak, dodała w duchu, tylko że zawsze chroniła mnie jakaś szyba albo barierka.

Joe wydawał się nieporuszony faktem, że stąpa kilka centymetrów od zbrocza. Nie przeszkadzało mu, że w dole leży mnóstwo kamieni i upadek mógłby okazać się tragiczny w skutkach. Uspokoił ją nieco, mówiąc, że ten odcinek szlaku jest dość krótki. Mimo wszystko postanowiła zwracać mniej uwagi na towarzysza i skoncentrować się na tym, gdzie stawiać stopy. Trzeba przyznać, że z dala od cywilizacji wyglądał, jakby był w swoim żywiole.

Rozluźniła się nieco dopiero wtedy, gdy po obu stronach drogi znowu zobaczyła drzewa. Nie na długo. Chwilę później usłyszała w krzakach gwałtowne poruszenie, co wywołało nową falę przerażenia. Zaczęła wypytywać Joego, czy w lesie są jakieś drapieżniki. Poinformował ją ze stoickim spokojem, że pewnie są, ale osobiście nie natknął się nigdy na nic większego niż lis. Jego zdaniem usłyszała prawdopodobnie zającą.

Kilka metrów dalej wprost pod jej nogi wyszedł szop. Nie wrzasnęła. Zareagowała podobnie jak na większość innych zwierząt; znieruchomiawszy, zakryła sobie usta dłonią, żeby stłumić krzyk.

Na szczęście Joe okazał się bardzo wyrozumiały. Nie wyśmiał ani nie wytknął, że zachowuje się jak rozhisteryzowana dzierlatka. Zamiast

tego zaczął trzymać się w marszu bliżej niej i przywołał do nogi Bailey'a, który, biegając jak opętany, płoszył mieszkańców lasu. Okazywał jej wiele cierpliwości, ale kiedy na nią spoglądał, miała wrażenie, że w duchu żałuje, że ją ze sobą zabrał. Ona w każdym razie żałowała.

W końcu jej tętno wróciło do normy i zaczęła rozglądać się na boki. Niemal od razu zwróciła uwagę na ciekawą, srebrnozieloną barwę czegoś, co porastało niektóre drzewa i kamienie.

- Co to jest?

- Porosty.

- Mają bardzo ładny kolor. Byłby znakomity na jakąś lekko świecąca tkaninę, na przykład *dupioni* albo *charmeuse*.

- Powstają na podłożu odpornym na suszę poprzez symbiozę grzyba z glonem.

- Naprawdę? Nie wyglądają jak grzyby.

- Nie grzyby, tylko grzyb, najczęściej niedoskonały. To organizmy należące do plechowców.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy. Uśmiechnął się do niej samymi oczami.

- A mnie nic nie mówią nazwy tkanin, które przed chwilą wymieniałaś. Plechowce to rośliny wielokomórkowe o ciałach niepodzielonych na odrębne tkanki. Jest też inna definicja, ale gdybyś chciała ją poznać, musielibyśmy zagłębiać się w genetykę: gamety, haploidia i tym podobne. - Zatrzymał wzrok na jej ustach.

Czując, że gwałtownie przyspiesza jej tętno, Rebeka wyprzedziła go i ruszyła przodem. Nie chciała, żeby się zorientował, że jego obecność wyostrza jej zmysły.

- Co to jest *dupioni*?. - zawołał za nią.
- Rodzaj jedwabiu uzyskiwanego z poskręcanych włókien. Przy dziesięciu *momme* wychodzi piękna i mocna tkanina.
- Co to jest *momme*?
- Japońska jednostka miary używana do pomiaru ciężaru i kategoryzacji jedwabi. Nie stosuje się jej do rozróżniania innych tkanin. Wytłumaczyłabym ci to, ale musielibyśmy się zagłębiać w inne kryteria i mierniki grubości włókien.

Joe dał sobie spokój z dalszymi pytaniami i zajął się obserwowaniem jej poczynań na ścieżce. Z przyjemnością przesunął wzrokiem po kompletnie niepraktycznej, mikroskopijnej torebce, wyprostowanych plecach i smukłych długich nogach. Kiedy dotarł do wysokich butów, nie mógł dać wiary, że zaniósł ją aż tak daleko.

Przerwała mu kontemplację, uskakując gwałtownie na bok. Zmarszczyła czoło, wpatrzona w skręcony brązowy badył, który wzięła zapewne za jadowitego węża.

Zastanawiał się, kiedy wreszcie przyzna, że ma dosyć kontaktu z matką naturą jak na jeden dzień, i poprosi, żeby zabrał ją do domu. Gołym okiem widać było, że wędrówka nie sprawia jej najmniejszej przyjemności. Trzymała się jednak twardo, nawet słowem nie wspominając, że kiepsko znosi spacer. Dopiero kiedy dotarli wreszcie do celu, na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

Usiedli na kamieniach w pobliżu przecinającego polanę strumienia.

- Coś takiego - mruknęła Rebeka. - Prawdziwe spa w środku lasu. - Wpatrując się w spienioną wodę, zdjęła buty i zaczęła rozmasowywać sobie stopę. Nie zdziwił się, widząc, że jej skarpetki są idealnie

dopasowane do rdzawego koloru kamizelki. - Nie masz pojęcia, jak tęsknię za masażami i okładami z wodorostów.

Okładami z wodorostów? Też pomyśl. Co do masażu, doskonale ją rozumiał.

Wyjął z plecaka batoniki i podał jej jednego.

- Dzięki.

- Za czym jeszcze tęsknisz? - zapytał. Zdarła papierek i ugryzła kęs czekoladki.

- Za tajskim jedzeniem na wynos o drugiej nad ranem. Niedaleko mojego dawnego mieszkania jest taka mała knajpka, w której podają najlepszą na świecie zupę z krewetek z dodatkiem trawy cytrynowej. Dałabym się za nią pokroić. Brakuje mi też zakupów na wyprzedazach, teatrów i nocnych klubów, no i moich przyjaciół. Czasami marzę, żeby znowu usłyszeć znajomy miejski zgiełk, wycie syren, klaksony...

Dopóki nie przeprowadziła się na Danbury Way, nie sądziła, że istnieją miejsca, w których jest tak przeraźliwie cicho.

- A ty? - zmieniła temat rozmowy, nie chcąc zdradzać o sobie więcej szczegółów. - Gdybyś musiał wyjechać z Rosewood, za czym najbardziej byś tęsknił?

Zamyślił się, pochłaniając resztkę swojego batona.

- Za takimi miejscami jak to - odparł po chwili, przyglądając się, jak ugniata palcami zdrewniałą kończynę. - Za przyjaciółmi i za kliniką.

Wyciągnąwszy rękę, ujął ją za kostkę.

- Daj, ja to zrobię. - Położył sobie jej stopę na kolanie i zaczął delikatnie masować.

Rebeka zsunęła się na ziemię i oparła plecami o kamień. Zamierzała protestować, ale porzuciła ten pomysł natychmiast, gdy jej dotknął.

- Na pewno brakowałyby mi moich pacjentów - ciągnął spokojnie. - Jeziora, na które wypływam czasem łódką, szkolnych rozgrywek futbolowych, meczów koszykówki i bejsbolu. Mamy w Rosewood naprawdę dobre drużyny, chociaż przydałaby się nowa murawa na boisku. Jesienią, kiedy zaczyna padać, robi się tam jedno wielkie bajoro.

Wcześniej wydawało jej się, że jego dotyk ma właściwości uspokajające. Teraz zaczynała dochodzić do wniosku, że jest po prostu... magiczny.

- Uprawiałeś jakieś sporty w liceum?

- Trochę. Głównie koszykówkę, bo turnieje nie kolidowały z moimi obowiązkami w domu.

- W Rosewood?

- Nie. W Peterboro. To mała rolnicza miejscowość na północ stąd. Grałem też trochę w college'u - dodał, nim zdążyła zapytać go o rodzinę. - Ale pod koniec dałem sobie spokój. Nadmiar zajęć.

- Do jakiego college'u chodziłeś?

- Ithaca w Cornell. - Rozpoczął masaż drugiej stopy.

- A ty?

- Do Technicznego Instytutu Mody w Nowym Jorku. Założę się, że nie słyszałeś o naszej drużynie koszykarskiej.

- Raczej nie - odparł, zajęty ugniataniem jej palców.

- Brakuje ci tego? - zapytała, modląc się, żeby nie przestawał. - To znaczy koszykówki?

- Trochę jeszcze gram. Pomagam trenować dzieciaki z South Rosewood. - Wiedziała ze słyszenia, że to młodzieżowy dom kultury położony w mniej zamożnej części miasta. - Dyrektor ośrodka jest moim



klientem. Raz w tygodniu rozgrywamy mecz z wybraną drużyną. Kilku z nas przychodzi regularnie. Między innymi Adam Shubb.

Adam był mężem Molly. Wyglądało na to, że Joe jest nie tylko weterynarzem Shubbów, ale także ich dobrym znajomym. Bardziej niż to intrygował ją jednak fakt, że opowiada o swojej pracy z potrzebującą młodzieżą, jakby to była nic nieznacząca błaahostka. Właśnie miała go o to zapytać, kiedy natrafił kciukiem na obolałe miejsce na jej pięcie. Syknęła, wciągając ze świstem powietrze.

Jego dłoń natychmiast znieruchomiała. Nim zdążyła się zorientować, zmarszczył czoło i ściągnął jej skarpetkę.

Bailey, który do tej pory siedział u boku pana, podniósł się, otrząsnął i podszedł do Rebeki. Automatycznie się usztywniła, jak zwykle niezbyt uradowana bliskością czworonoga. Chwilę później poczuła dziwny skurcz żołądka, kiedy palce Joego musnęły bezpośrednio jej skórę.

Pies położył łeb na jej udzie.

- Masz olbrzymi pęcherz.

Mam na sobie olbrzymie psisko, pomyślała, krzywiąc się w duchu. Zerknęła na niego ukradkiem. Spojrzał najpierw na Baileya, potem na nią i spokojnie sięgnął do plecaka. Nic sobie nie robił z tego, że jego owczarek upatrzył ją sobie zamiast poduszki. A może czekał na jej reakcję? Na pewno dostrzegł, że jest podenerwowana.

- Wszystko w porządku? Jeśli nie, każę mu zejść. Bailey zamrugał oczami i zaskomlał cicho, położywszy łapę na nodze dziewczyny.

- Domaga się pieszczot - wyjaśnił Joe, zrywając opakowanie z plastra. Pochylił głowę i zaaplikował ostrożnie opatrunek.

Rebeka rzadko zapominała języka w buzi. Jeszcze rzadziej czuła się całkowicie rozbrojona. Teraz przytrafiło jej się jedno i drugie naraz.

Zdarzało się, że mężczyźni nosili za nią paczki, przepuszczali w drzwiach albo nieśli jej nad głową parasol, ale nigdy dotąd nie miała poczucia, że jakiś facet naprawdę się nią opiekuje. Spotkało ją to po raz pierwszy właśnie teraz, kiedy Joe opatrywał jej stopę.

Nie bardzo wiedziała, co począć. Do tej pory sama potrafiła doskonale o sobie zadbać.

- Druga stopa wygląda w porządku - oznajmił Joe.

Nawet nie zauważyła, kiedy jej dłoń spoczęła na karku Bailey'a. Była zbyt zaabsorbowana swoim kompanem. Pies wydał jej się nagle zdecydowanie mniej groźny niż uczucia, jakie wzbudzała w niej bliskość jego pana.

- Dzięki - odezwała się, wyjmując mu z dłoni skarpetkę. - Sama sobie założę. - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to niewdziecznie. Na wszelki wypadek posłała mu uśmiech. - Masz dziś wolne. Nie powinieneś pracować. Będziesz musiał się ruszyć, kolego - zwróciła się do Bailey'a. - Nie mogę dosięgnąć butów.

Joe przywołał go do nogi.

- Dokąd zazwyczaj stąd chodzisz?

- Do wieży pożarniczej. Lubię oglądać roztaczające się stamtąd widoki.

- Gdzie to jest?

- Tam - wskazał ręką wierzchołek góry, którą mieli za plecami.

Spojrzała na niego z mieszaniną niedowierzania i przerażenia w oczach.

- Nie bój się, nie planuję tam dzisiaj iść.

Poczuła niewysłowioną ulgę. Postanowiła, że to jej pierwsza i ostatnia piesza wycieczka w życiu.

Joe wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Uścisk jego dłoni był silny i zdecydowany, a skóra emanowała ciepłem. Na jego przystojnej twarzy malowało się nieskrywane zaciekawienie.

Nie puścił jej ręki, a może to ona nie puściła jego. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, nie ruszając się z miejsca. Kiedy zatrzymał wzrok na jej ustach, zaciekawienie w jego oczach przerodziło się w coś znacznie trudniejszego do rozszyfrowania.

Serce tłukło jej się w piersi, jakby za chwilę miało wyskoczyć. Nie miała z tym mężczyzną absolutnie nic wspólnego. Różnili się od siebie pod każdym względem. A jednak jego bliskość wytrącała ją z równowagi, wywołując gwałtowne emocje, nad których naturą wołała się nie zastanawiać.

To wszystko kompletnie nie miało sensu. Nic ich nie łączyło, a jednocześnie tak łatwo im się ze sobą rozmawiało. Jakby znali się od dawna.

Przywołując się do porządku, z rozmysłem wysunęła rękę z jego dłoni i odwróciła się, żeby strzepać pył ze spodni.

- Zamierzałeś zrobić dziś jakieś zdjęcia? - zapytała, by rozładować napięcie.

Jeśli nawet wyczuwał między nimi intensywne wibracje, nie dał tego po sobie poznać. Może podobnie jak ona postanowił zwyczajnie je zignorować.

- Tak, Baileyowi. Co roku wydajemy kalendarz. Każdy miesiąc to fotografia innego zwierzaka. Rozsyłamy potem gotowe egzemplarze klientom kliniki.

- Doskonała reklama - pochwaliła, rozglądając się dookoła. - Na tle czego chcesz go sfotografować?

Zlustrowawszy otoczenie, Joe zdecydował się zacząć w pobliżu skupiska brzoź. Rebeka poprosiła, żeby zrobił także kilka zdjęć porostów i kamieni w strumieniu. Jedne i drugie miały wyjątkowo interesujące zabarwienie. Spodobało jej się także mnóstwo innych kolorów, które zaobserwowała na drzewach i krzewach. Ten spacer mógł się dla niej okazać bardzo użyteczny. Wpadł jej do głowy pomysł na artykuł o męskich ubiorach w odcieniach natury. Może mężczyźni zaczęliby nosić bardziej jaskrawe tonacje, gdyby ktoś uświadomił im, że takie barwy występują na co dzień w przyrodzie.

Joe odniósł się do tej koncepcji raczej sceptycznie. Stwierdził, że kolor turkusowy również występuje w przyrodzie, a żaden facet nigdy by go na siebie nie włożył. Jego zdaniem mężczyźni ogólnie nie przepadali za jaskrawymi tonacjami.

Rebeka nie dała tak łatwo za wygraną. Przekonywała, że jaskrawe kolory mają wiele różnych odcieni. Pokazawszy mu palcem krzew o ciemnokarmazynowym ukwieceniu, oznajmiła, że byłoby mu do twarzy w wyrazistym bordo.

Roześmiał się i poinformował ją, że ten krzak to trujący sumak i wolałby nie mieć z nim nic wspólnego. Odwzajemniła uśmiech i zaczęła mu się przyglądać, gdy robił zdjęcia. Musiała przyznać, że bardzo lubi jego towarzystwo. Szkoda tylko, że wciąż doskwierały jej owady i mocno obolała pięta. Nie skarżyła się na pęcherz, bo nie chciała usłyszeć „a nie mówiłem?”. Wpatrując się w plecy Joego, doszła do wniosku, że byłby doskonałym materiałem na przyjaciela... gdyby tylko nie ten piorunujący efekt, który wywoływał u niej jego dotyk.

Przyjaciela z pewnością by jej się przydał. Na razie nie pragnęła niczego więcej.

Nie była pewna, czego on chce, choć przez moment wydawało jej się, że zamierzał zrobić jakiś ruch, gdy pomógł jej wstać. Później jednak cały czas trzymał się już na dystans.

Za to jego pies praktycznie ją adoptował. Nigdy by nie przypuszczała, że może się zakolegować z czymś tak dużym i kudłatym. Mimo to pod koniec dnia żywiła do Bailey'a zdecydowanie przychylne uczucia.

Być może dlatego, że odzyskał dla niej butelkę z wodą, która spadła jej podczas marszu z kilkumetrowej skarpy. Kiedy pomyślała, że miałyby schodzić po nią sama... brr...

Dzięki Joemu uświadomiła sobie, że jej wiedza o zwierzętach jest znikoma. W drodze powrotnej nauczyła się od niego wielu cennych rzeczy. Nie zdawała sobie na przykład sprawy, że koty mogą ją zaczepiać po to, żeby się pobawić. Dopiero teraz zrozumiała, że tęsknią za właścicielami i dlatego szukają z nią kontaktu. Wyczuwały, że się ich boi, więc same też się jej bały.

Bailey nie miał podobnego problemu. Zachowywał się przy niej zupełnie swobodnie. Za każdym razem, gdy siadała, wyciągał się obok niej i kładł jej łeb na kolanach, bezwstydnie domagając się pieszczot.

Teraz też wsadził pysk między siedzenia, gdy tylko umilkł warkot silnika.

Joe odwrócił się w stronę Rebeki i zauważył leżącą obok fotela kopertę.

Skrzywił się, spojrzawszy na zegarek. I tak wrócili godzinę później, niż planował.

- Zapomnieliśmy o twojej ankiecie.

- Nie szkodzi. - Poglaskała puszystą sierść owczarka. - Możemy przejrzeć pytania teraz.

- Niestety, obawiam się, że dziś nie damy już rady. Nie sądziłem, że jest aż tak późno. - Pewnie skończy wypełniać papierki dopiero po północy. - Może spróbowałibyśmy jutro? - zaproponował, wiedząc doskonale, że jest zainteresowany czymś więcej niż tylko kwestionariuszem. - Około trzeciej będziemy z Baileyem bawić się w parku frisbee.

## Rozdział 4

Rebeka nie była pewna, czy ma pójść do parku o trzeciej czy nieco później, kiedy już „chłopcy” skończą zabawę. Zresztą wcale nie powiedziała, że przyjdzie. Przyjęła tylko do wiadomości, że Joe i Bailey tam będą. Nie chciała, żeby to spotkanie choćby w najmniejszym stopniu przypominało randkę.

To, że próbowała się usprawiedliwić przed samą sobą, uzmysłowiło jej, że prawdopodobnie interesuje się przystojnym panem doktorem o wiele bardziej, niżby sobie tego życzyła.

Dotarła do parku kwadrans po piętnastej, wmawiając sobie, że jedynym powodem, dla którego się tu znalazła, jest ankieta.

Był piękny jesienny dzień. Zbyt piękny, żeby siedzieć w domu, jak by powiedział Joe. Oj, niedobrze. To zły znak, kiedy kobieta zaczyna cytować faceta. Gdy zaczyna powtarzać jego słowa koleżankom, może być pewna, że wpadła jak śliwka w kompot.

Rozejrzała się dookoła. Ani śladu Bailey'a i jego pana.

Plac zabaw był pełen dzieci. Wdrapywały się na drabinki, ślizgały na zjeżdżalniach albo bujały na huśtawkach. Znała kilkoro z nich. Dwie jasnowłose siedmiolatki szalejące na karuzeli były jej sąsiadkami. Olivia, córka Angeli Schumacher, i Emily, mała Jacka.

- Rebeka? - Szykowna blondynka przywołała ją do siebie gestem.

Siedziała przy stoliku z dwoma synami, pięcioletnim Michaeliem i dziewięcioletnim Anthonym. Starszy chłopiec był całkowicie pochłonięty swoim gameboyem.

Jak głośno plotki, źle znosił rozłąkę z ojcem i ostatnio sprawiał mamie sporo kłopotu. Mimo problemów i braku czasu Angela radziła sobie znakomicie. Rebeka miała dla niej wiele podziwu. Pracowała w pełnym wymiarze godzin jako kierownik recepcji w gabinecie stomatologicznym i jeszcze na pół etatu w butikach z artykułami dziecięcymi. Jej pociechy były zadbane i zawsze wyglądały idealnie, podobnie jak ona sama. W dodatku znakomicie gotowała i urządziła najlepsze przyjęcia na całej Danbury Way.

Rebeka była beznadziejną kucharką. Najczęściej jadła gotowe dania wymagające wyłącznie podgrzania w mikrofalówce. Jeśli chciała zrobić imprezę, zatrudniała firmę cateringową.

- Nie spodziewałam się zobaczyć cię w takim miejscu - odezwała się z uśmiechem Angela. - Sądziłam, że przychodzą tu tylko ludzie z dziećmi, z psami albo przynajmniej z książką.

Na wzmiankę o dzieciach Rebeka zerknęła z niepokojem w stronę dziewczynek na karuzeli. Córka Jacka wyglądała jak miniaturowa kopia ojca.

- Nie ma tu Jacka ani Zoey, jeśli to cię martwi - w głosie sąsiadki słychać było nutkę współczucia. - To ja zabrałam ze sobą Emily. Chciała

się pobawić z Olivią. Czasami mi się zdaje, że te małe są zrosnięte biodrami.

- Każda dziewczyna potrzebuje przyjaciółki. - Uspokojona, że uniknie niezręcznej sytuacji, Rebeka nieco się rozluźniła. - Niektórych rzeczy mężczyźni po prostu nie są w stanie pojąć.

- Święta racja - zgodziła się Angela, przyglądając się z uznaniem kamizelce ze sztucznego futerka i tweedowym spodniom koleżanki. - Co cię sprowadza do parku?

Wolałaby nie usłyszeć tego pytania, zwłaszcza że doktor Hudson najwyraźniej się rozmyślił. Wmówiła sobie wprawdzie, że wcale się z nim nie umawiała, ale i tak miała poczucie, że wystawił ją do wiatru.

Wygrzebawszy z torebki kopertę, zamierzała właśnie wyjaśnić, że jest tu poniekąd służbowo, kiedy ni stąd, ni zowąd wylądował jej pod nogami różowy plastikowy dysk, a zdyszany Bailey usiadł i spojrzał na nią wyczekująco.

- Ojej, jakiś ty cudny - zachwyciła się Angela, głaszcząc go po łbie.

- Chyba wolałby, żeby nazwała go pani przystojnym - zauważył właściciel owczarka, który właśnie do nich dołączył. Prowadził na smyczy drugiego psa, niewielkiego, z szarą sierścią. Nie mógł ważyć więcej niż cztery kilogramy.

- Joe - przywitała się Rebeka.

- Z daleka nie byłem pewien, czy to ty. - Przeniósł wzrok na drugą kobietę i wyciągnął rękę. - Joe Hudson - przedstawił się. - Mój kudłaty przyjaciel wabi się Bailey.

- Angela Schumacher. Miło mi.



- Joe jest weterynarzem - wyjaśniła pospiesznie Rebeka, próbując rozwiać domysły, których ślad dostrzegła w oczach sąsiadki. - Opiekuję się moimi kotami. Czyj to pies?

- Mój. Reks jest bardzo towarzyski. Chciał koniecznie przyjść, więc go ze sobą zabrałem.

- Masz dwa psy?

- Mam też iguanę, ale nie przepada za smyczą. Jesteś gotowa, żeby pograć we frisbee?

Uniosła ze zdziwieniem brwi. Boże, czy on właśnie powiedział, że trzyma w domu gigantyczną jaszczurkę?

- Mam z wami grać? Nawet nie wiem, jak. - Wydawało jej się, że po wczorajszej eskapadzie wiedział już, iż nie jest miłośniczką zabaw w plenerze.

- Nie bój się. To niezbyt skomplikowane. Rzucasz frisbee, a pies przynosi ci je z powrotem. I tak w kółko.

Myślała, że popatrzy sobie na nich z daleka, a potem usiądą przy jakimś stoliku i omówią spokojnie jej ankietę. Zastanawiała się, jak się wykręcić, ale na szczęście uratowały ją psy.

Mike, Olivia i Emily przybiegli do Angeli, dopytując się jedno przez drugie, czy mogą pogłaskać zwierzęta.

- Spokój, dzieciaki. - Ta dwójka jest moja - wyjaśniła Joemu. - I ten na ławce z gameboyem. A Emily to nasza wspólna sąsiadka.

Rebecce przyszło nagle do głowy, że większość mężczyzn nie czułaby się swobodnie wśród gromadki rozwrzeszczanych kilkulatków. Joe jednak nic sobie z tego nie robił. Przykucnął między nimi i po kolei pokazywał im, jak bezpiecznie podejść i pogłaskać Reksa i Bailey'a.

- Twój starszy syn nie lubi zwierząt? - zwrócił się do Angeli.

- Anthony? Lubi, ale nie możemy sobie pozwolić na żadnego zwierzaka.

- Może chciałby się pobawić z moimi?

- Zwykle odpowiedziałabym, że tak, ale dzisiaj nie mam pojęcia. Nie jest w najlepszym nastroju.

- Jak chcesz, zabiorę wszystkie dzieciaki na trawnik i porzucamy razem frisbee.

Dziewczynki zaczęły podskakiwać, jakby miały w butach sprężyny.

- Możemy, mammo?!

- Możemy, pani Schumacher?

- Prosimy, mamusiu. - Mike uczeplił się jej nogawki.

- Jesteś pewien, że wiesz, na co się porywasz? - Angela spojrzała sceptycznie na Joego.

- Nie mam wyboru. - Skinął głową w stronę Rebeki. - Ona nie chce się ze mną bawić. - Odwrócił się na pięcie, zabierając ze sobą dzieci i psy.

- To z nim byłaś wczoraj na randce.

- Skąd wiesz?

- Cała ulica wie. Sylvia widziała was, kiedy odjeżdżaliście spod domu. Opisała Molly, jak wygląda jego samochód, i ta od razu zgadła, kto to. Już wcześniej wyczuła, że mu się podobasz.

- Kto? Sylvia?

- Nie, Molly. Nie wiedziała tylko, że umówiłaś się z nim na randkę.

- To wcale nie była randka. Raczej spotkanie... w interesach.

Angela uniosła z powątpiewaniem brew.

- W każdym razie ten twój pan doktor jest bardzo spostrzegawczy.

- Zgadzam się, że jest spostrzegawczy, ale z pewnością nie jest moim panem doktorem.

Domyślił się, że jeśli zaprosi młodsze dzieci do zabawy, starszemu chłopcu łatwiej będzie się przyłączyć. Nie pomylił się. Anthony spojrzał pytająco na matkę, która skinęła przyzwalająco głową. Mały natychmiast poderwał się z miejsca.

Rebeka zerknęła z daleka na Joego. Ludzie nie często zadawali sobie trud, by zrobić to, co on zrobił dziś dla Angeli i jej zbuntowanego syna. W końcu byli dla niego zupełnie obcymi ludźmi. To wiele mówiło o nim jako o człowieku.

- Molly uważa, że jest bardzo dobrym weterynarzem.

- Ja też tak sędzę - zgodziła się szybko, zbyt szybko, Rebeka. -

Chociaż nie mam porównania, bo nie znam żadnego innego.

- Widzę, że z dziećmi radzi sobie równie dobrze jak ze zwierzętami.

To prawda, ale lepiej się nad tym nie rozwodzić. Wszystko zdawało się świadczyć na jego korzyść. Wydawał się porządnym, uczciwym i odpowiedzialnym facetem. Rebeka nie chciała jednak zacząć o nim marzyć i wyobrażać sobie zbyt wiele. To do niczego nie prowadziło, tym bardziej że nie chciała się teraz z nikim wiązać. Nawet jeśli potencjalny kandydat byłby chodzącym ideałem.

- Nie mogę na to pozwolić - odezwała się Angela.

- Na co?

- Żeby męczył się z nimi w pojedynkę. Chodźmy mu pomóc. Nie masz jakichś płaskich butów?

- Raczej nie.

- Ani jednej pary tenisówek?

- No... mam jedno, ale do niczego mi nie pasują. Koleżanka potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Lepiej wyjmij je z szafy i odkurz. Dostrzegam w tym facecie ogromny potencjał.

- To sama zacznij z nim chodzić.

- To nie mną się interesuje. Poza tym nie szukam mężczyzny. Mam dość własnych problemów.

- Dałaś sobie spokój z facetami?

- Można to tak ująć.

Westchnąwszy ciężko, Rebeka podniosła się z ławki i wyprostowała ramiona.

- Ja też.

Dni robiły się coraz krótsze. O wpół do piątej słońce chowało się za drzewami, a temperatura spadała o kilka stopni. Większość spacerowiczów zaczynała powoli rozchodzić się do domów. Angela pozwoliła dzieciakom ostatni raz przytulić psy i pognąła całą czwórkę do samochodu.

Joe podszedł do ławki, na której siedziała Rebeka. Zauważywszy, że trzyma pod pachą żółtą kopertę, stropił się i spojrzał na nią przepaszająco.

- Znowu nie omówiliśmy twoich pytań. Tutaj jest za ciemno. Wiesz co, daj mi tę ankietę do domu. Wypełnię ją najlepiej, jak będę umiał, i oddam ci ją, kiedy przywieziesz Kolumba na kontrolę.

- Okay. Nie ma problemu - odparła, próbując ukryć

rozczarowanie. Miała nadzieję, że zaprosi ją na kolację. W mieście było kilka przyzwoitych restauracji, a przecież oboje byli głodni. -

Zadzwoń, jeśli coś będzie niejasne. - Uśmiechnęła się na tyle naturalnie, na ile ją było stać.

Odbierając od niej kopertę, Joe uważnie jej się przyglądał. Dotąd nie widział jej jeszcze z rozpuszczonymi włosami. Tak bardzo zapragnął ich dotknąć, że aż świerzbiły go palce. Jak każdy mężczyzna na początku

znajomości zauważał przede wszystkim jej powalającą urodę. Piękne rysy i zgrabne ciało. Teraz jednak, kiedy obserwował ją w świetle latarni, jego uwagę przykuło coś zupełnie innego. Coś, co dostrzegł w jej oczach.

Widował to wcześniej u zwierząt. Słabsze osobniki ukrywały często rany, żeby nie stać się łatwiejszym celem dla drapieżników. W ich świecie ta cecha stanowiła często klucz do przetrwania.

Podobny mechanizm obronny wychwycił u Rebeki. Nie spodobałoby jej się to, ale miała w sobie coś z małej zagubionej dziewczynki, mimo że pragnęła uchodzić za osobę zaradną i praktyczną. Jej wielkowiejska, pełna pewności siebie postawa była tylko zasłoną dymną, za którą skrywała ból i słabości. Pod maską światowej kobiety czaił się ogromny smutek.

Postanowił odkryć jego przyczyny. Nie próbował nawet dociec dlaczego, ale nagle stało się to dla niego bardzo ważne.

- Gdzie zaparkowałaś samochód?

- Trochę dalej. Przy drugim wejściu.

- Chodź, odprowadzę cię. Przy okazji powiesz mi, czy mam rację.

- Rację? - zdziwiła się. - Co do czego? Szli obok siebie, każde z psem u nogi.

- Nie powiedziałaś mi, po co przyjechałaś do Rosewood, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że chciałaś przed czymś uciec.

Podziwiała jego przenikliwość, ale niekoniecznie wtedy, gdy dotyczyła bezpośrednio jej osoby.

- Masz jakieś kłopoty?

Zaskoczona troską w jego głosie, z zaciekawieniem spojrzała mu w twarz.

- Kłopoty?

- Jesteś w programie ochrony świadków czy coś w tym rodzaju?

Nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy tylko ją prowokuje. W każdym razie nie uśmiechał się.

- Aż tak rzuca się w oczy, że nie pasuję do tego miejsca? - odpowiedziała pytaniem.

- Tego nie powiedziałem. Ale pewnie tak pomyślałeś.

- No więc? - Uniósł wyczekująco brew.

- Nie. Nie mam żadnych kłopotów. W każdym razie nie takich, które wymagałyby zmiany tożsamości. Próbuję tylko...

...Odnaleźć samą siebie, dokończyła w myślach. Całe szczęście, że się powstrzymała, żeby nie powiedzieć tego na głos.

- Czyli, że jednak uciekasz - powtórzył swoją teorię.

- To nie do końca tak.

- A jak? Powiesz mi, przed czym?

- Nie powiedziałam, że przed czymś uciekam.

Zatrzymał się gwałtownie i chwycił ją za ramię. Chcąc się upewnić, że uważnie go słucha, dotknął palcami jej podbródka i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Coś musi być nie tak - stwierdził z przekonaniem. - Nie wierzę, że zaprzeczałabyś tak uparcie, gdyby było inaczej. Jeśli powiesz mi o swoich problemach, może będę mógł ci jakoś pomóc.

Chce mi pomóc, pomyślała odrobinę skonsternowana i zaskoczona. Raczej nie miał wobec niej żadnych ukrytych planów. Chodziło mu wyłącznie o rozmowę, a przecież rozmawiało im się wyjątkowo dobrze.

Poczuła, że musi go przekonać, że przed niczym nie ucieka, a przynajmniej niezupełnie.

- Rzeczywiście, miałam ochotę wyrwać się z Nowego Jorku - odezwała się po dłuższej przerwie. Nie była jeszcze gotowa, żeby mu

powiedzieć, że bezpośrednim powodem jej przyjazdu był ojciec. Zwłaszcza teraz, kiedy straciła pewność, czy nadal chce go poznać. - Nie układało mi się szczególnie dobrze. Wszystkie moje przyjaciółki albo wychodziły za mąż, albo rodziły dzieci, a ja akurat rozstałam się z chłopakiem. Na dodatek włamali się do mojego mieszkania...

To nadal nie tłumaczyło powodu jej pojawienia się w Rosewood. Joemu wystarczyło jednak, że zobaczył, jak obejmuje się ramionami, kiedy mówi o swoim eks. Nagle wszystko stało się jasne.

- Kto zerwał? Ty czy on? - zapytał, choć domyślał się odpowiedzi.

- On. Popełniłam niewybaczalny błąd, pytając, czy zamierza kiedykolwiek się ze mną ożenić. Powiedział, że nie chce o tym rozmawiać. Za to ja chciałam, więc postanowiłam go przycisnąć. Cóż, sama się o to prosiłam. Na pytanie, dlaczego nie ma ochoty o tym rozmawiać, odpowiedział, że małżeństwo ze mną nie wchodzi w rachubę i że nigdy nie brał takiej możliwości pod uwagę.

Uświadomiwszy sobie, do czego się właśnie przyznała, potrząsnęła z niezadowoleniem głową.

- Nie mogę uwierzyć, że ci o tym mówię.

Joe zawahał się. Cieszył się z tego, że mu się zwierzyła. Pierwszy raz, odkąd ją poznał, miał poczucie, że zaczyna rozumieć kobietę, która kryła się pod maską perfekcyjnego makijażu i markowych strojów. Z drugiej strony doznał uczucia, że los rzuca mu z powrotem w twarz fragment jego własnej przeszłości.

Mężczyzna, za którego Rebeka pragnęła wyjść za mąż, pozbawił ją złudzeń i podeptał jej marzenia.

On zrobił dokładnie to samo Sarze Jennings. To się stało całe wieki temu. Postąpił tak dla dobra ich obojga, a jednak wciąż miał poczucie

winy, bo wiedział, że ją skrzywdził. Kobiety uważały coś takiego za przejaw ostatecznej zdrady. Niektóre cierpiały potem latami.

- Twój były nie uznawał pewnie instytucji małżeństwa - powiedział ostrożnie.

- Mylisz się. Jego zdaniem nasz problem polegał na tym, że niewystarczająco mnie kochał. Dwa miesiące po zerwaniu ze mną, ożenił się z inną.

- Spotykał się z nią, kiedy jeszcze byliście razem?

- Tak. Poznał ją jakiś miesiąc przed naszym ostatecznym rozstaniem.

- Jezu... - wyrwało mu się spontanicznie.

- Też tak myślę. - Uśmiechnęła się blado. - Trochę to było bolesne.

Wiele by dała, żeby pozbyć się wreszcie tego bólu, który zadomowił się w jej duszy na stałe. Najbardziej doskwierało jej jednak poczucie braku własnego miejsca na ziemi. O dziwo, kiedy rozmawiała z Joem, te przykre uczucia nie wydawały jej się już takie straszne.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Zresztą, to wcale nie było takie ważne. Najważniejsze, że mogła na niego liczyć. Ofiarowywał jej przyjaźń i wsparcie, którego tak bardzo potrzebowała. Chciał jej pomóc. Ośmielona, postanowiła zapytać go o coś, co dręczyło ją od wielu tygodni.

- Obawiam się, że to jakaś zła passa - zaczęła podejrzanie lekkim tonem. - Jakiś czas temu zaczęłam się umawiać z kimś stąd. To nie było nic poważnego. Poszliśmy tylko kilka razy na kolację. Tak czy owak, on też rzucił mnie dla innej. - Zaśmiała się nerwowo. - Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mi powiedział, co jest ze mną nie tak. Może dzięki temu następnym razem nie zrobię z siebie idiotki.

Potrząsnęła głową i odgarnęła włosy z czoła. Powinna była trzymać język za zębami. Mógł ją uważać za nieprzystosowaną, skomplikowaną



albo nawet zdziwaczała, ale za nic nie chciała, żeby pomyślał, że jest zwyczajnie żalosna.

Uniósłszy dłoń, jakby w obronnym geście, próbowała się ze wszystkiego wycofać.

Joe złapał ją za rękę i odwrócił ku sobie. Przez chwilę w ogóle się nie odzywał. Wpatrywał się w jej rozwiane włosy, wodząc oczami po jej twarzy.

Nie lubił analizować swoich relacji z ludźmi. Instynktownie wiedział, co wypada, a co nie wypada. Wiedział też, co go pociąga, a czego nie znosi.

Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w poważny związek z osobą, która została porzucona i do tej pory się z tego nie otrząsnęła. Wystarczająco się już nacierpiała. Wolał nie zaczynać czegoś, czego mógłby potem żałować. Nie darowałby sobie, gdyby przysporzył jej niechcący jeszcze większych zgryzot.

Mimo że miał na głowie mnóstwo spraw, zamierzał odwiedzić psy do domu i zaprosić ją gdzieś na pizzę. Teraz jednak doszedł do wniosku, że lepiej będzie trzymać się na dystans. Puścił jej dłoń i odgarnął włosy za ucho. Tak jak przypuszczał, były gładkie jak jedwab. Kusiło go, żeby dotknąć jej twarzy, ale rozsądek wziął górę.

- Nie ma czego naprawiać - powiedział z przekonaniem. - Jesteś doskonała taka, jaka jesteś. Po prostu nie spotkałaś jeszcze właściwego faceta.

Pewność, z jaką wypowiadał te słowa, podziałała na Rebece i jej zranione serce jak balsam. Była poruszona i wdzięczna za życzliwość, którą jej okazywał.

Spuściła głowę, żeby nie wyczytał z jej twarzy zbyt wiele. Dla niego to chleb powszedni. Pomagał ludziom i zwierzętom na co dzień. Nawet obcym. Tak jak dzisiaj Angeli.

Zatrzymali się przy samochodzie. Rebeka pochyliła się i pogłaskała po kolei oba psy. Odkąd Joe wytłumaczył jej, że postawa człowieka ma duży wpływ na zachowania zwierząt, nie odczuwała już przed nimi takiego lęku jak kiedyś. Nie bała się przynajmniej tych, które знаła. W tej chwili cieszyła ją obecność Baileya i Reksa, bo koncentrując się na nich, mogła zignorować powracające uczucie pustki.

- O której masz być w czwartek w przychodni?

- Chyba o dziesiątej.

- Postaram się, żeby ankieta była do tego czasu gotowa. -

Uśmiechnął się życzliwie.

- Zadzwoń. Gdybyś miał jakieś pytania - dodała pośpiesznie.

- Dobrze, zadzwonię. Do zobaczenia.

- Cześć. - Pożegnała się, patrząc za nim, jak odchodził z psami.

Zrobiło się chłodno. Otuliwszy się ramionami, wsiadła do samochodu i pomyślała, że to niemożliwe, żeby Joe był aż tak wspaniały, jak jej się wydaje. Takich mężczyzn już nie ma. Ideały można spokojnie włożyć między bajki.

Dokładnie to samo powtórzyła Molly, kiedy sąsiadka zadzwoniła do niej wieczorem. Koniecznie chciała się dowiedzieć, co się święci między nią i Joem. Dowiedziała się od Megan, której z kolei powiedziała o tym Angela, że byli razem w parku, i od tamtego czasu nie była w stanie usiedzieć spokojnie w miejscu.

- Nic się nie święci - oznajmiła spokojnie Rebeka.

- Obiecał, że pomoże mi przy artykule. Spotkałam się z nim, żeby dać mu ankietę do wypełnienia. Mam też taką dla twojego męża. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Na pewno nie, ale uprzedzam, że dla Adama ważne jest tylko to, czy założył skarpetki do pary. Reszta zupełnie go nie interesuje. Nigdy się nie zastanawia, co do czego pasuje. - Westchnęła z niejakim rozczarowaniem.

- Więc mówisz, że nic się nie dzieje?

- Nic. Naprawdę. Jeżeli nie będzie miał problemu z pytaniami, pewnie nawet nie zadzwoni.

Mimo tych zapewnień miała nadzieję, że jednak zadzwoni.

Nie zadzwonił. Przez cały tydzień nie odezwał się ani razu. Ani kiedy ślęczała nad zaległym artykułem, rozwodząc się na temat letnich trendów dotyczących wyglądu stóp i obuwia, ani kiedy studiowała całe stopy najnowszych numerów czasopism branżowych. Nie nagrał się nawet na sekretarkę, kiedy wychodziła z domu, żeby rozprowadzić na mieście ankietę. Większość zostawiła dla klientów w sklepach i butikach z męską odzieżą. W czwartek rano, przed wyjazdem do kliniki, miała raczej mieszane uczucia.

Dzwonek telefonu zadźwięczał, kiedy zdążyła już dwa razy się przebrać.

## Rozdział 5

- Cześć, mamó! - Przytrzymując słuchawkę podbródkiem, Rebeka wciągnęła przez głowę sweter. - Masz okropnie zmieniony głos. Co się stało?

- Nic takiego. Przeziębiam się - odpowiedziała Lillian Peters, spoglądając przez okno swojego mieszkania na Manhattanie. - Chciałam sprawdzić, jak ci się mieszka na przedmieściu. Nadal nie rozumiem, dlaczego rzuciłaś taką wspaniałą pracę, rezygnując z własnego gabinetu, i to z oknem.

Biuro Rebeki miało tylko marną namiastkę okna, ale nie w tym rzecz. Matka nie rozumiała jej decyzji o wyjeździe, bo nie miała pojęcia, jakie motywy nią kierowały. Nie zadzwoniłaby o tej porze w środku tygodnia gdyby nie siedziała sama w domu złożona grypą. Zwyczajnie jej się nudziło. Albo czuła się samotna.

Rebeka kochała matkę. Podziwiała jej zapał do pracy i profesjonalizm. Lillian była handlowcem. Miała niesamowitą intuicję i instynkt zabójcy, kiedy trzeba było wynegocjować dla pracodawcy korzystny kontrakt. Czasami jednak, zwłaszcza kiedy nie czuła się na tyle dobrze żeby mieć siłę na zachowywanie pozorów, dochodziło do głosu jej słabsze, bardziej wrażliwe ja. Wydawała się wtedy kompletnie bezbronna.

Szkoda, że odziedziczyłam po niej tę właśnie cechę, westchnęła Rebeka. Wolałaby przejąć talent matki do wypierania ze świadomości niechcianych lub niewygodnych myśli.

- Tłumaczyłam ci już, że chciałam spróbować sił jako wolny strzelec.  
- Usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po but. - Jesteś pewna, że to nic poważnego? Nie poszłaś do pracy, a to znaczy, że musi być fatalnie.

- Nie mogłabyś być wolnym strzelcem na Manhattanie? Jestem pewna, że to nic groźnego. Leżę w łóżku z coldreksem.

- Znam go?

Lillian roześmiała się i zaczęła kasłać.

- A propos facetów. Nadal spotykasz się z tym panem z agencji reklamowej? Jak on miał na imię? Arnold?

- Armand - poprawiła córkę Lillian. - Dałam sobie z nim spokój. Był chorobliwie monotematyczny. Potrafił gadać wyłącznie o tym, ile zdziera z niego była żona. Nie znoszę tego. Kiedy kelner przynosił nam menu, czułam się w obowiązku zamówić tylko sałatkę, żeby nie nadwerężyć jego kieszeni.

Jeśli chodzi o mężczyzn, obie nie miały szczęścia. Chociaż Lillian wciąż była szalenie atrakcyjna mimo swoich czterdziestu siedmiu lat, nigdy nie wyszła za mąż. Prawdopodobnie większość jej znajomości kończyła się po trzeciej randce. Być może dlatego, że w sprawach uczuciowych zachowywała zawsze wyjątkową ostrożność. Dopóki mieszkały razem, żaden facet nie spędził nigdy nocy w ich mieszkaniu, a większość nie przestępowała nawet progu. Zjawiali się czasem tylko po to, żeby naprawić ciekący kran.

Po przeczytaniu jej pamiętnika Rebeka miała jednak pewność, że matka co najmniej raz w życiu była bardzo zakochana. Oficjalnie nigdy się jednak do tego nie przyznała. Kiedy córka próbowała wypytywać ją o dawny romans, natychmiast zmieniała temat.

Tylko raz uzyskała nieco bardziej konkretną odpowiedź.

„To dobry człowiek, ale sytuacja była zbyt skomplikowana i nie mogliśmy zostać razem. Nie ma go w naszym, życiu i nigdy nie będzie. Pogódź się z tym”.

Po tej rozmowie Rebeka przestała pytać o ojca. Miała wtedy czternaście lat. Ciekawość jednak pozostała. Aż do dzisiaj. Szkoda tylko, że opinia matki nie zgadzała się z tym, co usłyszała o starszym Leverze od Jacka, który uważał ojczyma za skupionego wyłącznie na swoich interesach egocentryka. Nie zamierzała na razie wspominać Lillian o swoich poszukiwaniach. Postanowiła, że powie jej o tym dopiero po spotkaniu z ojcem, jeżeli w ogóle do niego dojdzie.

- Przykro mi z powodu Armanda. - Szczerze życzyła matce, żeby znalazła sobie porządnego faceta. - Powinnaś zjeść trochę rosołu. Postawiłby cię na nogi.

Rozmowa toczyła się przez kilkanaście minut, choć normalnie Lillian zakończyłaby ją znacznie szybciej. Rebeka co chwila spoglądała niecierpliwie na zegarek. Nie chciała spóźnić się do kliniki, ale nie miała serca przerwać połączenia. Doskonale wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek czuje się samotny.

Pół godziny później złapała transporter z Kolumbem w środku i niemal biegiem ruszyła do samochodu. Po drodze zadzwoniła do recepcji, uprzedzając, że się spóźni.

Spóźnienie miało swoje dobre strony. Przynajmniej nie strawiła ani chwili na zamartwianiu się kolejnym spotkaniem z Joem. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego odczuwa z jego powodu taki dyskomfort.

Kiedy w końcu dopadła drzwi kliniki, myślała już tylko o tym, że wreszcie udało jej się tam dotrzeć.

- Dzień dobry, pani Peters - przywitała ją ta sama co za pierwszym razem asystentka. - Proszę od razu do zabiegowego. Jak się miewa Kolumb?

- Dziękuję, wygląda na to, że dobrze. - Postawiła kosz na stole. - Ale myślę, że poczuje się jeszcze lepiej, kiedy doktor Hudson zdejmie mu ten niewygodny kołnierz. Mam nadzieję, że nie zakłóciłam swoim spóźnieniem harmonogramu wizyt?

- Proszę się nie martwić. Prawdę mówiąc, doktor Hudson jest zajęty. Operuje. Mieliśmy nagły wypadek. - Tracy fachowo wyjęła kota z transportera. - Szczeniak wpadł pod samochód. Co gorsza, widziała to jego właścicielka.

- Ta dziewczynka, która siedzi w poczekalni?

- Tak.

- To okropne.

- Myślę, że uda nam się go uratować. Wracając do Kolumba, doktor prosił, żebym to ja obejrzała jego ucho. Niech się pani nie martwi - dodała, wyczuwając wahanie klientki. - Robiłam to setki razy. Proszę go tylko przytrzymać.

Rebeka ani przez chwilę nie wątpiła w umiejętności Tracy. Było jej żal szczeniaka i dziewczynki, ale najbardziej przygnębiał ją fakt, że jednak nie zobaczy się z Joem.

- Rana goi się dobrze - oznajmiła Tracy, usunąwszy bandaż.

- Muszę umawiać się na kolejną wizytę?

- Nie, nie ma potrzeby. Ach, zapomniałam. Proszę chwileczkę poczekać. Mam pani coś dać. - Zostawiła ją na moment samą. - Doktor prosił, żeby to pani doręczyć.

Rebeka natychmiast rozpoznała kopertę z ankietą i poczuła się jeszcze gorzej. Chyba już nic nie mogło bardziej jej dobić.

- Dziękuję - mruknęła, wkładając papiery do torby. Próbowała się uśmiechnąć, lecz z marnym skutkiem.

Mógł przecież podrzucić jej kwestionariusz do domu. Widocznie uznał, że nie ma potrzeby oddawać go osobiście. Nie dawał znaku życia przez cały ubiegły tydzień. Stawało się jasne, że zwyczajnie nie miał ochoty kontynuować znajomości. - Za chwilę ureguluję rachunek - zwróciła się do Tracy i zaczęła wkładać Kolumba do koszyka.

Asystentka poinformowała ją, że wizyta jest darmowa, po czym wyszła do recepcji, żeby odebrać telefon.

Po chwili Rebeka usłyszała stamtąd głos Joego. Rozmawiał z właścicielami poturbowanego w wypadku szczeniaka.

Postanowiła zaczekać, aż skończą, a potem ulotnić się po cichu z kliniki. Nie wypadało im przeszkadzać. Poza tym wołała uniknąć spotkania z mężczyzną, który najwyraźniej nie miał ochoty się z nią widywać. Stanąwszy plecami do drzwi, zabezpieczyła zamek transportera.

- Jak się miewa nasz pacjent?

Nie zorientowała się, że wszedł do pokoju. Sądziła, że wrócił na zaplecze przychodni.

- Twoja asystentka twierdzi, że dobrze. - Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że zielony strój chirurgiczny może wyglądać na kimś tak szykownie. Joemu było w nim wyjątkowo do twarzy. Podkreślał jego wysportowaną sylwetkę. Zauważyła, że jest czymś zmartwiony. Uśmiech, który rzucił jej na powitanie, niemal natychmiast przygasł.

- Dała ci kopertę? - Podszedł do stołu i wyjąwszy kota z nosidelka sprawdził jeszcze raz jego ucho.



- Tak.

- To dobrze. Chciałem, żebyś dostała ją jak najszybciej. Nie byłem pewien, czy nie gonią cię terminy. - Zadowolony z wyniku oględzin, umieścił Kolumba z powrotem w transporterze.

- Panie doktorze? - W progu pojawiła się Tracy. - Jest pan potrzebny na sali pooperacyjnej. Przed chwilą dzwoniła pani Broomley. Będzie tu za chwilę z Oscarem. Wbił sobie w łapę jakiś kolec.

- Już idę. - Spojrzał przelotnie na Rebekę. - Przepraszam. Obowiązki wzywają - powiedział i zniknął za drzwiami.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nie powiedział, że zadzwoni lub że zobaczą się później. Jego zaabsorbowanie pracą wydawało się potwierdzać to, co już wcześniej podejrzewała. Stracił zainteresowanie jej osobą. To już drugi facet w ciągu zaledwie dwóch tygodni, który nagle zmienia zdanie na jej temat. Wychodząc z kliniki, usiłowała przekonać samą siebie, że w ogóle się tym nie przejmuje. Na próżno. Dzięki Joemu zasmakowała w czymś, co do tej pory było jej zupełnie obce. Nie potrafiła zapomnieć o tym, jak opatrywał jej nad strumieniem stopy. Pierwszy raz w życiu poczuła wtedy, że mężczyzna się nią opiekuje.

Znalazłszy się w samochodzie, otworzyła torebkę i wyjęła z niej listę spraw do załatwienia. Uznała, że ma jeszcze trochę czasu, i zatrzymała się na kawę. Kiedy odwiozła wreszcie Kolumba do domu, kocur natychmiast zajął swoją ulubioną pozycję na parapecie. Ostatnio nie mógł siadywać w tym miejscu z powodu kołnierza ochronnego. Magellan nawet nie otworzył oczu. Wygrzewał się w słońcu od ponad godziny, odkąd zostawili go samego.

Drugą pozycję na liście zajmowała wizyta w sklepie z artykułami dekoracyjnymi. Rebeka nigdy nie była w takim miejscu, ale jej dom jako

jedyny na całej ulicy nie został jeszcze przystrojony jesiennymi ozdobami. Czowała się w obowiązku przynajmniej spróbować dorównać sąsiadom.

Na miejscu zaopatrzyła się w sztuczne jesienne liście i kilka doniczek z żółtymi kwiatami. Kierując się impulsem, kupiła także czapeczki Świętego Mikołaja dla Reksa i Baileya oraz miniaturowy kołnierz z białego futerka dla iguany Joego. Zapamiętała, że niebawem zamierzał robić zwierzętom zdjęcia do kartek bożonarodzeniowych, i pomyślała, że podobne gadżety mogą mu się przydać. Planowała podrzucić mu je przy okazji do kliniki. Oczywiście nie dziś. Miał tam przecież urwanie głowy. Zresztą, nie dałaby rady. Czekają ją kilka umówionych spotkań w oddalonym od Rosewood o czterdzieści minut jazdy Albany. Miała przeprowadzić wywiady z dyrektorami dwóch największych w mieście domów handlowych z męską odzieżą. W drodze powrotnej zamierzała wstąpić do sklepów, w których w zeszłym tygodniu zostawiła ankiety dla klientów. Liczyła, że są już gotowe i będzie mogła je odebrać.

Dobrze było mieć dużo zajęć. Dzięki temu nie zastanawiała się nieustannie, co robić dalej w sprawie Russela Levera. Nie pomagało to jednak, niestety, przestać myśleć o Joem.

Kiedy wróciła wieczorem do domu, nadal nie mogła wyrzucić go z głowy. Otworzywszy aktówkę, wyjęła notatki z przeprowadzonych rozmów i wypełnione kwestionariusze. Na razie udało jej się zebrać tylko niespełna trzydzieści, ale przez weekend powinna zgromadzić znacznie więcej.

Usiadła na krześle w kuchni i wyjęła na stół zawartość koperty, którą wręczyła jej asystentka Joego.

Wypełnił wszystkie trzy strony. W trakcie lektury potwierdziły się jej dotychczasowe przypuszczenia. W sprawach gustu różnili się od siebie

całkowicie. Z pięciu zdjęć, które miał uszeregować według swoich preferencji, to, które jemu podobało się najbardziej, ona uznała za najmniej ciekawą propozycję.

Oczywiście nie widziała niczego złego w sztruksie czy grubych ściegach, po prostu osobiście wolała kaszmir i wełnę.

Na ostatniej kartce znalazła przyklejoną żółtą kartkę z notatką: „Gdybyś miała ochotę na tajską kolację w sobotę, zadzwoń do mnie do domu”. Pod spodem dopisał numer telefonu.

Poczuła niewysłowioną ulgę, jednocześnie zdając sobie sprawę, że to chyba niezbyt rozsądne z jej strony. Nie potrafiła powściągnąć emocji. Nie było sensu dłużej udawać, że jego przyjaźń nie jest dla niej ważna. Cieszyła się jak dziecko, że jednak chce się z nią zobaczyć.

Próbowała dzwonić kilka razy, ale włączała się automatyczna sekretarka. Odebrał dopiero za trzecim czy czwartym razem, około ósmej.

- Cześć, dopiero wróciłem do domu - odezwał się znużonym głosem. Albo nadal się czymś zamartwiał, albo był zwyczajnie wykończony.

- To może zadzwonię kiedy indziej?

- Nie, nie ma sprawy. Po prostu miałem bardzo długi dzień.

Przepraszam za rano, ale naprawdę nie mogłem wtedy rozmawiać.

- Wiem, nie przejmuj się. Jak szczeniak? Ten, którego operowałaś? Podobno potrącił go samochód?

- Tak, ale trzyma się dzielnie. Myślę, że przeżyje. Poleciałem właścicielom zawieźć go do szpitala dla zwierząt, żeby miał opiekę przez całą dobę.

Usłyszała, jak otwiera i zamyka lodówkę.

- Pewnie czasami jest ci ciężko. Zwłaszcza kiedy musisz przekazać właścicielowi złą nowinę. - Po przygodzie Kolumba zaczynała rozumieć, jak bardzo ludzie przywiązują się do swoich zwierząt.

- Owszem, nie jest to łatwe, ale na szczęście nie muszę tego robić często.

- To dobrze. - Cieszyła się ze względu na niego. Nie miała wątpliwości, że dla swoich klientów jest prawdziwym oparciem. Intuicja podpowiadała jej jednak, że bywają chwile podczas pracy, kiedy pęka mu serce.

Zacząła się zastanawiać, co go skłoniło do wyboru tak trudnego zawodu. Niewiele myśląc, zapytała o to w następnym zdaniu.

Joe momentalnie się ożywił. Opowiedział jej o dorastaniu na farmie w otoczeniu mnóstwa zwierząt. Podobnie jak jego brat miał własnego psa. Siostra miała kota, a mama hodowała kurczaki i wietnamską świnie. W gospodarstwie były też dwa konie i kilkaset krów. Pomagał się nimi zajmować od dziecka, więc podjęcie studiów weterynaryjnych wydało mu się rozsądną decyzją.

- A co robią twój brat i siostra? - Umościła się na kanapie z Kolumbem na kolanach.

Wkrótce dowiedziała się, że rodzeństwo jest od niego młodsze i ma własne rodziny. Brat nadal zajmuje się wraz z ojcem ranczem, a siostra, z zawodu psycholog, mieszka z mężem, pediatrą, w Buffalo. W związku z tym rodzina nie spotyka się zbyt często w komplecie. Nie ubolewał jednak nad tym, bo kiedy się już spotykali, w domu podnosił się taki rwetes, że trzeba było się niemal przekrzykiwać nawzajem.

Nie miała wątpliwości, że Joe ich wszystkich uwielbia. Jego dzieciństwo wydawało się sielankowe. Dom pełen ludzi, gwar, śmiech i radość. Czego można chcieć więcej?

- Kiedy ich ostatnio widziałeś?

- Czwartego lipca. Co roku organizujemy wielki rodzinny zjazd. Z ciotkami, wujkami i kuzynami.

- Masz kuzynów?

- Całe mnóstwo. Wszyscy robią, co mogą, żeby ród Hudsonów nie wygasł.

- To znaczy, że jest też sporo maluchów - zauważyła z nutką tęsknoty.

Joe leżał na kanapie, trzymając rękę za głowę. Drugą głaskał Rekxa, który zwinął mu się w kłębek na piersi.

- Około tuzina - odparł, myśląc, że wołałby, żeby zamiast psa przytulała się do niego Rebeka. Mógłby wpleść palce w jej włosy... Sama rozmowa z nią pomogła mu rozładować napięcie po ciężkim dniu. Dzięki niej przypomniał sobie, że uwielbia dzieci. Zawsze na ochotnika zabawiał pociechy kuzynów, mimo że ciągle pytali go, kiedy zatroszczy się o własne potomstwo.

W pewnym momencie zauważył, że Rebeka posmutniała.

- A jak to jest u ciebie? - zapytał. - Jak liczna jest twoja rodzina, kiedy spotykacie się w komplecie?

Przez chwilę wydawało mu się, że nie usłyszy odpowiedzi. Cisza przedłużała się w nieskończoność.

- Jesteśmy tylko dwie - odparła w końcu. - Zawsze byłam tylko ja i mama - dodała cicho.

- Twoi rodzice się rozwiedli?

- Nigdy się nie pobrali - zawahała się, co było zupełnie do niej niepodobne. - Nie znam ojca. Mama nie ma rodzeństwa, a jej rodzice nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, odkąd zaszła w ciążę. Zawsze byliśmy same, ale miałyśmy fajnych sąsiadów. Morettich i Souderów. Lubiłam zwłaszcza Souderów. To oni byli dla nas rodziną. Czasami pomieszkiwałam u nich, kiedy mama wyjeżdżała służbowo. Sypiałam w jednym pokoju z ich córkami. To znaczy, zanim się wyprowadzili. Potem zostawałam z Rose Etty z naprzeciwka.

- Jak często wysyłali mamę w delegacje?

- Kilka razy w miesiącu. Czasami nie było jej dwa, trzy tygodnie.

Wychowywali ją sąsiedzi i matka, która połowę czasu spędzała poza miastem, żeby zarobić na ich utrzymanie. Joe nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak to jest. Dotarło do niego, że Rebeka nie wie, co to znaczy mieć prawdziwą rodzinę.

Kiedy opowiadała mu o dzieciństwie, w jej głosie słychać było nieukrywany żal. Tak wiele ją w życiu ominęło. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej był pewien, że nadal czegoś jej brakuje. Pomyślał, że pewnie tęskni za miastem. Postanowił zmienić plany na sobotni wieczór. Początkowo zamierzał zabrać ją do restauracji o pół godziny drogi na północ od Rosewood. Teraz przyszedł mu do głowy zupełnie inny pomysł.

- O Boże, zrobiło się okropnie późno. Powinam dać ci już na dzisiaj spokój.

- Przeczytałaś moją wiadomość?

- Uhm. Dlatego dzwonię.

- No i?

- Bardzo chętnie skorzystam z propozycji. Zastanawiam się tylko, dokąd chcesz mnie zabrać. W Rosewood nie ma żadnych tajskich restauracji. A może sam coś ugotujesz?

Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że wśród jego licznych talentów są także zdolności kulinarne.

- Z zasady nie gotuję potraw, których nazw nie potrafię wymówić. - Joe się roześmiał. - Pojedziemy do restauracji, którą polecił mi Adam Shubb, a właściwie jego żona. Na Manhattanie. Co powiesz na czwartą po południu?

- Zdecydowanie za długo się z tym bawisz, Beko. Wygląda dobrze.

- Może zamiast trzech małych powinnam ustawić jedną dużą dynię? W końcu nie liczy się ilość, tylko jakość.

- Daj spokój. Jest dobrze tak, jak jest. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że pierwszy raz zrobiłaś jesienną dekorację.

Rebeka odwróciła głowę w stronę ciężarnej sąsiadki, która wpadła oddać jej wypełnioną przez męża ankietę. Molly z każdym dniem wyglądała lepiej. Aż przyjemnie było popatrzeć. I pomarzyć o macierzyństwie...

- Chodźmy już do środka. Zimno mi i napiłabym się herbaty. Nie widziałam cię ponad tydzień. Musisz mi koniecznie powiedzieć, co się dzieje między tobą i Joem Hudsonem. Tylko nie próbuj mi wmawiać, że nic. Kiedy grali w koszykówkę, zapytał Adama o najbliższą tajską restaurację. Mój mąż nie znał żadnej, więc zapytał mnie. Słyszałam, że jest jakaś w Albany, ale poleciłam mu Thai Dye na Manhattanie. Pomyślałam, że to ciebie Joe chce tam zabrać, a pamiętam, że na początku okropnie jęczałaś, że u nas nie ma takich lokali.

- Wcale nie jęczałam.

- Owszem, jęczałaś.

Rebeka umilkła i przepuściwszy niepoprawną koleżankę w drzwiach, zaprowadziła ją do kuchni. Ona też chciała porozmawiać z Molly. Nie była tylko pewna, jak zadać jej pytanie, żeby tamta nie zaczęła wyobrażać sobie Bóg wie czego.

- Nie mam pojęcia, co się między nami dzieje - powiedziała zgodnie z prawdą. Do tej pory Joe nie zachowywał się tak jak inni mężczyźni, z którymi się umawiała. - Ale lubię jego towarzystwo. Zaprosił mnie na kolację, więc idę. - Wzruszyła ramionami. - Co jeszcze mam ci powiedzieć?

Molly przysunęła sobie stół i usiadła.

- Na przykład o zeszłej sobocie - zasugerowała niewinnie. - Nie było was cały dzień.

- Jaką chcesz herbatę? Czarną czy zieloną?

- Zieloną. No, więc co robiliście tyle czasu?

- Poszliśmy na wycieczkę.

Sąsiadka o mało nie udławiła się ze śmiechu.

- Na wycieczkę? Chyba nie do lasu?

- Owszem, do lasu, a właściwie na łąkę. Nie powiem, żebyśmy chciały to kiedykolwiek powtórzyć.

- Angela mówiła, że spotkaliście się też w niedzielę. W parku.

- Obiecał, że wypełni moją ankietę. Tak samo jak Adam - przypomniała, napełniając kubki wrzątkiem. - Przy okazji, podziękuj mu ode mnie, dobrze?

Molly nie sprawiała wrażenia usatysfakcjonowanej. Zanim zaczęła drażnić temat Joego, Rebeka zamknęła jej usta pytaniem:

- Wiesz coś na temat ojca Jacka?



- Jacka Levera? - Na twarzy sąsiadki malował się wyraz kompletnego osłupienia.

- Tak.

- Nie znam go. Dlaczego pytasz?

- Myślałam, że może spotkałaś jego rodzinę na jakimś przyjęciu jeszcze za życia matki Jacka.

- Nadal coś do niego czujesz?

- Nigdy nic do niego nie czułam. To znaczy nic poważnego. Tak się po prostu zastanawiałam... Zresztą nieważne. Zapomnijmy o tym.

- Beko, dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że dobrze. Dlaczego miałabym się źle czuć?

- Bo masz pogmatwane życie uczuciowe?

Rebeka uśmiechnęła się mimo woli. Dobrze było mieć przyjaciółkę.

- Masz rację. Bardzo możliwe, że o to chodzi. - Postawiła przed koleżanką parujący kubek i usiadła obok niej przy stole. - To jak? Chcesz trochę poplotkować czy wolisz przejrzeć ze mną ankiety i dowiedzieć się, jaką bieliznę nosi przeciętny Amerykanin?

- Zdecydowanie wybieram bieliznę. Pokaż mi, w co się ubierzesz wieczorem. Najlepiej załóż coś obcisłego.

- Pogłaskała się po okrągłym brzuchu. - Popatrzę sobie na ciebie i trochę ci pozazdroszczę.

## Rozdział 6

Joe zdawał sobie sprawę, że zaskoczył nieco Rebekeę propozycją wypadu na Manhattan. Siebie zresztą też. Zmienił plany pod wpływem impulsu, ale cieszył się, że może zrobić jej przyjemność. Był pewien, że tęskni za swoim miastem.

Nosił się z zamiarem zaproszenia jej na kolację od ubiegłej niedzieli, po spotkaniu w parku. Nie chciał wprowadzić, żeby zrodziło się między nimi coś poważnego, ale to przecież nie oznaczało, że nie mogą razem zjeść. Często przyłapywał się na tym, że wciąż o niej myśli. Chciał jej zadać mnóstwo pytań. Miał nadzieję, że wkrótce pozna na nie odpowiedzi.

Współczuł jej z powodu braku rodziny. Wiedział, że nie byłaby zadowolona, gdyby się o tym dowiedziała, ale nie mógł nic na to poradzić. Nie miała nikogo oprócz matki. Ścisnęło mu się serce, kiedy wyobrażał sobie, jak trudne miała dzieciństwo.

Za każdym razem, kiedy się z nią spotykał, zaskakiwała go czymś nowym. Sobotni wieczór nie był wyjątkiem. Zaparkowawszy pod domem Turnerów, odkrył ze zdumieniem, że cały ganek i drzwi ozdabiają barwne, złoto-żółto-pomarańczowe dekoracje. Kto by przypuszczał, że Rebeka weźmie sobie do serca miejscową tradycję? Nie spodziewał się po niej czegoś takiego. Nie wyobrażał jej sobie w kuchni przygotowującej świąteczne wypieki. Nie pasowało mu to do jej wizerunku. Wysokie szpilki i bransoletki nie współgrały z obsypanymi mąką kuchennymi blatami. Nie zdziwił się jednak, kiedy podrzuciła mu do kliniki bożonarodzeniowe ozdoby dla Reksa, Bailey'a i Iggy'ego. Jego asystentki

obwieściły jednogłośnie, że gadzety będą się doskonale prezentować na świątecznej kartce.

Otworzyła drzwi, zanim zdążył odpiąć pas. Przekręciła klucz w zamku, poprawiła turkusowy szal i niemal biegiem ruszyła do samochodu. Odniósł wrażenie, że bardzo jej się spieszy. Pewnie nie może się doczekać wyjazdu. Nie dała mu szansy, by wysiadł i otworzył jej drzwi. W ciągu kilkunastu sekund znalazła się na siedzeniu pasażera obok niego.

- Nie chciałam, żeby któryś z kotów wymknął się na zewnątrz - wyjaśniła, chowając klucze do mikroskopijnych rozmiarów torebki. - Gdybyśmy musieli je ganiać po podwórku, moglibyśmy się spóźnić i stracić rezerwację.

Spojrząwszy uważnie na Joego, zastygła na moment w bezruchu, po czym uśmiechnęła się na widok eleganckiej czarnej marynarki, spodni w podobnym odcieniu i szarego półgolfu.

- Ładna marynarka - pochwaliła, zapinając pas.

- Dziękuję.

Joe do tej pory nie mógł uwierzyć, że kupił kompletnie niepraktyczne, w dodatku niewyobrażalnie drogie ubranie, w którym nie będzie mógł potem chodzić po lesie ani grać w koszykówkę. Zakup kosztował go tyle samo co miesięczny czynsz za klinikę, i to na wyprzedży. Nie miał jednak wyjścia. Nie mógł zabrać jej do ekskluzywnej restauracji w dzinsach i wiatrówce.

- Przesunąłem rezerwację o godzinę później. Chcę jeszcze gdzieś wstąpić, zanim pojedziemy do restauracji.

- Gdzie?

- Pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć swoją starą dzielnicę.

Nie musimy nawet wysiadać z samochodu. Po prostu przejedziemy się po

okolicy. Co ty na to? Sam też chętnie ją obejrzę. Nie znam nikogo, kto dorastał na Manhattanie. Pokażesz mi, gdzie się bawiłaś, gdzie chodziłaś do szkoły, no wiesz...

Zastanawiał się, dlaczego tak długo zwleka z odpowiedzią. Próbował skoncentrować się na prowadzeniu, ale co chwila spoglądał na jej nogi. Nie widział dokładnie, w co jest ubrana, ale kiedy rozpięła płaszcz, rozsunął jej się rozporek u spódnicy, odsłaniając niemal całe, odziane w czarne rajstopy, udo.

- Chcesz zwiedzać moją dzielnicę? - zapytała.

- Masz coś przeciwko temu? - odparł, próbując odpędzić od siebie obraz jej krągłości.

- Nie... Nie mam. Tylko że...

- Że co?

- Stacja jest w drugą stronę.

- Nie zamierzam jechać pociągiem.

- Prowadziłeś kiedyś samochód w centrum miasta? Odpowiedział, że nie, po czym wyłożył jej swój plan.

Mieli zaparkować samochód przy stacji Poughkeepsie i wsiąść do metra, a potem ewentualnie wziąć taksówkę. Zaaprobowała jego strategię, sugerując, że powinni zostawić auto jedną stację dalej na południe, ponieważ stamtąd jest bezpośrednie połączenie.

To ona była ekspertką. Poprosił ją więc, żeby powiedziała mu, w którym miejscu skrócić z autostrady. Postanowił odłożyć osobiste pytania na później i zagadnął ją o postępy w pracy nad artykułem. Miał nadzieję, że wizyta w miejscach, w których spędziła całe dotychczasowe życie, pozwoli mu lepiej ją poznać. Może wreszcie będzie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wydaje mu się taka intrygująca.

Według Rebeki jej dzielnica z wysokimi budynkami z cegły i wąskimi uliczkami od lat wyglądała tak samo. Na rogu wciąż stał dom handlowy, który pamiętała. Blok, w którym nadal mieszkała jej matka, znajdował się pół przecznicy od Piątej Alei. Pokazała mu go z taksówki. W centrum Joe doznał natychmiast uczucia osaczenia. Samochody posuwały się w żółwym tempie w odległości zaledwie kilku centymetrów jeden od drugiego. Sklepy i punkty usługowe poutykano obok siebie tak ciasno, że trudno było stwierdzić, gdzie jeden się kończy, a drugi zaczyna. Zaczął się poważnie zastanawiać, jak w takim miejscu można cokolwiek znaleźć bez mapy czy przewodnika.

Nawet restauracja, w której mieli rezerwację, była wciśnięta pomiędzy piekarnię i galerię sztuki. Wewnątrz zaskakująco surowego wnętrza Thai Dye stało tyle malutkich stolików, że ledwie starczało miejsca, żeby przy nich usiąść. W powietrzu unosił się nieustający gwar rozmów. Lokal wydawał się stanowczo zbyt klaustrofobiczny jak na jego upodobania, ale Rebeka najwyraźniej czuła się tu jak ryba w wodzie.

Siedziała naprzeciw niego tak blisko, że czasem trącali się kolanami. Na stole dymiły miseczki makaronu ryżowego z trawą cytrynową i dwie porcje grillowanych krewetek przyprawionych chili. Joe chyba nigdy w życiu nie jadł czegoś tak ostrego, choć prawdę mówiąc, nie zwracał specjalnie uwagi na to, co wkłada do ust. Zdecydowanie bardziej zajmował go sweter towarzyszki. Opinał ją jak druga skóra, odsłaniając zarazem kark i ramiona.

W przyćmionym świetle skóra Rebeki nabierała złocistego połysku. Wydawała się równie delikatna jak jej uśmiech, kiedy podsunęła mu kieliszek, żeby uzupełnił go winem.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy przyznają ci kredyt? - zapytała.

- Zacząć budowę. Wszystko jest już właściwie gotowe. Dziadek zostawił nam trochę pieniędzy. Wykorzystałem swoją część spadku na zakup gruntu i opłacenie architekta. Chcę jak najszybciej przeprowadzić klinikę do nowego budynku. Tak się składa, że mam kolegę ze studiów, który wkrótce przenosi się z rodziną do Rosewood. Zamierzam go zatrudnić.

- Dacie radę prowadzić klinikę i szpital tylko we dwóch?

- Przy dostatecznej liczbie techników i asystentów dwóch weterynarzy powinno wystarczyć. Jestem już po wstępnych rozmowach z jednym z moich wykładowców, profesorem Cornellem. Zamierzamy otworzyć program dla stażystów. Dzięki temu będziemy mieli więcej personelu, a młodzi lekarze będą mogli zdobywać doświadczenie. Oczywiście wymaga to odpowiednich przygotowań. Stażystom trzeba będzie poświęcać sporo czasu. Przyglądała mu się uważnie znad kieliszka.

- Wszystko masz dokładnie przemyślane. Przymierzasz się do tego od dawna, prawda? - raczej stwierdziła, niż zapytała.

Trzeba przyznać, że jej przenikliwość nieco go zaskoczyła. Nawet najbliższa rodzina zdawała się nie dostrzegać, że nosi się z tym pomysłem od lat. Być może nie chcieli przyjąć do wiadomości faktu, że na obecnym etapie życia nie ma dla niego ważniejszych spraw niż nowe przedsięwzięcie zawodowe.

- Zacząłem o tym myśleć na ostatnim roku studiów. Tam, gdzie dorastałem, zawsze najważniejsze były zwierzęta hodowlane, bydło, trzoda i tak dalej. To one przynosiły dochód i to im poświęcało się najwięcej uwagi. Psy i koty, poza dokarmianiem, pozostawiano zazwyczaj samym sobie. Chciałem to zmienić.

- Dlaczego właśnie w Rosewood, a nie w rodzinnej miejscowości?

- Peterboro jest za małe na szpital dla zwierzaków domowych. Poza tym mają tam dwóch weterynarzy, którzy bez problemu są w stanie zapewnić opiekę wszystkim zwierzętom, i domowym, i hodowlanym.

- Nie chciałeś współpracować z jednym z nich?

Zastanowił się chwilę. Podniósłszy kieliszek, spojrzał jej w oczy. Wpatrywała się w niego z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Owszem, miałem taką możliwość. Tuż po studiach zaproponował mi współpracę doktor Jennings. Niestety, posada miała... - urwał na moment. Co? - pomyślał z ironią. Pewne ograniczenia? Swoją cenę? - Wymagała czegoś więcej niż odpowiednich kwalifikacji - dokończył na głos.

- Jak to? Nie bardzo rozumiem.

Nie chciał, żeby Rebeka pomyślała, że postąpił z Sarą Jennings dokładnie tak samo jak jej były chłopak z nią. On przynajmniej nigdy świadomie nie zwodził Sary, przez jakiś czas rozważał nawet małżeństwo. Ale rezultat był taki sam.

- Doktor Jennings oczekiwał, że ożenię się z jego córką. Uniosła brwi.

- Zresztą nie tylko on. Można powiedzieć, że wszyscy, łącznie z moją rodziną. Sara i ja chodziliśmy ze sobą od czasów liceum, z przerwą na moje studia. Kiedy zakończyłem edukację, całe Peterboro spodziewało się, że się oświadczę.

- I co? Czemu się nie oświadczyłeś?

- Właściwie to prawie się oświadczyłem.

Sięgnąwszy po butelkę, dołała sobie wina.

- Więc jak to w końcu było?

- Dotarło do mnie, że byłby to największy błąd w naszym życiu. Nie wyszłoby to na dobre ani jej, ani mnie. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego i bardzo ją lubiłem. Problem w tym, że gdyby ktoś mnie zapytał, czy ją Kocham, nie mógłbym powiedzieć z czystym sumieniem, że tak. Nie mogłem podjąć współpracy z jej ojcem bez konkretnej deklaracji w sprawie małżeństwa. Poza tym zawsze chciałem mieć własną praktykę. Uznałem, że pora odejść i się usamodzielić.

Na twarzy Rebeki pojawiło się współczucie. Nie był tylko pewien, czy współczuje jemu, czy kobiecie, którą porzucił.

- Jaka ona była?

- Bardzo... sympatyczna - użył tego określenia chyba dlatego, że niemal wszyscy tak o niej mówili. - I trochę niepozorna. Nie lubiła zwracać na siebie uwagi. - Powinien był powiedzieć: uległa, ale uznał, że nie wypada. Sara zgadzała się z nim dosłownie we wszystkim i tego właśnie nie potrafił znieść. Czasami sprawiała wrażenie osoby pozbawionej nie tylko własnego zdania, ale i osobowości. Jeśli już wygłaszała swój pogląd i okazywało się, że różni się on od jego opinii, natychmiast zmieniała zdanie. Niektórzy uznaliby pewnie ustepliwą i posłuszną żonę za prawdziwe błogosławieństwo; ale dla Joego było nie do zaakceptowania. Od momentu, w którym uświadomił sobie, że po ślubie całe życie Sary kręciłoby się wokół niego, zaczął czuć, że dusi się w tym związku.

- Jak to przyjęła twoja rodzina? Mam na myśli zerwanie.

- Cóż, rodzice przez jakiś czas mieli mi to bardzo za złe. Od lat przyjaźnili się z rodziną Sary, więc postawiłem ich w niezręcznej sytuacji. Poza tym to mała społeczność. Ludzie zaczęli gadać, wiesz, jak to na wsi. Ojciec dość szybko przyznał, że rozumie moje motywacje. Zgodził się, że



podjęcie decyzji o ślubie z powodu presji otoczenia byłoby nie tylko głupotą, ale i dowodem nieodpowiedzialności. Mama doszła do siebie dopiero wtedy, gdy Sara wyszła za mąż i zaczęła rodzić dzieci.

- Kiedy to było? To znaczy, kiedy wyszła za mąż?
- Jakies siedem, może osiem lat temu.
- Rozumiem, że wszyscy ci już wybaczyli?
- Nie wiem, jak Sara. Rzadko ją widuję, ale wydaje się szczęśliwa.
- A rodzice?

- Tak, wybaczyli mi, w pewnym sensie. Znaleźli sobie inny powód do narzekań - dorzucił, pragnąc jak najszybciej zakończyć te zwierzenia. Chciał, żeby Rebeka wiedziała o Sarze. Sam nie wiedział dlaczego, ale czuł, że powinien jej o tym powiedzieć, odkąd wyznała mu prawdę o swoim poprzednim związku. - Moja mama chciałaby, żebym wreszcie się ożenił. Tylko tego brakuje jej do szczęścia. W zeszłym roku postawiła sobie za cel znaleźć dla mnie odpowiednią kandydatkę na żonę.

Rebeka starała się nie myśleć o tym, że Sara musiała być zdruzgotana, kiedy Joe ją zostawił. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak wielkie nadzieje może wiązać kobieta z mężczyzną takim jak on. Sama snuła kiedyś podobne marzenia o domu, dzieciach i dzieleniu się wszystkim, co przyniesie życie. Wiedziała, jak to jest, gdy te marzenia zostaną przekreślone.

Joe należał do ludzi, którzy dokładnie wiedzą, czego chcą, i nie pozwalają, by ktoś lub coś przeszkodziło im w realizacji życiowych zamierzeń. Nie przejmował się tym, co powiedzą lub pomyślą inni. Postępował tak, jak uznał za stosowne. Czuła się trochę nieswojo na myśl o tym, że jest zdolny do typowych samczych zachowań. Wprawdzie nie zostawił narzeczonej przed ołtarzem, ale jednak... Co jednak? Tak

naprawdę zrobił to, co powinien, przyznała niechętnie. Znała go już na tyle dobrze, by się domyślać, że cała ta sytuacja z pewnością nie była dla niego łatwa. Nie był takim zadufanym w sobie i bezdusznym typem jak Jason. Potrafił odróżnić to, co słuszne, od niegodziwości, a przede wszystkim nie był pozbawiony zwykłej ludzkiej empatii. Przyszłość pokazała, że jego decyzja była słuszna i wyszła obojgu na dobre.

Choć trudno jej było to zaakceptować, nagle przyszło jej do głowy, że być może Jason wyświadczył jej ogromną przysługę, nie chcąc się z nią ożenić.

Zmarszczyła czoło.

- Co? - zainteresował się Joe, wkładając do ust ostatnią krewetkę.

Nie miała ochoty zadrećzać się więcej rozmyślaniami o swoim czy cudzym cierpieniu. Miała serdecznie dość ciągłych zgryzot.

- Jaka według twojej mamy miałyby być ta odpowiednia kandydatka? - zapytała, podejmując przerwany wątek.

- Wystarczy, że będzie w wieku reprodukcyjnym i będzie potrafiła samodzielnie oddychać.

- Mama sądzi, że sam nie potrafisz znaleźć sobie żony?

- Raczej wie, że jej nie szukam.

- Masz zbyt wiele na głowie?

Spojrzał na nią z przewrotnym uśmiechem.

- Jak na dziewczynę z miasta jesteś bardzo spostrzegawcza.

Jak na chłopaka ze wsi stanowczo za bardzo zawrócił jej w głowie.

Podsunęła mu talerz z przekąskami.

- Pia Muk Tod?

Zerknął na kawałki smażonej kałamarnicy. Były całkiem niezłe, ale mógł się bez nich obejść. Za to Rebeka za nimi przepadała.

- Nie, dzięki. Sama dokończ - mruknął, wiedząc, że pewnie nieprędko będzie miała okazję znów tego zakosztować. - Mam dość owoców morza jak na jeden dzień. Jak się czujesz na starych śmieciach?

Odniosła wrażenie, że podobnie jak ona chce jak najszybciej zmienić temat. Była mu za to wdzięczna, a jednocześnie próbowała odepchnąć od siebie natrętą myśl, że Joe nie szuka w życiu tego co ona. Zaraz, przypomniała sobie, przecież ja też nie szukam stałego związku. Zastanawiając się, jak odpowiedzieć na jego pytanie, stwierdziła ze zdziwieniem, że spodziewała się po sobie nieco innej reakcji.

Nie zwlekając dłużej, zapewniła go, że restauracja jest cudowna, a jedzenie i wino znakomite. Spędziwszy kilka godzin w hałaśliwym i ruchliwym centrum Nowego Jorku, odkryła jednak, że wcale tak bardzo nie tęskni za miastem. Bo czy można tęsknić za jazdą metrem, staniem między pasażerem, który zapomniał o porannej toalecie, i kimś, kto skapał się w perfumach? Z pewnością nie brakowało jej też ciągłego pośpiechu ani gonitwy za wolną taksówką w strugach deszczu. Jedyne czego żałowała, to że nie może tak często odwiedzać kin, teatrów i ulubionych lokali.

Poza tym, gdyby nie wyjechała do Rosewood, nie poznałaby Joego i nie dowiedziałyby się, że nie ma powodu bać się kotów. Tyle w każdym razie mu powiedziała. W duchu pomyślała jeszcze, że gdyby nadal mieszkała w mieście, nie spotkałaby niezwykle intrygującego faceta, któremu zależało na niej na tyle, że zorganizował jej wieczór w ulubionych miejscach.

- Dlaczego wybrałaś właśnie Rosewood?

Być może tylko jej się zdawało, ale za każdym razem, kiedy się widzieli, próbował różnymi sposobami wyciągnąć od niej informację, dlaczego zdecydowała się na tę konkretną miejscowość.

Nie chcąc psuć im obojgu wieczoru, potrząsnęła głową. Nie był to najlepszy pomysł. Stwierdziwszy ze zgrozą, że opróżniła do dna kolejny kieliszek, odstawiła go na bok. Nic dziwnego, że czuła się lekko oszołomiona.

- Nie mówmy teraz o tym - mruknęła. - Zbyt dobrze się bawię. Masz ochotę się przejść? Może zajrzemy do kilku galerii?

Joe przesunął wzrokiem po jej twarzy, smukłej szyi i ramionach. Odkąd powiedział jej o zerwaniu z Sarą, znikła gdzieś jej naturalna pogoda ducha. Jakby czar prysł i dobry nastrój nagle się ulotnił. Martwiło go to, ale jego myśli były zaprzątnięte czym innym. Dziś po raz pierwszy przyznała, że - tak jak przypuszczał - istnieje jakiś szczególny powód, dla którego znalazła się w Rosewood. Powód, o którym najwyraźniej nie miała ochoty mówić. Przyglądał jej się z rosnącym zainteresowaniem, myśląc, że jej małe kształtne piersi wyglądają, jakby były wymierzone specjalnie do jego dłoni. Był niemal pewien, że każdy centymetr jej ciała doskonale by do niego pasował.

- Dobrze, chodźmy więc zakosztować prawdziwej sztuki - zgodził się ochoczo, dochodząc do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli Rebeka zakryje swoje wdzięki płaszczem.

Jego ton pozostał niewzruszony, ale sposób, w jaki na nią patrzył, niewiele miał wspólnego z obojętnością. Wydawało jej się, że pieści ją wzrokiem. Za każdym razem, kiedy spoglądał na nią dłużej, zalewała ją fala błędnego gorąca. Na myśl o tym, jak wspaniale byłoby poczuć na sobie jego dłonie, gwałtownie przyspieszał jej puls.

Sięgnęła po torebkę. Do tej pory Joe dotykał jej wyłącznie mimochodem i bez podtekstów, podając jej okrycie czy pomagając wsiąść do taksówki.

Nie miała pojęcia, czego się spodziewał po tym wieczorze. Sama też nie była pewna, jak chciałaby, żeby się zakończył. W każdym razie uczucia, które wzbudzał w niej przystojny pan doktor, zaczynały ją poważnie niepokoić. Nie mogła już sobie ufać. Coraz trudniej było jej zaprzeczać, że Joe niesamowicie ją pociąga. Czasami miała wrażenie, że jakaś niewidzialna siła zwyczajnie pcha ją w jego stronę.

Kiedy wyszli z przytulnej restauracji na mroźne powietrze, bez słowa wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi.

Ulice były pełne ludzi, ale Rebeka prawie nie zwracała na nich uwagi. Choć Joe wciąż obejmował jej dłoń, wyczuwała w nim pewien dystans, jakby błędził myślami gdzieś daleko.

Kilka minut później, po wyjściu z pierwszej galerii, zamiast przejść do kolejnej, pociągnął ją z powrotem do zacienionej bramy. Myślała, że chce ją ochronić przed deszczem, ale gdy stanął z twarzą tuż przy jej twarzy, zauważyła, że jest spięty. Sądząc po tym, jak mocno zaciskał szczękę, coś musiało go trapić.

- Nie jestem taki jak twój były chłopak - powiedział z powagą. - Pamiętaj o tym, dobrze?

Rebeka nie myślała już o rozmowie przy kolacji. Nadmierna ilość wina uderzyła jej do głowy, gdy tylko wstała od stołu. Miała poważne problemy z koncentracją.

Dopiero teraz dotarło do niej, że Joe przejął się jej reakcją na wyznanie o swoim niedoszłym ślubie. A gotowa była przysiąc, że starannie zamaskowała swoje odczucia.

- Nie martw się - uspokoiła go, marszcząc brwi. - Nie mogłabym was pomylić. Nie ma szans. - Jasonowi nawet nie przeszłoby przez myśl, żeby zrobić dla niej to, na co zdobył się Joe. Nie przywiązywał najmniejszej wagi do jej upodobań. Nie licząc pary kolczyków z maleńkimi brylancikami, które dał jej kiedyś na gwiazdkę, dostawała od niego wyłącznie kwiaty. Ponieważ nie znosił orientalnej kuchni, kiedy miała ochotę na coś tajskiego, musiała zamawiać potrawy na wynos albo umawiać się z przyjaciółmi.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie mam zamiaru cię oszukiwać.

Wolała nie ryzykować kolejnych zawirowań, więc zamiast skinąć głową, wzięła głęboki oddech i... niemal natychmiast doznała uczucia, jakby grunt zakołysał się jej pod stopami.

- Rozumiem - zapewniła, dla równowagi kładąc mu dłoń na torsie. - Nie sądzę, żebyś miał wobec mnie jakiegokolwiek zamiary. - Jeszcze zanim słowa spłynęły z jej ust, uzmysłowiła sobie, że nie powinna była ich wyowiadać.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Naprawdę? - W jej głosie słychać było tyle nadziei, że aż się zawstydziała.

Im bardziej była skonsternowana, tym szerzej Joe się uśmiechał.

Pochylił się nad nią, muskając wargami jej usta.

Ledwie zdążyła złapać oddech, gdy pocałował ją znowu. Lekko i delikatnie. Odebrała tę pieśczętę jak obietnicę.

- To tak na wszelki wypadek... żeby wszystko było jasne w tamtej sprawie. - Przysunął się bliżej, kiedy jakaś para próbował minąć ich w przejściu.

- Jest jasne - powiedziała zdecydowanie. - Wiem, że nie jesteś taki jak Jason.

- To dobrze. Chyba powinienem odwieźć cię do domu. Mamy przed sobą kawał drogi.

Nie zaproponował, żeby zostali w mieście na noc. Nie była do końca pewna, czy poczuła z tego powodu ulgę, czy rozczarowanie. Zostawiwszy ją na moment w zadaszonej bramie, wyszedł na ulicę i przywołał taksówkę. Zajęło mu to zaledwie kilka sekund; używając dwóch palców, zwyczajnie zagwizdał, zamachał i po kłopotcie. Będzie musiała się tego nauczyć.

Postawiła kołnierz płaszcza, wybiegła na deszcz i o mały włos nie spadła z krawężnika. Joe podtrzymał ją ramieniem w ostatniej chwili. Tłumiąc chichot, doszła do wniosku, że chyba wypła o jeden kieliszek za dużo.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, kiedy znaleźli się w samochodzie.

- Znakomicie - odparła, próbując przybrać poważną minę. Do tej pory nigdy w życiu nie zdarzyło jej się chichotać. Ani razu.

Pewnie, że dobrze się czujesz, pomyślał z uśmiechem. Jej wysiłki, by zachować powagę, wypadły wyjątkowo zabawnie. Cały czas drżały jej wargi, jakby nie miała nad nimi żadnej kontroli.

Godzinę później siedzieli w aucie Joego, czekając, aż rozgrzeje się wewnątrz i odparują szyby. Było zimno. Do tego stopnia, że Rebeką zaczęły wstrząsać dreszcze. Może to i lepiej, pomyślała. Kiedy opierała się na jego ramieniu w pociągu, było jej tak ciepłutko i przytulnie, że niemal zasnęła. Tak, wszystko ma swoje dobre strony. Dygocząc, przynajmniej nie rozpamiętywała w kółko pocałunku przed galerią.

- Jeszcze chwila. Zaraz powinno zrobić się ciepło.

- Nie ma pośpiechu - mruknęła, wpatrując się w jego profil w świetle latarni. - Dobrze, że chociaż przestało padać. - Czułaby się okropnie, gdyby zmókł.

Nadal nie mogła uwierzyć, że podarował jej wieczór w mieście.

Pochylił się nad kierownicą i wysupłał ramiona z marynarki.

- Proszę, okryj się.

- Nie, Joe. Nie ma mowy. Załóż ją z powrotem. Przemarznie na kość.

- Nic mi nie będzie. - Ignorując jej protesty, narzucił jej swoje okrycie na ramiona i zawinął szczelniej szalik wokół szyi.

Znowu to robi, stwierdziła zdumiona.

Znow się nią opiekuje. Tak jak wtedy, nad strumieniem.

Odwróciła wzrok, lecz niemal natychmiast spojrzała na niego znowu. Tkanina przesiąkła jego zapachem. Czuła w nozdrzach orzeźwiający cytrusowy aromat wody po goleniu. Po chwili po jej przemarzniętym ciele zaczęło się rozlewać przyjemne ciepło.

- No widzisz? Od razu lepiej, prawda? - Uśmiechnął się, zadowolony z efektów swoich wysiłków.

Przyglądając się, jak poprawia jej szalik i otula marynarką, zapomniała o zdrowym rozsądku. Alkohol ewidentnie rozwiązał jej język.

- Mogę cię o coś zapytać?

Spojrzał na nią badawczo, zapewne zdziwiony powagą w jej głosie. Nie mogła nic na to poradzić. Po prostu musiała poznać odpowiedź na to pytanie. Nurtowało ją, odkąd powiedział, że wybierają się do miasta. Nie wiedziała nawet, czemu to dla niej taka istotna kwestia.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Było ci zimno.



Chwyciła go za rękę, zatrzymując ją na swojej szyi.

- Chodzi mi o cały ten wieczór, Joe. Dlaczego zabrałeś mnie na kolację aż do Nowego Jorku? Tylko proszę cię, nie mów mi, że chciałeś obejrzeć miejsca, w których dorastają dzieciaki na Manhattanie. - Kiedy mu je pokazywała, znacznie więcej uwagi poświęcał jej reakcjom i zachowaniu niż kontemplacji otoczenia.

Sądząc po tym, jak ociągał się z odpowiedzią, doskonale wiedział, że to zauważyła. Domyślił się również, jakie to dla niej ważne.

- Pomyślałem, że poprawi ci to nastrój - przyznał niechętnie. - Na co dzień nie wydajesz się zbyt szczęśliwa.

Zanim jeszcze skończył mówić, stało się dla niego jasne, że nie tego się spodziewała. Nie miał pojęcia, jakiego oczekiwała wyjaśnienia, ale był pewien, że za chwilę usłyszy gwałtowny sprzeciw. Za nic nie przyznałaby mu racji. W ten sposób działał u niej mechanizm obronny. Negowanie swoich najmniejszych nawet słabości było jej jedyną bronią przed światem.

- Wiem, że nie jesteś szczęśliwa - powtórzył z naciskiem i pochylił się, by udaremnić protest pocałunkiem.

Rebeka poczuła, że braknie jej tchu. Tym razem to nie było lekkie muśnięcie warg. Objąwszy dłonią jej policzek, całował ją powoli i z rozmysłem, nalegając, by rozchyliła wargi i otworzyła się przed nim. Nie miała siły się opierać. Topniała pod jego dotykiem jak świeca, a pomysł, by zaprzeczyć jego skądinąd trafnym spostrzeżeniom, dawno wyparował jej z głowy.

Zresztą, nie byłaby w stanie wybronić się chociażby jednym racjonalnym argumentem. Jej umysł był zmacony winem, a kiedy

zamknęła oczy, poddając się jego pieszczotom, miała wrażenie, że pędzi na karuzeli. Nie wspomagało to z pewnością procesu myślenia.

- Porozmawiamy o tym jeszcze kiedy indziej - obiecał, wyjeżdżając na autostradę.

Nie odezwała się ani słowem. Joe nie bardzo wiedział, co o tym sądzić. Zazwyczaj nie miała problemu z prowadzeniem swobodnej rozmowy. Porzucił swoje obawy dopiero, gdy zobaczył, że opiera głowę o zagłówek. Po chwili ocknęła się i usiadła wyprostowana jak struna.

- Przepraszam - mruknęła niewyraźnie.

Nie była na niego zła ani nie roztrząsała tego, co jej powiedział. Po prostu chciało jej się spać.

- Nie masz za co przepraszać. - Sięgnął do tyłu po złożony w kostkę koc i ułożył go między przednimi siedzeniami.

- Przełóż rękę przez pas i połóż mi głowę na kolanach. Możesz się trochę przespać.

Nie trzeba jej było specjalnie zachęcać. Uśmiechnęła się sennie i umościła wygodnie na jego udzie.

Chwilę później, kiedy odgarnął jej włosy z czoła, zaczęła miarowo oddychać i zapadła w sen.

Nic dziwnego, że była wstawiona, przecież opróżniła praktycznie całą butelkę wina. Joe, wiedząc, że będzie prowadził, wypił tylko jeden kieliszek.

Zachichotała, kiedy wsiadali do taksówki. Nie spodziewał się po niej czegoś takiego. Ona chyba zresztą też nie. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Podejrzewał, że niełatwo jej całkowicie się zrelaksować. Szczerze wątpił, by kiedykolwiek świadomie i z własnej woli przestała się kontrolować. Fakt, że przy nim czuła się na tyle swobodnie i bezpiecznie,

żeby na moment zapomnieć o samokontroli, budził w nim silne instynkty opiekuńcze. Zbyt silne.

Im lepiej ją poznawał, tym więcej chciał o niej wiedzieć. Zastanawiał się też, jak długo jeszcze zdoła utrzymać ręce przy sobie. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego po prostu nie zostawi jej w spokoju.

Chciałby móc powiedzieć, że jest przy niej, bo wie, że ona potrzebuje teraz przyjaciela. Jej były chłopak bardzo ją zranił. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nie trzeba było mieć dyplomu z psychologii, by dostrzec, jak bardzo przeżyła to rozstanie. Znał się na zranieniach. Zdarzało się, że na zewnątrz wyglądały na zagojone, ale tkanka podskórna wymagała jeszcze długotrwałej rekonwalescencji. Bywało, że nigdy nie regenerowała się do końca lub pozostawały na niej nieodwracalne blizny.

Fakt, że nie chciała rozmawiać o powodach swojego przyjazdu do Rosewood, kazał mu przypuszczać, że nieudany związek to nie jedyne niepowodzenie w jej życiu.

Był niemal pewien, że miała za sobą jeszcze jakieś inne przykre przejścia.

Na zewnątrz mocno zacinał deszcz. Wycieraczki ledwie nadały usuwać strugi z przedniej szyby.

Włączył radio i położył dłoń na głowie Rebeki. Głaszcząc leniwie jej włosy, rozmyślał o tym, jak bardzo chciałby poznać jej sekrety.

- Rebeka? Kochanie, obudź się.

Przyjemnie niski męski głos dobiegał gdzieś z góry. Słyszała go jakby tuż ponad głową.

- Jesteśmy pod domem.

Pod jakim domem? Ja nie mam domu. Zmarszczyła brwi i ignorując natarczywy szept koło ucha, spróbowała ułożyć się wygodniej na

cieplutkiej poduszce. Nieprzyjemne strzyknięcie w odrętwiałym karku w jednej chwili przywróciło ją do rzeczywistości. Oprzytomniała na tyle, by zdać sobie sprawę, że opiera się o muskularne męskie udo, a nie o puchowy jasek.

- No, mała, pobudka - rozpoznała głos Joego.

Nie miała ani siły, ani ochoty, żeby podnieść się z własnej woli. Było jej zbyt dobrze. Poczuła, że ujmuje ją za ramiona i sadza pionowo na siedzeniu.

- Zaprowadzę cię do środka. Gdzie masz klucze? Pogrzebała chwilę w torebce i sięgnęła do klamki.

Nim otworzyła drzwiczki samochodu, był już na zewnątrz i za chwilę obejmował ją ramieniem. Przyjemnie było móc się na nim oprzeć.

- Gdzie śpisz? Na górze czy na dole? - zapytał, gdy znaleźli się w salonie.

Zajmowała jedną z sypialni na górze, ale perspektywa pokonania kilkunastu schodów nie wydała jej się szczególnie kusząca.

- Nie musisz mnie prowadzić - oznajmiła dziarsko. - Sama dojdę. - Ale najpierw jeszcze trochę się do ciebie poprzytulam, pomyślała w duchu.  
- Jestem tylko odrobinę zmęczona.

- Uhm, i odrobinę wstawiona.

- Wcale nie.

- Chyba jednak tak. No, chodź. - Ruszył w kierunku pokoju dla gości, który miał za plecami. Obejmując ją w talii, podprowadził do łóżka. Usiadła posłusznie na materacu i spojrzała w górę. Przed oczami miała niewyraźny zarys twarzy swego opiekuna. Przymknąwszy ociężałe powieki, opadła głową na poduszkę. Poczuła jeszcze, jak Joe zdejmuje jej płaszcz i buty, i odpłynęła w ciemność.

## Rozdział 7

Odważyła się do niego zadzwonić dopiero późnym popołudniem. Rozdzierający czaszkę ból głowy prawie ustąpił dzięki tabletkom przeciwbólowym, hektolitrom kawy i wmuszonemu w siebie koło południa hamburgerowi.

Przejaśniło się i przestało padać. Kiedy wychodziła z baru, świeciło piękne jesienne słońce. Schroniła się przed nim, zakładając ciemne okulary i czapkę z daszkiem, co tym razem miało niewiele wspólnego z najnowszymi trendami mody. Joe nagrał się na sekretarkę pod jej nieobecność. Chciał się upewnić, czy wszystko w porządku.

Ostatni raz miała kaca nazajutrz po tym, gdy zerwał z nią Jason. Koleżanki zabrały ją do klubu, żeby poprawić jej nastrój. Skończyło się na tym, że zmieszała chardonney z jakimś drinkiem, który wcale jej nie smakował, za to był podawany w bardzo ładnych szklankach. Wprawdzie dziś nie odczuwała aż takich fizycznych dolegliwości jak wtedy, ale pod innymi względami czuła się znacznie gorzej. Najbardziej dręczyła ją świadomość, że na koniec wczorajszego wieczoru właściwie straciła kontakt z rzeczywistością. Jakby ktoś wyłączył jej prąd pod czaszką. Co on sobie o niej pomyślał?

Z przeciwległego końca pokoju dobiegały odgłosy rozmów z telewizora, który podobnie jak w jej starym mieszkaniu w centrum miasta był zawsze włączony. W Nowym Jorku zagłuszała w ten sposób odgłosy ulicy lub kłótnie sąsiadów. W Rosewood zaś chroniła się przed ogłuszającą ciszą, a może po prostu próbowała stworzyć iluzję, że nie jest sama w wielkim domu.

Przyciszyła odbiornik pilotem, usiadła na kanapie i wybrała numer Joego. Zanim przyłożyła słuchawkę do ucha, dla kurażu wzięła głęboki oddech.

Odezwał się po trzecim sygnale.

- Cześć - mruknęła niewyraźnie.

- Cześć. Jak tam twoja głowa?

Zacisnęła powieki. Nie była pewna, czy pyta poważnie, czy robi sobie z niej żarty.

- Dziękuję, już lepiej. Słuchaj, przepraszam cię za wczoraj.

Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle wypiałam. Tak dobrze nam się rozmawiało, że zupełnie straciłam nad tym kontrolę. Butelka była pod ręką... Chyba po prostu zbyt dobrze się bawiłam. Już dawno nikt nie okazał mi tyle sympatii, co ty. Jestem ci bardzo wdzięczna za ten wieczór...

- Rebeka.

- ...sprawiłeś mi ogromną przyjemność i...

- Rebeka.

- Tak?

- Daj spokój. Nic się przecież nie stało. Nie ma się czym zamartwiać.

Poza tym ja też świetnie się bawiłem.

- Naprawdę? - Naciągnęła na nogi pled, pod którym spędziła całe przedpołudnie. - Mimo że kompletnie zepsułam końcówkę wieczoru? Powinnam była zaprosić cię na kawę.

- Po kawie nie mógłbym zasnąć do rana. Lepiej, że cię po prostu przykryłem i wyszedłem.

- No właśnie. Musiałeś położyć mnie do...

- Nawet nie zaczynaj. Podobało mi się. Uważam, że wieczór był całkiem udany. Miałem okazję zobaczyć, gdzie dorastałaś. Nie mógłbym

mieszkać na Manhattanie, ale przyznaję, że to miejsce ma swój urok. Teraz rozumiem, dlaczego zawsze będzie cię ciągnęło do miasta.

- Tak jak ciebie na wieś?

- Cóż, nie da się zmienić tego, kim się jest.

Pod warunkiem, że się wie, kim się naprawdę jest, pomyślała smętnie i westchnęła. Przypomniała sobie o wszystkim, czego jej w życiu brak.

- Chciałabym ci jakoś wynagrodzić moje wczorajsze zachowanie.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

- Myślę, że jest. - Wiedziała, że lubi piłkę nożną. - W piątek wieczorem jest mecz w Rosewood High. Jeśli chcesz, możemy tam pójść. Potem zabiorę cię na kolację, gdzie tylko sobie zażyczysz. Ty wybierz miejsce - dodała, obiecując sobie, że nawet nie tknie wina.

Miała nadzieję, że wybierze Entree. Właścicielami tej bez wątpienia najlepszej restauracji w miasteczku byli jej sąsiedzi, państwo Vincent. Lokai był elegancki, a jednocześnie zapewniał intymną, niemal domową atmosferę i, co najważniejsze, serwowano tam znakomite potrawy.

- Skąd wiesz, że w szkole jest mecz?

Najwyraźniej był zaskoczony, że Rebeka ma jakąkolwiek wiedzę na temat miejscowych wydarzeń sportowych.

- Przejeżdżam tamtędy w drodze do punktu ksero. Przeczytałam na plakacie. Więc jak? Jesteś zainteresowany?

- Pewnie, że jestem, ale niestety w ten weekend nie będzie mnie w Rosewood. Obiecałem ojcu i bratu, że pomogę im uszczelnić stodołę. Wyjeżdżam w piątek wieczorem. - Zawahał się. - A może zadzwonię do ciebie, jak wrócę, i wymyślimy coś zamiast meczu?

Wybierał się do domu. Pewnie czekał tam już cały szwadron kobiet, które upatrzyła dla niego matka.

- Dobrze. Tylko nie wracaj zaręczony. Nie umawiam się z zajętymi facetami.

- Nie obawiaj się - odparł rozbawiony. - Ta opcja w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Pogawędzili jeszcze chwilę, po czym Joe się pożegnał. Wciąż czekał na niego niewypełniony wniosek kredytowy. Zamierzał siedzieć nad nim, aż skończy, nawet gdyby miało to trwać do rana.

Odkładając słuchawkę, Rebeka czuła ogromną ulgę. Zanim zadzwoniła, obawiała się, że po wczorajszym spotkaniu nie będzie chciał jej więcej widzieć. Na szczęście obawy okazały się nieuzasadnione. Pomyślała, że też chciałaby zobaczyć miejsca, w których dorastał. Musiałaby jednak spotkać się z jego rodzicami, a to z kolei oznaczałoby, że ich związek zaczyna zmierzać w kierunku, którego żadne z nich nie brało pod uwagę.

Zastanawiała się, czy Joe zdaje sobie sprawę z tego, jakie szczęście spotkało go w życiu. Nie każdy mógł się pochwalić tak dobrymi relacjami z rodziną. Ona nie miała nawet pewności co do nazwiska własnego ojca.

Sześć dni później niewesołe myśli Rebeki krążyły nadal wokół tego samego tematu. Uchyliwszy zasłonę, wyjrzała przez okno, by stwierdzić, że piękna złota jesień bezpowrotnie odeszła. Zastąpiła ją posępna szaruga i plucha. Od rana lało jak z cebra. Rynny wypluwały strugi wody, niemal pękając pod jej naporem. Ogromne krople deszczu dudniły o szyby, tworząc istic gotycki nastrój. Brakowało tylko pukającej do okna białej zjawy.



Ponura aura nie sprzyjała dobremu nastrojowi. Nie powinna tak bardzo tęsknić za Joem. W ogóle nie powinno jej na nim zależeć. A jednak wciąż o nim myślała i bardzo jej go brakowało. Marzyła wyłącznie o tym, by znaleźć się w jego ramionach.

Miała wszelkie powody do radości, a mimo to nie potrafiła się cieszyć. W czwartek zadzwoniła redaktor naczelna, wychwalając jej najnowszy artykuł *Modne stopy*. Zleciła jej opracowanie podobnego tekstu na temat letnich trendów w modzie plażowej i kąpielowej. Zaprosiła ją także jako reporterkę do udziału w trzech najważniejszych w sezonie premierowych pokazach nowych kolekcji. Miała zapewnioną pracę na kilka najbliższych miesięcy. Na polu zawodowym sprawy toczyły się w jak najlepszym kierunku. Dzięki Angeli Schumacher podjęła współpracę z kierowniczką sklepu z artykułami dziecięcymi. Miała zostać konsultantką do spraw mody i wizerunku przy tworzeniu strony internetowej i materiałów promocyjnych.

Joe zadzwonił w środę wieczorem, żeby sprawdzić, co u niej słychać, i przypomnieć, że odezwie się w niedzielę zaraz po powrocie z Peterboro. Rozmowa poprawiła jej humor, lecz nie na długo.

Sobota rozpoczęła się poranną chandrą i jak dotąd nic nie zapowiadało poprawy.

Nie miała ochoty wychodzić na obiad podczas ulewy, postanowiła więc zadowolić się zupą z puszki. Posiliwszy się, nakarmiła także koty, które wygrzewały się teraz z ukontentowaniem przy kominku. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, powlokła się do kuchni i zaparzyła herbatę tylko po to, by chwilę później dojść do wniosku, że wcale nie ma na nią ochoty.

Zostawiła stygnący kubek na blacie i podeszła do stołu w nadziei, że znajdzie sobie jakieś zajęcie. Na nic jednak nie miała ochoty. Nie kusiły jej

pozostawione w nieładzie notatki ani porzucona książka, ani tym bardziej program ogrodniczy w telewizji. Na niczym nie potrafiła się skupić dłużej niż pięć minut.

Jej umysł był całkowicie pochłonięty dwiema sprawami: rozmyślaniami o Joem - nie mogła się doczekać, kiedy znów się z nim zobaczy, i deliberowaniem nad tym, co zrobić, żeby Russel Lever uznał ją za córkę. Próbowала sobie wmówić, że ojciec w rzeczywistości okaże się lepszym człowiekiem niż nieczuły egoista z opowieści Jacka.

Postanowiła jeszcze raz poszukać o nim jakichś pozytywnych informacji w Internecie. Była pewna, że znajdzie coś nowego. Po kilkunastu bezowocnych minutach westchnęła zrezygnowana i już miała odstawić laptopa, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu.

Kto to może być? - zastanawiała się. O ósmej wieczorem w sobotę? Popędziwszy do telefonu, spojrzała na wyświetlacz. Serce o mało nie podeszło jej do gardła.

- Joe! - zawołała, przycisnąwszy słuchawkę do ucha. - Wszystko w porządku? Coś ci się stało?

W pierwszym odruchu pomyślała, że coś musi być nie tak. Miał się przecież odezwać dopiero jutro po południu. Nie mogła uwierzyć, że dzwoni do niej od rodziców. Czyżby on też za nią tęsknił?

Zdaje się, że rozpoznał w jej głosie oznaki paniki, bo odezwał się uspokajającym tonem:

- Nic mi nie jest. A tobie? - zatroskał się nagle, jakby udzieliły mu się jej obawy.

- Nie - zapewniła pospiesznie. - Mnie też nie. Po prostu zdziwiłam się, że dzwonicz.

- Przeszkodziłem ci w czymś?

Tak, pomyślała w duchu, i Bogu dzięki.

- Niespecjalnie. Nie robiłam nic nadzwyczajnego.

- Mówiłem ci, że zadzwonię, jak tylko wrócę do domu.

Skończyliśmy uszczelnianie po południu, więc postanowiłem przyjechać dzisiaj. Odwiozłem psy do domu i wstąpiłem do kliniki, żeby sprawdzić, czy dach nie przecieka. Jest w jednym miejscu nieszczelny.

- I co? Przecieka?

- Na razie nie. - Do jej ucha dobiegło stłumione wycie klaksonu. - Słuchaj, wiem, że jest późno, ale jeśli naprawdę nie jesteś zajęta, może wpadłbym na chwilę?

O niczym innym nie marzyła. Dziś bardziej niż zwykle dokuczało jej poczucie alienacji i osamotnienia. Tak bardzo chciała go zobaczyć, że stłumiła w sobie głos rozsądku, który podpowiadał jej, że powinna bronić dostępu do swojego serca, zanim będzie za późno.

- Gdzie teraz jesteś? - Zgarnęła z kanapy stos świeżo upranych ubrań.

- Jakieś dwie ulice od ciebie.

Sięgnawszy ręką do niedbale związanych włosów, dokonała pospiesznej inspekcji stroju. Cały dzień spędziła w spodniach od dresu i ciepłej bluzie z kapturem. Nie wychodziła z domu, więc nawet nie miała na sobie butów. Chodziła po mieszkaniu w grubych wełnianych skarpetkach. Kupiła je w zeszłym tygodniu, bo wciąż marżyły jej stopy.

- Rebeko? Jesteś tam?

- Tak, jestem. Za ile będziesz?

- Za kilka minut.

- Okay, czekam. - Rozłączyła się i uprzątnęła w pośpiechu pranie.

Nie miała czasu, żeby się przebrać i umalować. Żałując, że nie jest lepiej

przygotowana, wyszła do przedpokoju, by zapalić światło na ganku. Niemal w tej samej chwili usłyszała na podjeździe samochód.

Joe przemierzył ogródek biegiem. Otworzyła mu drzwi, zanim zdążył zapukać.

Zdejmując czapkę z daszkiem, uśmiechnął się na powitanie. Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy objął wzrokiem jej pozbawioną makijażu twarz i niecodzienny strój.

Odsunęła się, żeby wpuścić go do środka.

Wniósł ze sobą zapach świeżego powietrza i deszczu. Zdjął ociekającą wodą kurtkę i odwiesiwszy ją, zaczął uważnie przyglądać się Rebecce spod przymrużonych powiek.

- Chodź. W salonie jest cieplej - odezwała się zażenowana. Krępowało ją jego badawcze spojrzenie. - Rozpaliłam w kominku. Cały dzień leje jak z cebra.

- Na północy też. Zaczęło padać około pierwszej.

- Tutaj lunęło w samo południe.

Zazwyczaj była od niego niższa tylko kilka centymetrów. Nie musiała zadzierać głowy, żeby zajrzeć mu w oczy. Bez butów na obcasie sięgała wzrokiem zaledwie do wysokości kołnierzyka jego koszuli. Gruby niebieski sweter opinał mu ramiona, które sprawiały przez to wrażenie jeszcze szerszych niż zwykle. Wilgotne dzinsy kleiły się do wąskich bioder.

Uniósłszy brodę, zauważyła błakający się na jego ustach uśmiech.

- Naprawdę chcesz rozmawiać o pogodzie? - zapytał po chwili.

- Niekoniecznie - odparła, nie mogąc nacieszyć się widokiem jego ujmującej twarzy.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie miała ochoty na rozmowę. Chciała, żeby wyciągnął ręce, mocno ją przytulił i powiedział, że zjawił się tu, bo tęsknił za nią tak bardzo, jak ona za nim.

Ale zamiast tego przeczesał tylko dłońmi zmoknięte włosy.

Odwróciła wzrok, żeby ukryć rozczarowanie, i ruszyła przodem w głąb domu. Dopóki nie znaleźli się w salonie, cały czas czuła na plecach jego zaciekawione spojrzenie. Kiedy zbierała z podłogi porozrzucane czasopisma i układała je na stoliku, nadal milczał jak zakłęty.

Wyczuwając jego obecność, koty przerwały drzemkę i zaczęły ocierać mu się leniwie o nogawki. Przyklęknął, aby pogłaskać oba za uszami.

Rebeka podeszła do stołu w kuchni.

Widząc włączony komputer, Joe zmarszczył brwi.

- Przeszkodziłem ci w pracy?

- Nie, skądże. - Nie zrobiła dzisiaj właściwie niczego pożytecznego. Sprzątanie domu się nie liczyło. Potraktowała je jako terapię. - Szukałam tylko informacji o kimś w sieci. - Uśmiechnęła się i wyłączyła laptopa.

Za tym uśmiechem kryło się dziwne napięcie. Jakby nieznaczące wygięcie warg sprawiło jej ogromny wysiłek. Bez starannie nałożonego makijażu jej subtelne rysy wydawały się mniej wyraziste, lecz jeszcze bardziej delikatne niż zwykle. Cienie na powiekach i błyszczący niewątpliwie dodawały jej urody, ale i bez nich pozostawała piękna, wyglądając przy tym o wiele młodziej i bardziej przystępnie. Znikła gdzieś charakterystyczna dla niej pewność siebie. Nie roztaczała już aury wyemancypowanej i nietykalnej kobiety z wielkiej metropolii.

Przesunął wzrokiem po jej szczupłej sylwetce opatulonej w zwyczajny czarny dres. Taka jak teraz podobała mu się jeszcze bardziej.

- Jesteś pewna, że w niczym ci nie przeszkadzam? Wzruszyła ramionami, próbując znowu się uśmiechnąć.

- Nawet jeśli coś robiłam, to cieszę się, że mnie od tego oderwałeś. Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty?

A może gorącej czekolady? Obawiam się, że nic innego nie mam.

- Nie, dziękuję. - Podszedł bliżej stołu, przy którym stała. Za oknami wciąż zaciął deszcz. Dudnienie kropli o szyby mieszało się z pomrukami telewizora.

Zatrzymał się tuż obok niej. Pomimo widocznych wysiłków, by to ukryć, sprawiała wrażenie przygnębionej. Smutek, który wyczuwał u niej już wcześniej przy rozmaitych okazjach, dziś wydawał się jeszcze bardziej intensywny i namacalny.

- Powiesz mi, od czego cię oderwałem?

- To długa i nudna historia - zapewniła, próbując niedbałego tonu. - Tak nieciekawa, że sama się nią już znudziłam.

- Mówiłaś, że szukałaś o kimś informacji.

Uniósł dłoń, by sięgnąć jej twarzy. Właśnie po to przyjechał wcześniej do domu. Żeby ją zobaczyć. Żeby móc jej dotknąć. Nie przejmował się tym, że to kompletnie bez sensu. Nie zważał nawet na to, że prawdopodobnie kierują nim hormony i jakaś nierozsądna, zupełnie niewytłumaczalna potrzeba bycia przy niej i wspierania jej. Taka mieszanka była niebezpieczna i nie wróżyła niczego dobrego, ale nic sobie z tego nie robił.

Chciał jej dotykać, ale w tej chwili bardziej dręczyło go pytanie, co się kryje za jej niewesołym nastrojem. Musiał się dowiedzieć, dlaczego jest taka smutna i przybita.

Palce Joego otarły się delikatnie o jej policzek. Ofiarował jej wsparcie, lecz niechcący osiągnął przeciwny efekt. Mając go tak blisko, na wyciągnięcie ręki, zamiast poczuć się lepiej, poczuła się jeszcze bardziej samotna i nikomu niepotrzebna.

Może lepiej nie mieć nic, pomyślała, niż dostać przedsmak czegoś, co na zawsze pozostanie nieosiągalne.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i odsunęła się na bezpieczną odległość.

- To... skomplikowane - powiedziała z okropnym uczuciem rozdarcia. Jeszcze kilka minut temu marzyła o tym, by schronić się w jego ramionach. Teraz uciekała przed nim, bojąc się pustki, z którą musiałaby się później uporać. Bo przecież w końcu sobie pójdzie, a ona znów zostanie sama w wielkim pustym domu. - I trochę... nietypowe - dodała po chwili.

Jej sytuacja rzeczywiście była skomplikowana i nietypowa, ale nie tego się obawiała. Przede wszystkim nie chciała, żeby pomyślał, że jest zagubiona, nieporadna i niewdzięczna wobec matki, a tak mogłoby się stać, gdyby mu powiedziała, że odkąd pamięta, jej życie jest jakby niepełne, że brakuje jej czegoś bardzo ważnego.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, o czym nie chciałaś rozmawiać podczas kolacji? Z powodem twojego przyjazdu do Rosewood?

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, po czym pokonana odwróciła wzrok. Czytał w niej jak w otwartej książce. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd u niego ta umiejętność. Nie pozostawało jej nic innego, jak po prostu się z tym pogodzić. Duma, a może instynkt samozachowawczy nie pozwalały jej zwierzyć mu się z tego, z czego nigdy nikomu się nie zwierzyła. Podejrzewała jednak, że sam się

wszystkiego domyślił. Wiedział już, że jej rodzice się nie pobrali, a ona nawet nie zna nazwiska swego ojca.

Poza tym, w przeciwieństwie do niej, był realistą i najbardziej pragmatycznym człowiekiem, jakiego знаła. Nie zaszkodzi, jeśli posłucha jego rady.

Przestała układać od dawna ułożone papiery i odwróciła się w jego stronę.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne, pytaj.

Postanowiła podejść do sprawy spokojnie i metodycznie. Nie da po sobie poznać, ile ją to kosztuje.

- Gdybyś nie znał ojca, chciałbyś się dowiedzieć, kim jest?

Spojrzał na nią uważnie, opierając się o blat i krzyżując ramiona.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale tak. Na pewno chciałbym go poznać.

- Nie uważasz, że to nie w porządku wobec matki? Domyślił się, do czego zmierza.

- Ja tak nie uważam, ale ona mogłaby to tak odebrać.

- Tego się właśnie obawiam. - Rebeka westchnęła ciężko. - Ale to nieprawda. Nie jestem niewdzięczna. Mogła przecież usunąć ciężę albo zostawić mnie zaraz po urodzeniu. Jestem przekonana, że gdyby nie zdecydowała się mnie zatrzymać, jej relacje z własnymi rodzicami nie ucierpiałyby tak bardzo. Dziadkowie praktycznie przestali utrzymywać z nią jakikolwiek kontakt. Została sama i robiła wszystko, co mogła, żeby zadbać o nas obie. Kocham matkę, ale po prostu muszę...

- Odnaleźć ojca - dokończył za nią. Jego wzrok powędrował do wyłączonego komputera. - Sądziś, że mieszka gdzieś w okolicy?



- Jestem tego pewna. Dlatego tu przyjechałam. W zeszłym roku natknęłam się przypadkiem na stary pamiętnik mamy. Pisze w nim o mężczyźnie, w którym była bardzo zakochana. Dаты się zgadzają. Zostałam poczęta w tym samym czasie, kiedy się spotykali. - Zastanowiła się chwilę, po czym zapytała z nadzieją w głosie: - Russel Lever. Słyszałeś o nim kiedykolwiek?

Joe zmarszczył brwi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Nazwisko brzmi znajomo, ale nie znam żadnego Russela. Jak udało ci się go namierzyć?

Nie potrafiąc ustać spokojnie w miejscu, zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

- Wynajęłam prawnika. Mężczyzna z pamiętnika uczęszczał na Uniwersytet Columbia. Ponoć poznali się z mamą na jakimś przyjęciu. Jej szkoła mieściła się w pobliżu kampusu. Mój adwokat znalazł osobę o tym nazwisku, której dane pokrywały się dokładnie z danymi z dziennika. Ze spisu absolwentów uniwersytetu wynikało, że Russel Lever przeniósł się do Rosewood. W miejscowym urzędzie stanu cywilnego uzyskaliśmy informację, że ma żonę i pasierba. Jego przybrany syn nazywa się Jack. Pamiętasz? To ten prawnik, z którym umówiłam się kilka razy i który rzucił mnie dla niani swoich dzieci. Postanowiłam poznać Jacka, bo nie wiedziałam, jak dotrzeć bezpośrednio do Russela. Poza tym miałam nadzieję, że powie mi coś o ojcu. Chciałam dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Niestety, z opowieści Jacka wynikało, że starszy Lever był okropnym mężem i ojczymem.

- Więc Jack wie, że jesteś córką Russela? Potrząsnęła głową, bawiąc się sznurkami od kaptura.

- Nie powiedziałam mu. Nie mówiłam o tym nikomu oprócz ciebie. Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, po co tu jestem, dopóki nie znajdę w sobie dość siły, żeby stanąć z ojcem twarzą w twarz. Zaczęłam zbierać o nim informacje, żeby przygotować się na spotkanie. Zamierzałam mu udowodnić, że postaram się dopasować do jego rodziny. Nie znalazłam jednak niczego zachęcającego i jestem rozdarta. Nie mogę się zdecydować, czy doprowadzić sprawę do końca, czy zostawić wszystko, tak jak chciała mama. Nie wiem, co jest ze mną nie tak - Rebeka zatrzymała się, po czym znowu zaczęła chodzić w tę i z powrotem. - Zawsze sobie wyobrażałam, że moje pierwsze spotkanie z nim będzie idealne. Teraz myślę, że może lepiej go nie poznawać. Obawiam się, że otworzę puszkę Pandory, z której wyskoczy jakiś potwór. Słyszę na jego temat same niepocholebne opinie. Nawet jego zajęcie wydaje mi się podejrzane. On zbija majątek, żerując na ludzkiej krzywdzie. - Zamierzała zrobić kolejną rundę przez pokój, ale Joe chwycił ją za ramię.

- Uspokój się - spróbował załagodzić jej podenerwowanie. - Nie ma sensu tak się tym przejmować.

A wydawało jej się, że będzie potrafiła opowiedzieć mu o wszystkim spokojnie.

- Wiem, że to trudne - ciągnął - ale musisz się do tego trochę zdystansować. Niczego mu nie udowadniaj, Nie możesz za wszelką cenę dopasowywać się do jego rodziny. Nie traktuj spotkania z nim jak rozmowy kwalifikacyjnej. Nie ubiegasz się o pozycję jego córki. Po prostu nią jesteś, czy mu się to spodoba, czy nie.

Przytrzymując ją za ramiona, czuł pod palcami, jaka jest spięta.

- I jeszcze jedno. Przestań sobie wmawiać, że coś jest z tobą nie tak, bo to nieprawda.

Raz już jej to powiedział. Tego dnia, kiedy zwierzyła mu się, że w odstępie zaledwie kilku miesięcy porzuciło ją aż dwóch mężczyzn. Był przekonany, że problem nie leży w niej. To ludzie, którzy przewijali się przez jej życie i odchodzili, nie zważając na jej uczucia, stanowili problem. Brak ojca miał niewątpliwie znaczny wpływ na jej obecną kondycję emocjonalną.

- Nie widzę nic złego w tym, że chcesz poznać swoje korzenie. To całkiem naturalne. - Jego dłoń powędrowała w górę i zatrzymała się na jej karku. - Musisz tylko przygotować się na to, że spotkanie z ojcem może okazać się nieco mniej przyjemne, niż to sobie wyobrażałaś.

- A co z moją mamą?

Joe zastanawiał się, czy Rebeka zdaje sobie sprawę, jak bezbrinnie w tej chwili wygląda.

- Na twoim miejscu sprawdziłbym najpierw reakcję ojca. Jeśli będzie pozytywna, wtedy spokojnie możesz powiedzieć mamie, że go odnalazłaś. Jeżeli nie spodoba mu się, że ma dorosłą córkę, wtedy lepiej zachować sprawę dla siebie. Nie ma sensu mówić matce o czymś, co przysporzy jej tylko bólu.

Patrząc mu w oczy, westchnęła cicho, po czym skinęła głową.

- Pozostaje tylko jeszcze jedna kwestia - odezwała się, opuszczając wzrok. - Jak mam się z nim spotkać? - Uniósłszy dłoń, położyła mu ją na piersi. - Nie ma sposobu, żeby się z nim bezpośrednio skontaktować. Jedyne, co mogę robić, to zostawiać mu wiadomości na sekretarce z prośbą, żeby oddzwonił. Nie powiem mu przecież, kim jestem, przez telefon. Nie zna mnie. Szanse na to, żeby się do mnie odezwał, są raczej znikome.

Zaczęła błądzić bezwiednie palcami po jego swetrze.

- Jeśli przedstawię mu się jako córka, tym bardziej nie oddzwoni.

Nie ulegało wątpliwości, że dokładnie przemyślała sprawę. Szukała najlepszego rozwiązania, a jednocześnie panicznie bała się odrzucenia. Martwiła się również o matkę. Nic dziwnego, że była niezdecydowana i nie zrobiła jeszcze tego, co on zrobiłby w podobnych okolicznościach już dawno temu.

Od razu nasunęło mu się jedno proste wyjście z sytuacji. Tyle tylko, że osobiście nie był nim szczególnie zachwycony.

Rebeka od samego początku twierdziła, że nigdy nie łączyło jej z Jackiem nic poważnego. Kiedy wspomniała o nim pierwszy raz, wydawała się bardziej zażenowana niż zraniona tym, jak ją potraktował. Teraz także wzmianka o nim nie wzbudzała w niej większych emocji.

Mimo wszystko Joe zazdrościł Jackowi każdej chwili, którą spędzili razem.

- Może powinnaś porozmawiać z Jackiem. Powiedzieć mu, kim jesteś. Tylko on może ci pomóc zaaranżować spotkanie z Leverem.

Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

- No, chyba że nie masz ochoty go oglądać - dodał pośpiesznie. - Mówiłaś, że nie byłaś bardzo zaangażowana, ale jeśli to dla ciebie zbyt trudne...

- Nie byłam zaangażowana. W każdym razie nie uczuciowo.

- W porządku. Nie miałem zamiaru cię przesłuchiwać.

Chciałem powiedzieć, że jeśli to dla ciebie zbyt trudne, mógłbym pójść z tobą.

Zamrugła z niedowierzaniem.

- Naprawdę? Zrobiłbyś to dla mnie?

Patrzyła na niego z taką niepewnością i smutkiem, że aż ścisnęło mu się serce.

- Oczywiście, że bym zrobił.

- Dlaczego? - Niedowierzenie w jej oczach zmieniło się w jawne powątpiewanie.

Nie mógł jej powiedzieć, że kieruje nim litość, choć rzeczywiście jej współczuł. Jeszcze bardziej nierozsądne wydawało się wyznanie, że pragnie ją chronić i że odczuwa coraz większą potrzebę opiekowania się nią.

Ujmując jej twarz w dłonie, odpowiedział najprościej, jak umiał.

- Przecież od tego są przyjaciele, prawda? - Pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Rebeka zamarła. Wzruszała ją rozbrajająca delikatność, z jaką jej dotykał. Kiedy poczuła jego język na swoim, zabrakło jej tchu i wciągnęła głośno powietrze.

Jej ciało ogarnęła fala błogiego ciepła. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odpłynęło gdzieś całe napięcie i niepokój, które trawiły ją od rana. Zniknął też nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Już wcześniej zdarzało się, że uspokajała się pod wpływem jego dotyku, ale tego, co czuła w tej chwili, nie dało się z niczym porównać.

Żaden inny mężczyzna nie dotykał jej tak, jak teraz Joe. Żaden inny mężczyzna nie całował jej z takim namaszczeniem, jakby była czymś kruchym i cennym. Dzięki niemu po raz pierwszy w życiu poczuła, że jest dla kogoś ważna, że komuś naprawdę na niej zależy. Zawsze jej tego brakowało. Było to jedno z tych doznań, których poskąpił jej los.

Joe uniósł głowę, przyglądając się, jak Rebeka leniwie otwiera oczy. Nie dostrzegał już w jej źrenicach niedowierzania. Zastąpiło je niezaspokojone pragnienie, lustrzane odbicie jego własnych pragnień.

- Nie przypominam sobie, żeby inni moi przyjaciele robili takie rzeczy - odezwała się osłabionym głosem.

Obrysował kciukiem jej dolną wargę.

- Jakie rzeczy? Chcesz powiedzieć, że nigdy cię nie całowali?

- No... nie w ten sposób.

Przesunęła policzek w bok, instynktownie przytulając się do wnętrza jego dłoni. Jakby podświadomie szukała jego dotyku. Zachęcony jej reakcją, doszedł do wniosku, że nadszedł dobry moment na szczerość. Powiedział jej kiedyś, że nie mógłby jej zwodzić. Nie zamierzał tego robić. Nie potrafił jednak zaprzeczyć, że jej pragnie i chce z nią być.

- Może nie chodzi mi wyłącznie o przyjaźń - zaczął ostrożnie. - Może chciałbym trochę więcej.

- O ile więcej?

Zawiesił wzrok na wysokości jej ust.

- Powiedzieć czy pokazać?

Pragnęła go jak powietrza.

- Pokaż.

Zamknąwszy ją w ciasnym uścisku, nakrył jej usta swoimi. Całował ją głęboko i namiętnie, przyciągając do siebie z całych sił. Czowała na sobie jego uda, brzuch i tors. Niebawem poczuła także namacalny dowód podniecenia. Jego dłoń wślizgnęła się pod jej bluzę i objęła pierś. Kiedy delikatnie obrysował palcem sutek, z ust Rebeki wyrwało się ciche westchnienie. Miała wrażenie, że uginają się pod nią kolana.

Objęła go mocniej za szyję, po części dla równowagi, lecz głównie po to, by znaleźć się jeszcze bliżej niego. Z jej ciałem działały się niesamowite rzeczy, ale przede wszystkim w jego ramionach czuła się bezpieczna i godna pożądania. W ułamku sekundy potrafił wymazać z jej świadomości wszystkie przykre uczucia: osamotnienie, pustkę i bezradność, z którymi walczyła, tęskniąc za nim przez cały dzień.

Zatrzymał dłoń pod bluzą i przeniósł usta na jej skroń.

- Myślę, że masz już ogólne pojęcie, o co mi chodzi - szepnął, muskając wargami płatek jej ucha.

Odchyliła głowę, by mógł swobodnie wodzić ustami po jej szyi.

- Hmm... Chyba nie do końca...

Roześmiał się uwodzicielsko.

- Mam się wyrażać jaśniej?

- Byłabym ci wdzięczna - odpowiedziała, kompletnie zapominając o zdrowym rozsądku. Nie potrafiła znieść myśli, że mógłby ją teraz wypuścić z rąk. - To znaczy, jeśli jesteś na to przygotowany...

Albo jej się wydawało, albo na chwilę znieruchomiał. A może to ona zastygła w bezruchu, kiedy odgarniał jej włosy z policzka.

Dotarło do niego, że Rebeka pyta, czy ma ze sobą zabezpieczenie.

- W takim razie - zaczął ochrypłym głosem - nie pozostaje mi nic innego, jak przejść do demonstracji. Jeszcze jedno, lubię, jak jesteś niska. Lepiej do mnie pasujesz.

Zamierzała się z nim nie zgodzić, ale zamknął jej usta pocałunkiem i zapomniała o wszelkich sprzeciwach. Nie potrafiła i nie chciała się przed nim bronić. Kiedy prowadził ją w stronę kanapy, zdejmując z niej bluzę i biustonosz, liczyło się tylko to, że znów ją dotyka, że jest z nią w chwili, gdy tak bardzo go potrzebuje.

Zapaliwszy stojącą przy sofie lampkę, ściągnął sweter. Rebeka natychmiast zaczęła rozpinąć guziki jego flanelowej koszuli. Wkrótce ich rzeczy kłębiły się w nieładzie na podłodze, a oni leżeli na poduszkach. Joe przycisnął ją swoim ciężarem i wplótł jej palce we włosy. Całował ją długo i powoli, jakby zamierzał nauczyć się jej ust na pamięć. Nie spieszyło mu się. Jego dłonie i wargi błędziły leniwie po jej piersiach i brzuchu. Wreszcie, po nieskończonej długich minutach, pozbawił ich reszty ubrania i nieco mocniej przycisnął jej miękkie ciało do swojego. Nadal jednak działał powoli i z rozmysłem, jakby zamierzał stopniowo doprowadzić ją do granic szaleństwa.

Mówiono jej wiele razy, że jest ładna, ale do tej pory żaden mężczyzna nie sprawił jeszcze, że czuła się naprawdę piękna i wyjątkowa. Joe przekonywał ją o tym każdym pocałunkiem i każdą pieścizną.

Łaknęła go niemal każdą cząsteczką swojego ciała. Nawet nie sądziła, że można tak intensywnie pragnąć drugiej osoby.

Chcąc, żeby zapragnął jej równie mocno jak ona jego, z zapalem oddawała mu każdą pieścizną. W końcu nie wytrzymał i złapał ją za nadgarstek, przytrzymał jej rękę ponad głową.

- Spokojnie - syknął przez zaciśnięte zęby, ledwie się kontrolując. Jego rozszerzone źrenice płonęły z trudem powściąganym pożądaniem.

Nie przyszedł dziś do niej z myślą o tym, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Chciał ją tylko zobaczyć. Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie zobaczył w jej oczach tęsknoty i nie poczuł, że lgnie do niego, wchłaniając jego dotyk jak gąbka. Obiecywał sobie na początku, że nie będzie się spieszył. Owszem, chciał, by ich związek się rozwijał, ale zamierzał kontrolować sytuację i nadawać sprawom odpowiednie tempo. Zapewne miał ku temu jakieś ważne powody, ale cokolwiek to było, dawno



wyleciało mu z głowy. Na szczęście nie stracił rozsądku na tyle, by zapomnieć o zabezpieczeniu.

Panując nad sobą resztkami sił, ułożył ją pod sobą i oplótł sobie jej nogę wokół biodra. Chciałby cieszyć się nią dłużej, rozkoszować się jej ciepłem i doskonałymi kształtami choćby jeszcze przez chwilę. Wiedział, jak dawać i czerpać przyjemność z seksu, ale kiedy Rebeka wygięła się pod nim w łuk, a jej niecierpliwe dłonie próbowały go ponaglić, uzmysłowił sobie, że chodzi o coś więcej. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś takiego do żadnej kobiety. Przede wszystkim pragnął z nią być i ją wspierać, ale w tym konkretnym momencie marzył wyłącznie o tym, by wymazać z jej pamięci wszystkich mężczyzn, z którymi do tej pory była. Zaprağnął jej na wyłączność. Zazwyczaj nie był zaborczy, ale nie chciał, by po nim myślała jeszcze kiedykolwiek o kimś innym. Od tej pory miała być już tylko jego.

Otworzyła oczy, kiedy wyszeptał jej imię i powoli zanurzył się w ciepłe jej ciało. Wstrzymując oddech, zacisnęła powieki i wysunęła zapraszająco biodra w jego stronę.

Wiedział, że będą konsekwencje. Wiedział, że pojawią się komplikacje, ale nic sobie z tego nie robił. Porwany wirem namiętności, wkrótce nie był już w stanie sformułować ani jednej logicznej myśli.

## Rozdział 8

Rebeka nie miała najmniejszej ochoty się ruszyć ani tym bardziej zmuszać się do myślenia. Najchętniej została by tak do końca swoich dni, leżąc pod ciężką kołdrą obok Joego, ogrzewając się emanującym z niego ciepłem.

Po raz pierwszy w życiu czuła się bezpieczna, jakby mógł ją uchronić przed całym złem tego świata. Dotąd nie potrafił jej tego dać żaden inny mężczyzna. Nie powinna się dziwić; Joe otworzył przed nią cały świat zupełnie nowych, intensywnych emocji i doznań. Tak cudownych, że może lepiej byłoby nigdy ich nie zaznać.

Oddychała najciszej, jak umiała, z obawy, że może go obudzić, a wtedy czar pryśnie. Zniknie gdzieś poczucie bezpieczeństwa i złudne wrażenie, że wreszcie jest dla kogoś ważna. Nie miała zamiaru się z nim kochać, ale w pewnym momencie myśl, że miałby przestać ją dotykać, okazała się nie do zniesienia. Po prostu nie mogła pozwolić mu odejść. Niewątpliwie czuła do niego ogromny pociąg fizyczny. Bała się dopuścić do siebie myśl, że chodzi o coś więcej. Był wspaniałym mężczyzną, czasami wydawał jej się zbyt doskonały, by mógł być prawdziwy. A biorąc pod uwagę jej nieciekawe doświadczenia z innymi facetami, pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy wszystko między nimi się skończy.

Joe dokładnie wiedział, kiedy Rebeka się obudziła. Wyczuł w jej ciele napięcie. Zaczęła płycej oddychać, a spoczywająca pod jego ręką dłoń zacisnęła się w pięść.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że próbuje zanegować niespodziewany zwrot w ich wzajemnych relacjach.

Sam również bił się z myślami. Nie był do końca pewien, co do niej czuje, ale jedno wiedział na pewno: nie zamierzał pozwolić, by się od niego odsunęła. Jeśli żałowała tego, co się między nimi wydarzyło, w naturalnym odruchu zamknie się przed nim i będzie próbowała się wycofać.

Chcąc ją od tego odwieść, postanowił skierować jej myśli na inne tory. Uniósłszy się na łokciu, odgarnął włosy z jej karku i pocałował w szyję tuż za uchem.

- Ubiorę się i pójde - wymruczał leniwie. - Sąsiedzi niedługo zaczną wychodzić po gazety. Nie chcę, żeby zobaczyli mój samochód.

Rebeka przewróciła się na plecy i spojrzała na niego ostrożnie.

- Która godzina?

- Wpół do piątej.

Jej długie włosy były kompletnie potargane. Odgarniając splątane pasma z twarzy, nastawiła ucha. Na zewnątrz wciąż zacinał deszcz. Zmarszczyła czoło i przesunęła palcami po jego szczęce.

- Pada. Okropnie zmokniesz.

- Kiedy przyszedłem, też padało. - Wzruszony troską w jej głosie, ucałował wewnątrz jej dłoni. - Zadzwoń do ciebie za kilka godzin albo, jak chcesz, możesz od razu jechać ze mną.

- Jechać z tobą?

- Pewnie. - Uśmiechnął się i otarł się wargami o jej usta. - Zrobisz mi śniadanie.

- Kiepska ze mnie kucharka - zmartwiła się i spojrzała na niego przepaszająco. - A co byś zjadł?

- Jajka na bekonie. Z tostami.

- Umiem zrobić jajecznicę i tosty - uradowała się. - Ale z bekonem nie ryzykowałabym na twoim miejscu. Zresztą nie mam bekonu.

- Nie szkodzi. Ja mam. Chodź, weźmiemy prysznic i pojedziemy do mnie. - Widząc, że twarz Rebeki rozpromienia uśmiech, jeszcze raz pochylił nad nią głowę. - Przyda mi się trochę pomocy. Odstawię cię do domu wieczorem.

Obawiał się, że żałowała ich wspólnej nocy, ale kiedy szepnęła cicho „Dobrze”, w jej głosie nie było ani odrobiny żalu czy niezadowolenia. Wręcz przeciwnie. Objęła go za szyję i przylgnęła do niego całym ciałem natychmiast, gdy ją pocałował. Entuzjazm, z jakim odpowiadała na jego dotyk, rozwiął także jego własne wątpliwości i obawy. Przygarnawszy ją do siebie, przesunął dłonią po jej smukłych plecach i doszedł do wniosku, że nie muszą się aż tak bardzo spieszyć. Śniadanie mogło poczekać.

Rebeka wyjrzała przez okno w mieszkaniu Joego.

Pogoda nadal była okropna. Nad miastem wisiały czarne chmury i lało jak z cebra, ale, o dziwo, tutaj łatwiej jej było znosić ponurą aurę. Nie przeszkadzał jej wiatr ani łomotanie gałęzi. W przytulnym i ciepłym wnętrzu nie odczuwała najmniejszego niepokoju.

Byłaby całkowicie zadowolona i zrelaksowana, gdyby nie dobiegający z podłogi żaloszny skowyt. Reksowi skończyła się woda. Jego pan kręcił się gdzieś w innych pomieszczeniach, pies przyniósł więc pustą miskę i przycupnął u stóp Rebeki.

Podeszła do zlewu i napełniwszy naczynie, postawiła je na podłodze.

- Pij, piesku. - Poglaskała zwierzaka po kudłatym łbie i ruszyła na poszukiwanie Joego.

Kiedy wcześniej przygotowywali wspólnie śniadanie, powiedział jej, że kupił ten dom trzy lata temu. Postanowił wyburzyć wszystkie ściany i

urządzić wnętrze od nowa według własnych upodobań. Nie wynajął żadnych robotników. Wszystko robił sam. Po roku skończył sypialnię i łazienkę, po dwóch latach umeblował salon i resztę pokoi. Obecnie był na etapie wyposażania kuchni. Pozostały mu jeszcze dwie sypialnie i druga łazienka. Planował zakończyć ostatecznie remont, zanim rozpocznie rozbudowę kliniki. W ten sposób mógłby skoncentrować się całkowicie na tworzeniu wymarzonego szpitala dla zwierząt.

Joe był bardzo dobrze zorganizowanym człowiekiem. Z tego, co mówił, jego życie było dokładnie zaplanowane na najbliższych kilka lat. Naturalnie podziwiała go za samozaparcie i wytrwałość w dążeniu do celu. Z drugiej strony nie mogła się oprzeć poczuciu zniechęcenia. Wątpiła, by w jego napiętym harmonogramie znalazło się miejsce dla drugiej osoby. Postanowiła jednak cieszyć się chwilą i czerpać jak najwięcej radości z tego, że może z nim być. Przynajmniej na razie.

Odpędziwszy niewesołe myśli, przeszła do pokoju obok. Było w nim znacznie więcej mebli niż w innych pomieszczeniach, ale białe ściany wciąż świeciły pustkami. Przydałby mu się dekorator wnętrz, pomyślała, zatrzymując wzrok na terrarium z iguaną. Joe próbował je sobie przedstawić, ale postanowiła nie zbliżać się do jaszczurki na mniej niż kilka metrów, jeżeli to nie będzie konieczne. Przyzwyczaiała się do kotów, w każdym razie do tych dwóch, z którymi dzieliła mieszkanie. Psy Joego wydawały się sympatyczne i wyraźnie ją polubiły, ale wszystko ma swoje granice. Za żadne skarby nie zaprzyjaźni się z pokrytym łuskami oślizłym gadem.

- Trochę tu pusto - odezwała się. - Powinieneś powiesić na ścianach kilka swoich zdjęć. Takich jak te w klinice. - Usiadła na dywanie przy kominku i pogłaskała po łbie leżącego obok Bailey'a. - Drzewa byłyby

idealne. Albo pejzaże z wszystkimi czterema porami roku. Pasowałyby kolorystycznie do kanapy. Tak... - zamyśliła się. - Trzeba by tylko zrobić większe odbitki albo... użyć miniatur na czarnym tle i w czarnych ramkach.

Joe spojrział na nią znad trójnoga, na którym ustawiał aparat. Zamierzali zrobić jego zwierzakom zdjęcia do kalendarza. Po porannej kąpieli Rebeka nałożyła makijaż. Wprawdzie nie tak ostry jak zwykle, na tyle jednak wyrazisty, by pozbawić jej twarz wyrazu kruchości i bezradności. Sweter w kolorze burgunda, markowe džinsy i nieodłączne szpilki, przywróciły jej aurę wyrafinowania oraz pewności siebie.

Jeszcze do niedawna nie przyszłoby mu to do głowy ale siedząc w jego salonie i poklepując odruchowo jego psa, sprawiała wrażenie, jakby odnalazła swoje miejsce na świecie.

Podążył za jej wzrokiem ku pozbawionej ozdób ścianie. Nie miał pojęcia, jak ona to robi. Ledwie rozejrzała się po pokoju, a już wiedziała, w jaki sposób nadać wnętrzu bardziej osobisty charakter.

- Mam w ciemni całe mnóstwo wywołanych zdjęć. Możesz je przejrzeć, jeśli chcesz. Myślę, że znajdziesz coś odpowiedniego.

- Gdzie jest ta ciemnia? - Od razu poderwała się na nogi, gotowa do działania. Czasami wydawało mu się, że kiedy jest w dobrym nastroju, ma wręcz niespożyta energię.

- Może najpierw skończylibyśmy z tym?

Wzruszyła ramionami, spoglądając na gwiazdkowe ozdoby dla psów i jaszczurki.

- Dobrze, jak chcesz. - Wręczyła mu białą futrzaną obróżkę.

Było jasne jak słońce, że będzie musiał sam założyć ją iguanie.

Rebeka od samego początku omijała terrarium szerokim łukiem. Zupełnie jak jego siostrzenice.

- Gdzie jest Reks? - zapytał.
- Dałam mu pić.
- Przyrowadzisz go? Ja wyjmę z terrarium Iggy'ego.
- A co z tłem do zdjęcia?
- Jak to co? - odwrócił się zdziwiony. - Zrobimy je przy kominku.
- Ale tak bez niczego? - Zmarszczyła brwi.
- Nie podoba ci się mój kominek?
- Podoba mi się, ale przydałoby się coś do ozdoby.
- Do ozdoby? Na przykład co?
- Coś... świątecznego.
- Zwierzaki będą miały świąteczne wdzianka. - Pomachał jej przed nosem obrozą.
- Ale w tle też powinno być widać święta.
- Więc co proponujesz?
- Masz jakieś gwiazdkowe dekoracje? Bombki, świecidełka, lampki?
- Jest trochę lampek na choinkę w garażu.
- A skarpety?

Sądząc z jego uniesionych brwi, nie zawracał sobie głowy takimi detalami.

- Na kominku muszą wisieć skarpety - stwierdziła z przekonaniem, usiłując sobie przypomnieć obrazki z kartek świątecznych. Sama rzadko dekorowała dom na Boże Narodzenie. W dzieciństwie ograniczały się z mamą do ubrania małego drzewka, które stało zazwyczaj w rogu stołu. Mimo to uwielbiała Nowy Jork w grudniu. Wystawy sklepowe i hole hotelowe zamieniały się w istic bajkowe krainy. - Trzeba też nazbierać sosnowych szyszek. - Podeszła do kominka. - Tutaj powiesimy stroik z

gałązek świerku i postawimy kilka świeczek. Masz jakiś ładny mosiężny świecznik?

Spojrzała na niego z takim ożywieniem, że nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Nie będę teraz ścinał gałęzi. Nawet o tym nie myśl. Wszystko jest kompletnie mokre po deszczu.

- A reszta? - upierała się niezrażona.

- Nie mam ani jednej z tych rzeczy, które wymieniłaś. I nie wiem, gdzie można je dostać.

Podeszła do niego, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Ale ja wiem.

Położył jej ręce na biodrach.

- Tak? Gdzie?

- W sklepie z ozdobami. Byłam tam tylko raz, ale wierz mi, mają wszystko, czego nam trzeba.

Wolałby porwać ją w ramiona i zanieść do łóżka, ale nie dała mu czasu, by zdążył wprowadzić swój zamiar w czyn. Bez zbędnych ceregieli pociągnęła go za rękę w stronę szafy, wyniszczając po drodze plan działania. Nie mógł się nadziwić, jak to się dzieje, że daje jej się wodzić jak na smyczy. Sam nigdy by się nie wybrał w takie miejsce.

Powoli zaczynało się ściemniać. Zakupy zajęły im ponad dwie godziny. Oprócz ozdób świątecznych wybierali też ramki do zdjęć, które Joe miał powiesić na ścianie. Poza tym w sklepie były długie kolejki do kas.

Nie zdołali dotrzeć do ciemni, żeby przejrzeć fotografie. Kiedy udekorowali kominek i po kilku nieudanych próbach zrobili wreszcie



ujęcie, z którego oboje byli zadowoleni, nagle okazało się, że wybiła piąta po południu.

Rebeka zaczynała czuć się trochę nieswojo.

Zdjawszy szczotkę ze stojaka, zabrała się do zmiatania z podłogi resztek plastikowych igieł. Kominek znów był zwykłym kominkiem, ale kiedy przypomniała sobie, jak wyglądał jeszcze kilkanaście minut temu i jak miło spędzili przy nim czas, pomyślała, że chciałaby przeżywać takie chwile, gdy nadejdą prawdziwe święta.

Zawsze marzyła o pięknym domu i gwiazdkowej atmosferze u boku ukochanego mężczyzny. Broniła się przed tym, lecz ostatnio ten mężczyzna coraz częściej przybierał postać Joego. Miał jego twarz. Wiedziała, że nie powinna robić sobie złudzeń.

- Zrobione. - Uśmiechnęła się niepewnie, zgarnawszy odpadki na szufelkę.

Joe wyjął jej z ręki zmiotkę i odłożył na bok, po czym stanął przed nią, ujmując się pod boki.

- Mówiłem ci, że nie musisz sprzątać.

- A ja mówiłam, że skoro pomogłam narobić bałaganu, pomogę go też posprzątać.

- Nie nazwałbym tego bałaganem. Dekoracje były naprawdę świetne.

- Okej, powiedzmy, że chodziło mi o bałagan w sensie kreatywnym.

- Ależ ty jesteś czasami uparta. Gdybyś nie dorwała się do szczotki, od godziny byłabyś już w domu.

Nie zamierzał zatrzymywać jej u siebie cały dzień. Miał masę papierkowej roboty i stertę prania, która czekała na niego od tygodnia. Istniało poważne ryzyko, że wkrótce skończy mu się czysta bielizna i będzie musiał biegać rano po nowe slipy do sklepu.

Poza tym jakiś czas temu zauważył, że na twarzy Rebeki pojawił się wyraz widocznego dyskomfortu. Instynktownie wyczuwał, że odsuwa się od niego i zaczyna zamykać się w sobie. Zapewne potrzebowała odrobiny dystansu. Najmądrzejszą rzeczą było jej go zapewnić. Nie mógł dopuścić, żeby którekolwiek z nich poczuło się naciskane.

Nie chciał być dla niej tylko nagrodą pocieszenia po nieudanym związku z poprzednim chłopakiem. Między innymi z tego powodu jeszcze do wczoraj nie zamierzał się spieszyć. Obiecywał sobie, że zanim zaczną myśleć o przyszłości, da jej czas na uporanie się z przeszłością. Sprawy komplikowała dodatkowo jej pogmatwana sytuacja rodzinna.

Nic dziwnego, że potrzebowała odrobiny wytchnienia i samotności. Postanowił zniknąć jej na jakiś czas z oczu, gdy tylko zyska pewność, że zostawia ją w dobrym stanie ducha.

- Zamierzasz spotkać się z Jackiem w sprawie ojca?

Rebeka nie miała pojęcia, jak to się stało, ale Joe całkowicie odwrócił jej uwagę od Russela Levera. Od wczoraj nie pomyślała o nim ani razu. Doszła do wniosku, że najrozsądniej będzie skorzystać z jego rady.

- Chyba tak. Jest jedyną osobą, jaką znam, która pozostaje z nim w bezpośrednim kontakcie. Zastanawiam się tylko, czy powinnam od razu pójść do niego do biura, czy może lepiej wcześniej zadzwonić?

- Zadzwoń i umów się na spotkanie. Myślę, że w tej sprawie dodatkowy element zaskoczenia nie jest wskazany. - Pogłaskał ją po policzku. - Mam pójść z tobą?

Zrobiłby to, gdyby go poprosiła. Wiedziała, że może na niego liczyć. Potrzeba zachowania niezależności wzięła jednak górę nad zapewnieniem sobie komfortu psychicznego.

Oparła dłoń o jego tors.

- Wiem, że chcesz mi pomóc, ale czuję, że muszę załatwić to sama. -  
Spotkanie z Jackiem zapewne okaże się niezręczne dla nich obojga.  
Trudno. Jakoś to przeżyje. Nęciła ją możliwość wsparcia się na ramieniu  
Joego, ale nie była przyzwyczajona do tego, by zrzucać własne problemy  
na cudze barki.

- Kiedy planujesz do niego zadzwonić? - Nie wydawał się  
szczególnie zaskoczony jej odmową.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Jutro z samego rana.

Kancelaria Wasserman, Kendall & Lever mieściła się na dziesiątym  
piętrze wysokiego biurowca. Rebeka stała w windzie, obserwując  
zmieniające się na wyświetlaczu numery kolejnych kondygnacji.  
Zachowywała się dokładnie tak samo jak przed każdym ważnym spotka-  
niem, które mogło zaważyć na jej dalszych losach. Próbowwała odsunąć na  
bok wszelkie wątpliwości i modliła się, żeby wszystko poszło dobrze.

Przeszedłszy przez podwójne przeszklone drzwi, zbliżyła się do  
recepjonistki.

- Rebeka Peters - przedstawiła się z uśmiechem. - Jestem umówiona  
na piętnastą z panem Leverem.

Siedząca za biurkiem atrakcyjna brunetka przycisnęła guzik  
interkomu.

- Pani Peters do pana Levera. Oczywiście. - Odsunęła od ust  
mikrofon i zwróciła się do interesantki: - Proszę przejść na prawo. Za  
chwilę ktoś po panią wyjdzie.

Wkrótce w poczekalni pojawiła się konserwatywnie odziana kobieta  
w średnim wieku z sięgającymi policzka włosami przyprószonymi siwizną.

Przedstawivszy się jako sekretarka Jacka, przeprowadziła Rebeke przez skomplikowany labirynt korytarzy, by w końcu zatrzymać się przed solidnymi drzwiami i wpuścić ją do środka.

Jack wstał zza mahoniowego biurka ustawionego prostopadle do ściany zabudowanej półkami na książki.

Był wysokim, dobrze umięśnionym blondynem o miłej powierzchowności. Miał na sobie doskonale skrojony dwurzędowy garnitur.

- Rebeka. - Uśmiechnął się niepewnie, wychodząc jej naprzeciw. - Szczerze mówiąc, zaintrygowałaś mnie. - Gestem zaprosił ją, by usiadła. - Nie przychodzi mi do głowy nic ważnego, o czym nie moglibyśmy porozmawiać przez telefon.

- Wierz mi, lepiej, żebyśmy tę konkretną sprawę omówili bezpośrednio. Jak się miewa Zoey? - zapytała, bo szczerze polubiła nianię jego dzieci i życzyła im obojgu jak najlepiej.

- Zoey ma się dobrze - oznajmił sztywno, przyglądając jej się podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Nie martw się. To nic osobistego - uspokoiła go na wszelki wypadek. Najwyraźniej wyobrażał sobie, że przyszła do niego, żeby spróbować go odzyskać. Mężczyźni, nawet ci sympatyczni, bywają wyjątkowo przewidywalni.

- W każdym razie nie chodzi o ciebie i o mnie - dodała, lecz nie zabrzmiało to najlepiej. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że to w najmniejszym stopniu nie dotyczy tego, co było między nami - zakończyła, uznając, że wyraża się dostatecznie jasno.

Zmarszczył brwi.

- O ile mi wiadomo, między nami nic nie było.

- Tak? A mnie się wydawało, że mnie rzuciłeś.

- Rebeko...

Uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Bez obaw. Moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego z naszym niedoszłym związkiem.

- W takim razie... co cię do mnie sprowadza? - Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i zdezorientowanego równocześnie.

- Muszę z tobą porozmawiać o twoim ojcu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia.

- O moim ojcu? Nie widzę powodu, żeby...

Wzięła głęboki oddech.

- Jest jeden powód. Widzisz, wydaje mi się, że Russel Lever to także mój ojciec.

Jack oniemiał. Otworzywszy na moment usta, zamknął je z powrotem.

- Twój ojciec? - powtórzył zszokowany. - To znaczy biologiczny?

- Tak sądzę.

- Masz na to jakiś dowód? - Podejrzliwość i nieufność to natura prawnika, nic więc dziwnego, że Jack przyjął wiadomość z niedowierzaniem.

- Nie mogę poprzeć tego, co mówię, badaniami DNA, jeśli o to ci chodzi. Odszukałam go za pośrednictwem prawnika. Jakiś czas temu znalazłam pamiętnik mojej matki - dodała gwoli wyjaśnienia, po czym opowiedziała mu szczegółowo całą historię. - Kiedy się dowiedziałam, że ma pasierba, byłam o ciebie trochę zazdrosna, przekonana, że w dzieciństwie miałeś wszystko, czego mnie zawsze brakowało. Przede

wszystkim dorastałeś z obojgiem rodziców. Nie musiałeś się martwić o pieniądze... Nie zrozum mnie źle, mnie nie chodzi o jego majątek - podkreśliła stanowczo. Nie chciała, żeby pomyślał, że kierują nią pobudki materialne. - Zresztą, przestałam ci zazdrościć, kiedy mi powiedziałeś, jakim był marnym mężem i ojczymem. Chciałabym go tylko poznać, to wszystko. Nie spodziewam się fajerwerków na swoją cześć ani tego, że przyjmiecie mnie z radością na łono rodziny. - Na szczęście z pomocą Joego wybiła sobie te mrzonki z głowy. - Myślę, że powinnam sama się przekonać, jaki jest naprawdę. Bez twojej pomocy nigdy mi się to nie uda. Liczę na ciebie, Jack.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Rebeka zaczynała powoli wątpić, czy młodszy Lever okaże jej zrozumienie i umożliwi spotkanie z ojcem.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy gwałtownie wstał, wbijając ręce w kieszenie, ona też poderwała się na nogi. Nie była w stanie usiedzieć dłużej w miejscu.

Nie prosiła go o błahostkę. Miał wszelkie prawo odmówić.

Nadal uważnie się w nią wpatrywał. Zastanawiała się, czy próbuje w ten sposób oszacować jej wiarygodność.

Okazało się, że szukał w jej rysach rodzinnego podobieństwa.

- Widzę pewne cechy wspólne - orzekł w końcu. - Wszyscy Leverowie mają ciemne włosy i niebieskie oczy. Ty też. I twój dołek w brodzie. Nie jest tak głęboki jak u mężczyzn, ale jest.

Poczuła, że mocniej zabiło jej serce. Jack wypuścił głośno powietrze.

- Jak się nazywa twoja matka?

- Lillian Peters.

- Wtedy nosiła to samo nazwisko?

Rebeka splotła przed sobą drżące dłonie.

- Tak, mama nigdy nie wyszła za męż.  
- Jak dawno to było? Dwadzieścia sześć, siedem lat temu?  
- Dwadzieścia dziewięć.  
- Na Manhattanie? - upewnił się, jakby chciał pozbierać wszystkie fakty.

- Zgadza się.  
- Czy Russel wie, że może mieć córkę?  
- Nie wiem, czy mama powiedziała mu o ciąży. Nie mam pojęcia, co między nimi zaszło. Nigdy nie chciała o tym ze mną rozmawiać. Do tej pory nie chce.

Zacisnął szczękę i po raz pierwszy spojrzął na nią jakby z innej perspektywy. Wstrzymała oddech.

- Dobrze. Zobaczą, co się da zrobić, ale nie mogę ci niczego obiecać. Russel jest raczej nieprzewidywalny. Nie wiadomo, jak zareaguje. Dziś są jego urodziny. Mama organizuje rodzinną kolację. Powiem mu o naszej rozmowie i zapytam, czy zadzwoni i umówi się z tobą na spotkanie. -  
Potrząsnął głową. - To dopiero będzie prezent niespodzianka.

## Rozdział 9

Rebeka nie była w stanie skupić się na czymkolwiek. Próbowwała pracować, lecz bez większego powodzenia. Nanosząc ostatnie poprawki w tekście, jednocześnie co chwila zerknęła w stronę telefonu. Jack obiecał, że zadzwoni do niej, żeby zrelacjonować przebieg rozmowy z ojcem. Zbliżał się wieczór, a ona wciąż nie miała od niego żadnych wieści.

Zamierzała właśnie wyjść do punktu ksero, kiedy wreszcie rozległ się oczekiwany dzwonek. Podbiegłszy pędem do aparatu, spojrzała na wyświetlacz. Wasserman, Kendall & Lever, przeczytała nazwę kancelarii Jacka.

- Słucham? - odezwała się ostrożnie.

- Cześć, Rebeko. To ja, Jack. Masz chwilę?

- Jasne. - Miała wrażenie, że serce za moment wyskoczy jej z piersi. - I co? Rozmawiałeś z nim?

- Tak - odparł spokojnie. - Na osobności. Doszedłem do wniosku, że jeśli uzna za stosowne, sam powinien powiadomić o twoim istnieniu resztę rodziny. Niestety, powiedział, że ledwie znał twoją matkę - zawiesił głos. - Jego zdaniem to niemożliwie. Przykro mi, ale twierdzi, że nie może być twoim ojcem.

Rebeka zaniemówiła. Zamrugnęła powiekami z wyrazem niedowierzania na twarzy i opadła bezwładnie na stołek.

Instynkt samozachowawczy podpowiadał jej od dawna, że powinna porzucić marzenia o uznaniu jej za pełnoprawnego członka rodziny. Nie spodziewała się jednak, że Russel Lever tak po prostu wyprze się ojcostwa.



- Ale przecież sam mówiłeś, że jestem do niego podobna.

Powiedziałeś mi o tym?

- Pamiętaj, że występowałem tylko w charakterze posłańca. Zresztą, nawet gdybym próbował, z pewnością nie udałoby mi się go przekonać.

- Może gdyby mnie zobaczył, zmieniłby zdanie...

- Wybacz, ale nie sądzę, żeby to pomogło. Powiem wprost. On nie chce się z tobą zobaczyć. Naprawdę bardzo mi przykro, ale takie są fakty. Nie wiem, co jeszcze mógłbym ci powiedzieć. Upiera się, że nie jest twoim ojcem. Nie przyjmie tego do wiadomości, dopóki testy DNA nie potwierdzą twojej wersji, a nawet wtedy...

Nie dokończył, ale zamierzał zapewne dodać, że nawet jeśli Russel będzie miał przed oczami niezbity dowód, nic nie zmusi go do tego, żeby ją zaakceptował.

- Moim zdaniem nie powinnaś z tego powodu rozpaczać. Nie jestem przekonany, czy kontakty z nim wyszłyby ci na dobre. - Wbrew gorzkim słowom w jego głosie słychać było współczucie.

- Wierzysz mi? To znaczy myślisz, że naprawdę nie jest moim ojcem?

- Sam nie wiem, co o tym sądzić. W ogóle nie zareagował na nazwisko twojej matki. Skojarzył ją dopiero, kiedy wspomniałem, gdzie chodziła do szkoły. Z drugiej strony minęło prawie trzydzieści lat. Pamięć bywa zawodna. A jednak widzę między wami wyraźne podobieństwo.

- Pytał o moją mamę? Albo o mnie? - Miała nadzieję, że nie słychać w jej głosie, jak bardzo jest zdesperowana.

- Jedyne, co go interesowało, to czego od niego chcesz. Rzecz jasna uznał na samym wstępie, że chodzi ci wyłącznie o pieniądze. Mówiłem mu, że to bzdura i że nie czyhasz na jego majątek.

- I co on na to?

- Że jeśli ci wierzę, to jestem głupszy, niż myślał. Według niego wszystkim kobietom chodzi o pieniądze.

Zacisnąwszy powieki, Rebeka potrząsnęła smutno głową.

- Przepraszam, że naraziłam cię na nieprzyjemne ataki z jego strony.

- Nie przejmuj się. Już dawno nauczyłem się ignorować jego złośliwości. A wracając do ciebie, jeśli Russel nie jest twoim ojcem, masz szczęście, lecz jeśli jest, radzę ci zapomnieć o jego istnieniu. Bez niego będzie ci o wiele lepiej.

Może i miał rację, ale to nie pomniejszało uczucia pustki, jakiego w tej chwili doznała.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Trzymaj się i do widzenia.

- Do widzenia. - Rozłączyła się i odłożyła ostrożnie słuchawkę.

Z trudem oddychała. Wydawało jej się, że cięży jej na piersi stukilogramowa bryła ołowiu. Podniosła się powoli, wsuwając dłonie we włosy.

Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Przypomniła sobie pamiętnik matki pełen opisów ich spotkań, rozmów i pierwszych pocałunków. Każde słowo świadczyło o tym, jak bardzo Lillian była w nim zakochana. A on wszystkiemu zaprzecza.

Zwyczajnie kłamie. Nie ma innego wytłumaczenia. Fizyczne podobieństwo zazwyczaj dowodzi pokrewieństwa. Tylko co z tego? Lever nie chce mieć z nią nic wspólnego i nigdy nie uzna jej za córkę.

To koniec. Koniec poszukiwań i koniec marzeń o tym, że kiedy pozna ojca, przestanie wreszcie czuć, że w jej życiu czegoś brakuje.

Nie było sensu dłużej się męczyć, próbując zaaklimatyzować się w miejscu, w którym wciąż czuła się obco. Myśli kłębiły jej się w głowie bez ładu i składu. Drażniła ją obezwładniająca cisza pustego domu. To nie był jej dom. Poza ubraniami i nielicznymi drobiazgami nic tu nie należało do niej. Nawet koty.

Jedyną osobą, która potrafiłaby zrozumieć, jak się teraz czuła, był Joe. Podniosła słuchawkę, żeby wybrać numer kliniki, ale niemal natychmiast odłożyła ją z powrotem. Nie chciała przeszkadzać mu w pracy. Zresztą, jak niby miałyby jej pomóc? Nie odwróci przecież tego, co się stało.

Zaczęła przechadzać się nerwowo po pokoju. Kiedy wyjeżdżała z Nowego Jorku, towarzyszyło jej poczucie kompletnej klęski. Jej życie osobiste legło w gruzach. Mimo to wyznaczyła sobie jakiś cel i zamierzała go osiągnąć. Tymczasem okazało się, że jej działania nie miały sensu. Nic już nie miało sensu. Tym razem poczucie porażki było jeszcze bardziej dojmujące.

Na Manhattanie byłaby przynajmniej u siebie. Uzmysłowiwszy sobie z całą mocą, że nie powinna była w ogóle stamtąd wyjeżdżać, sięgnęła znowu po telefon i zadzwoniła do dawnej współlokatorki z college'u. Cindy wyjeżdżała na święta do rodziców, więc zgodziła się udostępnić jej na jakiś czas swoje mieszkanie. Umówiły się, że zostawi jej zapasowy klucz u dozorczy budynku.

Rebeka zupełnie zapomniała o nadchodzącym Święcie Dziękczynienia. Nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Spakowała najważniejsze rzeczy i wrzuciła je do bagażnika. Po resztę dobytku zamierzała wrócić później, W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby wyrwać się z Rosewood i znaleźć się wreszcie w znanym i przyjaznym otoczeniu.

Przed wyjściem nagrała się na sekretarkę Shibbów z prośbą, by przez kilka dni karmili za nią koty. Klucze zostawiła im pod wycieraczką, a zapas karmy na blacie w kuchni.

Nadeszła pora, by powiadomić o wyjeździe Joego. Z ciężkim sercem wybrała jego numer domowy. Kiedy usłyszała z taśmy znajomy głos, o mało się nie rozplakała. Połykając łzy, tłumaczyła sobie, że w ten sposób zaoszczędzi mu tylko przykrej formalności zerwania z nią za jakiś czas. Zrelacjonowała mu pokrótce przebieg rozmowy z Jackiem, życzyła powodzenia przy budowie szpitala i pożegnała się.

Nie zwlekając dłużej, zamknęła dom na cztery spusty i ruszyła w drogę. Problem w tym, że kiedy już wróciła na Manhattan, wcale nie poczuła się jak u siebie. Jakby miejsca, które znała jak własną kieszeń, nagle stały się jej zupełnie obce.

Długi sen nie przyniósł jej ulgi. Rankiem miała ochotę nakryć się kołdrą na głowę i nie wstawać przez najbliższy tydzień. Zmusiła się jednak, żeby podnieść się z łóżka, wziąć prysznic i przygotować się do wyjścia. Zamierzała odwiedzić swoją redakcję i poprosić redaktor naczelną o możliwość powrotu na dawną posadę.

Nie zastawszy jej w biurze, Rebeka zostawiła gotowy artykuł i postanowiła wybrać się na spacer. Przechadzka po znajomych ulicach nie przyniosła jej jednak ulgi. Nawet świątecznie udekorowane wystawy sklepowe, które przedtem tak lubiła, nie robiły na niej wrażenia.

Ostatni raz była na Manhattanie razem z Joem. Wiele by dała, żeby go teraz przy sobie mieć. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, ale jego nieobecność sprawiała, że pogarszał się jej i tak ponury nastrój.

Około pierwszej wróciła do mieszkania koleżanki, przebrała się w różowe legginsy, koszulkę oraz grube skarpety i włączyła telewizor.

Zamierzała obejrzyć jeden z sześciu filmów, które przyniosła ze sobą z wypożyczalni DVD.

Pomyślała, że powinna zadzwonić do mamy i umówić się na jutrzejsze spotkanie z okazji Święta Dziękczynienia. To rodzinne święto, powinny spędzić je razem. Telefon w mieszkaniu Lillian nie odpowiadał, więc po kilku próbach dała za wygraną.

Lillian Peters obrzuciła go nieufnym spojrzeniem przez szparę w drzwiach zabezpieczonych aż trzema łańcuchami. Dopiero co wyszła spod prysznicą, pomyślał Joe, przyglądając się turbanowi na jej głowie i białemu szlafrokowi. Podejrzliwość walczyła o lepsze z zaciekawieniem na jej niemal pozbawionej zmarszczek twarzy. Wpuściła go do budynku dopiero, kiedy powiedział przez domofon, że jest znajomym Rebeki i że jej córka zniknęła niespodziewanie z Rosewood, czym bardzo zaniepokoiła przyjaciół. Nie wspomniał, rzecz jasna, że sam poważnie się o nią martwi, odkąd poprzedniego dnia odsłuchiwał jej nagranie na sekretarce. Była bliska łez. Głównie dlatego zaraz po zamknięciu kliniki wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do Nowego Jorku.

- Mówi pan, że Rebeka wyjechała z Rosewood?

- Wczoraj po południu albo wieczorem. Nie wiem dokładnie.

Zostawiła dwie wiadomości. Jedną dla sąsiadów z prośbą, żeby zajęli się kotami Turnerów, drugą dla mnie. Przekazała w niej, że wraca na Manhattan. Zatrzymała się może u pani?

Wzmianka o kotach przekonała chyba Lillian, że Joe rzeczywiście zna jej córkę. Zamknąwszy na moment drzwi, zagrzechotała łańcuchami, po czym wpuściła go do środka. Była piękną kobietą po czterdziestce, mniej więcej tego samego wzrostu i budowy co Rebeka. Różniły się właściwie tylko wiekiem i kolorem oczu.

- Mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko? - zapytała, robiąc mu przejście.

Wyciągnął rękę.

- Joe Hudson. Miło mi panią poznać, pani Peters.

- Proszę, mów mi Lillian. - Uścisnęła zdecydowanie jego dłoń. - Wybacz mi ten bałagan, ale kilka godzin temu wróciłam z podróży służbowej. Nocny lot. Nie zdążyłam się nawet rozpakować. Napijesz się czegoś? Może kawy? Niestety nie mam mleka. Nie byłam jeszcze na zakupach.

- Nie, dziękuję. - Zachowywała się zupełnie tak samo jak córka. Były do siebie podobne nie tylko z wyglądu, ale i ze sposobu bycia. - Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy u Rebeki wszystko w porządku.

Zerknąwszy ukradkiem na jego spodnie khaki, flanelową koszulę i skórzaną kurtkę, Lillian pomaszzerowała do aneksu kuchennego i włączyła ekspres.

- Rebeka potrafi o siebie zadbać. Jestem pewna, że nic jej nie jest. Tutaj w każdym razie jej nie ma. Jeśli rzeczywiście wróciła do miasta, to najprawdopodobniej zatrzymała się u Cindy. Próbowalesz do niej dzwonić?

Oczywiście, że próbował. To była pierwsza rzecz, jaką zrobił. Nie odpowiadała na żadne telefony. Ani jego, ani Molly. Nie wiedział tylko, czy robi to celowo. Może wyłączyła komórkę albo rozładowała się jej bateria.

Skontaktował się z żoną Adama Shibba, wiedząc, że były z Rebeką zaprzyjaźnione. Molly nic jednak nie wiedziała. Nie miała pojęcia ani o Russelu Leverze, ani o przyczynie nagłego wyjazdu koleżanki.

- Cały czas włącza się poczta głosowa. - Joe poczuł, że ogarnia go coraz większa desperacja. Musiał ją za wszelką cenę odszukać. Nie był

gotów na to, by pozwolić jej odejść. Skoro nie ma jej u matki, trzeba sprawdzić gdzie indziej. Z trudem stłumił chęć powrotu do drzwi. - Mogłabyś mi podać adres Cindy?

Lillian zignorowała jego prośbę. Tym razem przyjrzała mu się całkiem otwarcie, upijając łyk świeżo zaparzonej kawy. Nie sprawiała wrażenia szczególnie podenerwowanej. Jakby fakt, że córka do niej nie zadzwoniła, zupełnie jej nie niepokoił. Nie martwi się o własne dziecko? Zastanawiał się, zbity z tropu.

Jego niewypowiedziane pytanie na krótko miało pozostać bez odpowiedzi.

- Najpierw muszę się upewnić, że nie ucieka przed tobą - odezwała się, odstawiając kubek. - Dopiero wtedy porozmawiamy o adresie. Co cię łączy z moją córką? - zapytała bez ogródek.

Zawahał się, czując na sobie badawcze spojrzenie brązowych oczu. Nie owijała w bawełnę. Ulżyło mu jednak, kiedy się przekonał, że dobro Rebeki leży jej na sercu równie mocno jak jemu. Problem w tym, że nie bardzo wiedział, jak jej wytłumaczyć naturę ich wzajemnych relacji.

Potrzebował pomocy Lillian, pomyślał więc, że powie jej, iż są po prostu przyjaciółmi. Ale to nie byłaby prawda. Byli przecież czymś znacznie więcej. Z drugiej strony nie wypadało się przyznać, że są kochankami. W końcu rozmawia z matką dziewczyny.

- Zależy mi na niej - wybrnął w końcu. - Tak jak wielu innym osobom w Rosewood.

- Skoro tak bardzo ją lubicie, dlaczego wyjechała w takim pośpiechu?

- To dość... skomplikowana sprawa.

- Życie jest pełne komplikacji. - Uniosła sceptycznie idealnie wyprofilowaną brew. - Nie powiem ci, gdzie jest, dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Chodziliście ze sobą?

Myśli, że się pokłóciliśmy, dotarło do niego nagle. Zrozumiał, że niczego się nie dowie, jeżeli nie wyjaśni

Lillian, po co jej córką pojechała do Rosewood. Zawiedzie w ten sposób zaufanie Rebeki, ale jeśli chce ją odnaleźć, nie ma innego wyjścia. Miał tylko nadzieję, że wszystko dobrze się zakończy. Wiedział, jak bardzo obawiała się reakcji matki na wiadomość o poszukiwaniach ojca.

- Czy Rebeka powiedziała ci, dlaczego przynosi się akurat do Rosewood? - zaczął ostrożnie.

- Twierdziła, że chce spróbować pracy jako wolny strzelec. Mogła to robić także tutaj, ale myślałam, że może potrzebuje zmiany otoczenia. To był dla niej dość ciężki okres - dodała, zapewne mając na myśli zerwanie z Jasonem. - Nie mam pojęcia, dlaczego wybrała właśnie to miejsce.

Wzbraniał się przed tym, ale musiał powiedzieć jej prawdę. Niestety, nie było sposobu, żeby złagodzić cios, jaki zamierzał jej zadać.

- Pojechała tam, żeby znaleźć Russela Levera - wypalił w końcu.

Lillian zbladła jak płótno. Cała krew w jednej chwili odpłynęła z jej twarzy. Obawiając się, że upuści kubek, podbiegł do niej i wyjął go z jej ręki.

- Że co? - zapytała ledwie słyszalnym szeptem, jakby nie rozumiała, co do niej mówił.

Ująwszy ją za łokieć, podprowadził do kanapy. Opadła bezwładnie na poduszki. Joe podał jej z powrotem kawę.

- Znalazła twój stary pamiętnik - wyjaśnił, pilnując, by naczynie nie wypadło z drżącej dłoni kobiety. - Krótko mówiąc, namierzyła Levera w



Rosewood. Poznała jego pasierba, Jacka. Kiedy młody Lever zapytał ojczyrna o wasz związek... - Urwał gwałtownie, zrozumiawszy, jakie to może być dla niej bolesne. Miała się dowiedzieć, że mężczyzna, któremu urodziła dziecko, nie tylko wyparł się odpowiedzialności za ciążę, ale wręcz twierdził, że ledwie ją zna.

Odsunął się, przeczesując dłonią włosy.

- Rebeka nie podała mi szczegółów. W wiadomości zostawionej na sekretarce przekazała mi tylko, że Lever nie przyznaje się, iż jest jej ojcem. Dziś rano zadzwoniłem do Jacka. Streścił mi przebieg swoich rozmów z Russelem, a potem z Rebeką. Jego zdaniem przyjęła to dobrze, ale myślę, że się myli. Znam twoją córkę. Wiem, jak bardzo się stara pokazać wszystkim, że jest silna. Wiem też, iż bardzo jej zależało na spotkaniu z ojcem. Martwię się o nią. Moim zdaniem może być teraz w bardzo kiepskim stanie.

Zapadła kompletna cisza, przerywana jedynie kapaniem wody z kranu. Lillian wyglądała na oszołomioną i przygnębioną. Zdaje się, że wciąż nie mogła uwierzyć w poczynania córki. Odstawiła powoli kubek, wstała z kanapy i skrzyżowawszy ręce, położyła sobie dłonie na ramionach, jakby chciała sama siebie przytulić.

- Nie miałam pojęcia, że chce odnaleźć ojca - odezwała się wyraźnie zdenerwowana. - Myślałam, że dała sobie z tym spokój już dawno temu. - W kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki. - Więc Russel mieszka teraz w Rosewood?

- Tak, ale Rebecce nie udało się z nim spotkać.

- A reszta jego rodziny? Też się tam osiedliła?

- Nie mam pojęcia.

Podeksycytowana uniosła rękę, zapewne chcąc ją wsunąć we włosy. Napotkała jednak na przeszkodę w postaci turbanu z ręcznika. Zbliżywszy się do swojego gościa, przez chwilę studiowała w milczeniu jego twarz. Wyglądała, jakby zbierała siły do ciężkiej przeprawy.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytała niemal opanowanym głosem. Błyskawicznie wzięła się w garść. - Właściwie muszę cię prosić o kilka rzeczy.

- Oczywiście, postaram się pomóc, jeśli będę mógł.

- Będzie mi potrzebny numer telefonu do Jacka. I proszę cię, nie mów Rebecce o naszej rozmowie. Sama jej to wszystko wyjaśnię. Za jakiś czas. Muszę tylko uporządkować pewne sprawy. Jeszcze jedno. - Podeszła do biurka i zaczęła w nim szperać w poszukiwaniu notesu. - Daj mi też swój numer. Rebeka nie odbiera, a muszę wiedzieć, gdzie jest. Chcę z nią jak najszybciej porozmawiać.

Nie spodobał mu się pomysł zatajania czegokolwiek przed Rebeką. Ucieszyłaby się, wiedząc, że matka chce z nią wreszcie porozmawiać na temat ojca. Ale cóż, to były sprawy między nimi dwiema. Nie powinien się wtrącać.

Choć niechętnie, obiecał Lillian, że będzie milczał, i podał jej numery telefonów do siebie i młodego Levera. Wkrótce, uzbrojony w adres Cindy, ruszył zatłoczonymi ulicami we wskazane miejsce. Po niemal półgodzinie stania w korkach dotarł wreszcie do celu, stwierdzając ze zdumieniem, że na piechotę pokonałby ten dystans w pięć minut.

Kolejnych kilkanaście minut zajęło mu parkowanie. W końcu zostawił wóz trzy ulice dalej i wtopił się w niezliczony tłum przechodniów, ludzi robiących zakupy i turystów. Wszedł do budynku, używając kodu, który podała mu Lillian. Znała go, bo jeszcze do niedawna jej córka

mieszkała na tej samej klatce. W drodze na górę Joe rozmyślał o tym, jak przekonać Rebeke, żeby wróciła z nim do Rosewood. Nic mądrego nie przychodziło mu jednak do głowy.

Pukając do drzwi mieszkania 12C, nadal nie był pewien, co powie.

Nikt nie zareagował, choć zza ściany wyraźnie dobiegały odgłosy włączonego telewizora.

A jeśli mu nie otworzy? Pierwszy raz w życiu nie miał planu awaryjnego. W pracy, w sprawach finansowych czy podczas wspinaczki zawsze przygotowywał się na nieoczekiwane zwroty akcji. Na tym polegała odpowiedzialność, którą się szczyił. Zawsze wiedział, czego chce, i prostą drogą zmierzał do celu, nigdy nie pozwalając sobie na niedociągnięcia czy porażki.

Tak przynajmniej było, dopóki nie poznał Rebeki. Odkąd pojawiła się w jego życiu, grafiki, plany i harmonogramy straciły wszelką rację bytu. Nastął okres ustawicznych zmian i niespodzianek. Nie przepadał za nimi. Lubił ład i porządek. Pewnie trudno byłoby mu się przyzwyczaić do nowej sytuacji, gdyby w porę nie uświadomił sobie, że przy kimś takim jak ona lepiej porzucić marzenia o samodyscyplinie i przewidywaniu.

Rebeka nie tylko odbiegała znacznie od jego ideału kobiety, ale prawdę mówiąc, stanowiła jego kompletne przeciwieństwo. Nie umiała gotować, nie lubiła rozrywek na świeżym powietrzu, a jej wiedza na temat zwierząt była raczej znikoma. Bywała silna i twarda, a jednocześnie krucha i zupełnie bezbronna. Podobała mu się jej bezpośredniość i pogoda ducha. Uwielbiał też sposób, w jaki reagowała na jego dotyk. Nigdy dotąd nie pragnął tak żadnej kobiety, a co najważniejsze, nigdy na żadnej tak bardzo mu nie zależało.

Zapukał jeszcze raz.

Nic.

Zza drzwi na drugim końcu korytarza wyłoniła się siwa kobieta w kwiecistej podomce. Jej właścicielka miała na oko sto lat i niesłychanie groźną minę.

- Co pan tu robi, młody człowieku?

- Szukam koleżanki Cindy.

- Cindy nie ma w domu. - Staruszka przymknęła podejrzliwie powieki i omiotła go przenikliwym spojrzeniem zza drucianych okularów. W jednej z pomarszczonych dłoni dzierżyła żeliwną patelnię. - Kto pana wpuścił do budynku?

Dochodząc do wniosku, że babcia jest odrobinę przygłucha, Joe podniósł nieco głos. Nie twierdził już, że przyszedł do Cindy.

- Mama Rebeki podała mi kod.

- Rebeki? Kto to jest Rebeka?

- To koleżanka Cindy, której szukam.

- No przecież mówię panu, że Cindy nie ma w domu. Pojechała na święta do rodziców.

Już pomyślał, że babcia pewnie będzie chciała roztrzaskać na nim patelnię, kiedy nagle usłyszał szczęknięcie zamków w mieszkaniu 12C.

Drzwi się otworzyły i zobaczył pobladłą twarz Rebeki. Zauważył tylko, że nie ma butów na obcasach i jest bardzo przygnębiona, zanim rzuciła mu się na szyję i przyłgnęła do niego, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

- Hej. No, już dobrze. - Obejmując ją jedną ręką, drugą zamknął drzwi przed wścibskim okiem babci ochroniarki. - Co się dzieje?

- Usłyszałam twój głos - wymamrotała wprost w jego marynarkę, ściskając go jeszcze mocniej. - Miałam nie otwierać, ale wydawało mi się, że słyszę cię na korytarzu. Wyjrzałam przez wizjer i to naprawdę byłeś ty...

Pogłaskał ją delikatnie po włosach. Nozdrza wypełnił mu znajomy zapach jej szamponu.

- Już dobrze - powtórzył, zadowolony, że znów może trzymać ją w ramionach. Nie spodziewał się, że poczuje taką ulgę.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Wcale nie jest dobrze. - Spojrzała mu w oczy i niemal natychmiast odwróciła wzrok. Jakby się zawstydziała tego, jak go powitała. Wyswobodziła się z jego ramion, odeszła kilka kroków i objęła się rękoma w geście desperacji. - Jeszcze długo nie będzie dobrze... Jestem taka zagubiona. Wszystko mi się poplątało i już nie wiem, co robić. Myślałam, że lepiej będzie, jeśli wrócę do Nowego Jorku. Planowałam odzyskać pracę, wynająć mieszkanie albo znaleźć współlokatorkę. Chciałam poczuć się znowu jak w domu, ale to wszystko na nic. Nie cieszy mnie już chodzenie po sklepach, oglądanie wystaw, wypadki do kina czy na drinka z koleżankami. Nie mogę sobie darować, że zachowałam się jak ostatni tchórz, wyjeżdżając bez pożegnania. Nie powiedziałam ci nawet, jak bardzo będę tęsknić za tobą, Baileyem i Reksem. - Zawiesiła głos. - Brakuje mi nawet kotów. Wyobrażasz sobie? - Najwyraźniej nie była tym zachwycona. - Nie wiem już, co mam robić. Nie jest mi dobrze ani tutaj, ani w Rosewood. Czasami wydaje mi się, że nie ma dla mnie miejsca na świecie.

Podeszła do kanapy i wyłączywszy fonię w telewizorze, opadła bezwładnie na poduszki.

- Proszę cię, nie zwracaj na mnie uwagi - powiedziała, smętnie potrząsając głową. - Jestem trochę podłamana.

Nie zapytała go nawet, po co przyszedł. Gdy tylko przekroczył próg, zaczęła obarczać go swoimi problemami.

Każdy zdrowy na umyśle mężczyzna na jego miejscu dawno by już pewnie wziął nogi za pas. Joe od dłuższego czasu tkwił w jednym miejscu. Czyżby zamierzał uciec? Niepotrzebnie się obawiała. Zamiast wyjść, rozpiął marynarkę i Ukucnąwszy przed nią, wziął ją za rękę.

- Nie bierz tego do siebie. Lever nie odtrącił cię jako osoby. Musiałby cię najpierw poznać, a nie zadał sobie trudu, żeby to zrobić. Po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że może mieć córkę.

Rebeka zamrugła z niedowierzaniem. Znowu udało mu się trafić w sedno problemu. Ktoś inny pewnie nawiązałaby do nieszczęść, o których wspominała w swoim niedawnym wybuchu. Starałby się ją przekonać, że reaguje zbyt emocjonalnie, że nie powinna podejmować pochopnie decyzji o przeprowadzce ani tym bardziej po dwudziestu czterech godzinach pobytu w mieście wyciągać wniosku, że to nie miejsce dla niej.

Joe od razu przeszedł do rzeczy. Odgadnięcie rzeczywistej przyczyny jej ucieczki nie sprawiło mu najmniejszego problemu. Nie było na tym świecie innej osoby, która tak bezbłędnie potrafiłaby odgadywać jej uczucia i nastroje, a dotykem łagodziłaby najczarniejsze lęki.

- Nic na to nie poradzę, ale nie potrafię nie brać tego do siebie.

- Wiem, każdy poczułby się dotknięty, ale to jego strata, nie twoja.

Spojrzała na niego zamglonymi oczyma.

- Wróc ze mną do Rosewood - powiedział ściszym głosem. - Jutro Święto Dziękczynienia. Nie powinnaś siedzieć tu zupełnie sama.

Poczuła się, jakby trzymał w dłoniach jej serce, i niemal skinęła głową.

- Muszę skontaktować się z mamą. Nie chcę zostawiać jej samej.

- Nie martw się. Ma już plany na jutro.

Zmarszczyła brwi.

- Skąd wiesz?

- A jak ci się zdaje, jak cię znalazłem i wszedłem do budynku?

- Zadzwoiłeś do niej?

- Nie miałem numeru. Poszedłem do jej mieszkania.

- Zapamiętałeś adres?

- Chłopcy ze wsi już tak mają - uśmiechnął się, zadowolony, że na jej twarzy pojawiło się wreszcie coś innego niż smutek i przygnębienie. -

Zawsze potrafią wrócić tam, gdzie już kiedyś byli. No, chodź. - Podniósł się, pociągając ją za sobą. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić, jeszcze zanim wyjechała. On poczuł coś znacznie silniejszego niż tęsknota, kiedy uświadomił sobie, że jej nie ma. Zwyczajnie spanikował. Teraz chciał przede wszystkim się upewnić, że nic jej nie jest, i jak najszybciej zabrać ją do domu.

- Ubierz się, zbierz swoje rzeczy i jedźmy stąd. Zastanowisz się, co dalej robić, w Rosewood. No, chyba że nie chcesz podejmować dziś żadnych decyzji - dodał, widząc, że się waha. Miała wystarczająco wiele na głowie. Nie chciał wywierać na nią presji. - Ale pamiętaj, że masz tam przyjaciół, którzy niepokoją się, bo nie wiedzą, co się z tobą dzieje.

## Rozdział 10

Było już bardzo późno, kiedy Rebeka i Joe, każde własnym wozem, dotarli wreszcie do domu Turnerów. Wyruszyli w godzinach szczytu, gdy na drodze wyjazdowej panował niesamowity tłok, ponieważ ludzie masowo wyjeżdżali z miasta na długi świąteczny weekend. W dodatku tuż przed wjazdem na autostradę zdarzył się wypadek; wstrzymano ruch i zrobił się gigantyczny korek. Warunki atmosferyczne również nie sprzyjały szybkiej jeździe; niemal przez całą drogę padał deszcz lub śnieg z deszczem.

Rebeka przyjęła złą pogodę ze spokojem. Ostatnio przytrafiło jej się zbyt wiele przykrych rzeczy, by miała się przejmować drobiazgami. Jezdnia była niesamowicie śliska, w związku z czym trzeba się było skoncentrować wyłącznie na prowadzeniu. Odpowiadało jej to, bo nie musiała myśleć o niczym innym. Nadal nie wiedziała, co zrobić ze swoim życiem, lecz nie zamierzała się tym przejmować. Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Joe przyniósł z samochodu torby i postawiwszy je w kuchni, rozpałił w kominku.

Koty łąsiły się do nóg Rebeki, więc ukucnęła, żeby pogłaskać Kolumba i wziąć na ręce Magellana.

Podobno w Rosewood czekali na nią przyjaciele. Zdaje się, że Joe, mówiąc to, miał na myśli moje kocury, pomyślała z uśmiechem. Oprócz niego i Molly nikt jej tu właściwie dobrze nie znał. Ulżyło jej, że zwierzaki przetrwały samotnie noc i tylko trochę się za nią stęskniły. Kiedy już



odebrały swoją porcję pieszczot, natychmiast uciekły i zwinęły się w kłębek w ciepłe kominka.

Joe przyklęknął obok i zaczął leniwie gładzić ich futerka. Była mu wdzięczna i cieszyła się, że z nią jest. Nie powiedział jej, dlaczego pojechał za nią do miasta, a ona nie zapytała. Miała rozładowaną komórkę, więc po drodze nie mogli się komunikować. Wyjeżdżając w pośpiechu, zapomniała zabrać ze sobą ładowarkę.

Przypomniała sobie, że powinna zadzwonić do matki, więc wygrzebała z dna torebki aparat.

- Musisz jechać zaraz do siebie? - zwróciła się do gościa.

Ułożywszy się na grzbiecie, Magellan bezwstydnie wystawił brzuch do głaskania.

- Muszę wrócić do domu, żeby wyprowadzić psy, ale pomyślałem, że jeszcze trochę z tobą posiedzę. - Spojrzał na nią wyczekująco. - Chyba że chcesz, żebym już sobie poszedł...

- Nie! Nie idź jeszcze - próbowała nadać głosowi w miarę neutralne brzmienie.

Wróciła do Rosewood, bo perspektywa spędzenia kolejnej nocy w mieszkaniu koleżanki sam na sam ze swoimi bolączkami napawała ją panicznym lękiem. Teraz, kiedy znalazła się z powrotem w miejscu, z którego jeszcze niedawno rozpaczliwie pragnęła uciec, nie potrafiła znieść myśli, że miałyby znowu zostać sama.

Wolałaby jednak, żeby Joe pozostał nieświadomy jej obecnego stanu ducha. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki nagle zniknęła, tudzież oplakaną kondycję, w jakiej znalazł ją u Cindy, z pewnością uważał ją za osobę wyjątkowo niezrównoważoną emocjonalnie.

Utwierdziłby się w tym przekonaniu, gdyby ulegając nagłej chęci, padła mu w ramiona i błagała, żeby został. A trzeba przyznać, że pokusa była nie do odparcia.

Próbując zignorować zachciankę oraz zmęczenie, które powoli zaczynało ją ogarniać, zdjęła płaszcz.

- Muszę zadzwonić do mamy - wyjaśniła. - Pomyślałam, że jeśli już wychodzisz, odłożę to na później.

- Dzwon śmiało. Jeszcze trochę zostanę.

- Mówiłeś, że Lillian ma jakieś plany na jutro, ale nie wspomniałeś, jakie.

- Nie były jeszcze do końca sprecyzowane.

Nie zawsze spędzały Święto Dziękczynienia razem. Zawsze jednak mówiły sobie, gdzie są i co robią. Pomyślała, że matka pewnie umówiła się z koleżankami z pracy, i podeszła do telefonu w kuchni. Od razu zauważyła palącą się lampkę automatycznej sekretarki.

- Pewnie zostawiła mi wiadomość - mruknęła pod nosem.

- Ja ci się nagrałem - odezwał się Joe. - Molly też pewnie dzwoniła.

Rebeka zmarszczyła brwi i włączyła taśmę. Sąsiadka pewnie niewiele zrozumiała z jej chaotycznego nagrania w sprawie karmienia kotów.

Według informacji na wyświetlaczu pierwszy rozmówca połączył się we wtorek po południu, kilka minut po jej wyjeździe. „Rebeko, to ja, Angela. Chciałam ci tylko przypomnieć o kolacji w czwartek. Nie musisz nic przynosić, chyba że masz oliwki. - W tle pojawił się na chwilę dźwięczny śmiech. - Dzieciaki je uwielbiają, a będzie ich całe mnóstwo. Zjemy około czwartej, ale wszyscy zapowiedzieli się wcześniej. Jeśli dasz

radę, wpadnij koło drugiej. Aha, i weź ze sobą Joego. Słyszałam, że ostatnio często się widujecie".

Rebeka przymknęła oczy i dotknęła ręką skroni. Zaczynała boleć ją głowa. Jak mogła zapomnieć o zaproszeniu na świąteczną kolację u Angeli? Mieli przyjść wszyscy z sąsiedztwa.

Po sygnale odezwał się głos najbliższej sąsiadki i właścicielki Entree: „Rebeko, tu Marti Vincent. Ed widział cię na stacji, kiedy tankowałaś paliwo. Podobno wyglądałaś na bardzo przygnębioną. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała. Do północy będziemy w restauracji. Potem możesz mnie złapać w domu".

Kątem oka zauważyła, że Joe podniósł się z miejsca i zostawiwszy na sofie marynarę, podszedł do niej.

„Rebeko. - Tym razem usłyszeli Molly. - Odezwij się do mnie, kiedy tego odsłuchasz. Próbowałam dzwonić do ciebie na komórkę, ale nie odbierasz. Oczywiście, że zajmę się kotami. Chciałabym jednak wiedzieć, dokąd tak nagle wyjechałaś? Byłaś bardzo zdenerwowana. Martwię się o ciebie".

Kolejną wiadomość zostawił Joe.

„Rebeko, odbierz, jeśli tam jesteś. - W jego głosie słychać było wyraźne zaniepokojenie. - Rebeko? - Po chwili ciszy usłyszeli coś podejrzanie przypominającego zduszone przekleństwo. - Pewnie już wyjechałaś. Spróbuję złapać cię później".

Zaskoczona faktem, że troszczy się o nią tyle osób, Rebeka spojrzała na Joego. Nie odezwał się ani słowem. Przyglądał się niedowierzaniu, które malowało się na jej twarzy, podczas gdy automat odtworzył następne nagranie.

„Halo? Rebeka? Nie cierpię mówić do tych maszynek. Tu Sylvia Fulton, sąsiadka z naprzeciwka. Ten miły młody człowiek, z którym się spotykasz, pytał o ciebie dziś po południu. Zdaje się, że nikt nie wie, dokąd pojechałaś. Dzwonię, żeby sprawdzić, czy dotarłaś z powrotem do domu. Nie palą się u ciebie światła, więc pewnie cię nie ma. Zadzwoń, kiedy wrócisz, dobrze? Horace i ja niepokoimy się o ciebie”.

„Koniec wiadomości” - zakomunikował automat po sygnale następnym dwóch nieodebranych połączeń.

Przez chwilę Rebeka słyszała jedynie uderzające o szyby strugi deszczu i szum powietrza w otworach wentylacyjnych. Nadal nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

- Mówiłem ci, że masz tu przyjaciół - odezwał się Joe.

Owszem, wiedziała, że odkąd wprowadziła się na Danbury Way, stała się dla sąsiadów swoistą atrakcją. Nie sądziła jednak, że kogokolwiek naprawdę obchodzi jej los. Była tą obcą, dziewczyną z wielkiego miasta, która zdecydowanie nie pasowała do otoczenia i niespecjalnie dobrze się w nim czuła, a mimo to od kilku miesięcy wytrwale tkwiła w domu Turnerów. Myślała, że zapraszali ją na imprezy tylko dlatego, że byli z natury zbyt uprzejmi, żeby otwarcie wykluczyć ją ze swego grona.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może im na niej zależeć i że zmartwią się jej nagłym zniknięciem.

- Powinam zawiadomić Molly, że wróciłam.

- Już to zrobiłem. Zadzwoń do niej z samochodu. Obiecała poinformować innych, że jesteś cała i zdrowa i że wkrótce cię zobaczą. Bardzo się o ciebie martwili.

On sam też się martwił, lecz bynajmniej nie o to, że nie będzie w stanie jej odnaleźć. Od początku miał przeczucie, że jej matka będzie

wiedziała, u kogo Rebeka się zatrzymała. Bardziej obawiał się tego, że to właśnie przed nim ucieka. Wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że uznała go za takiego samego nieczułego drania jak inni mężczyźni, na których się zawiodła.

Wyleczył się z tej myśli, widząc, jakie zgotowała mu powitanie. Wtedy spontanicznie rzuciła mu się na szyję, ale teraz trzymała się wyraźnie na dystans. Wyglądała jak zwykle, kiedy próbowała udawać, że nad wszystkim panuje.

Może nawet udałoby jej się go oszukać, gdyby stres i zmęczenie nie zaczęły dawać o sobie znać. Był niemal pewien, że podobnie jak on poprzedniej nocy niewiele spała.

Nie potrafiąc dłużej utrzymać rąk przy sobie, odgarnął jej włosy z twarzy i objął ją dłonią za kark. Po rozmowie z matką na pewno poczuje się lepiej. Intuicja podpowiadała mu, że sprawa ojca Rebeki może być nieco bardziej skomplikowana, niż jej się wydaje. Wiele wskazywało na to, że Lillian ma jej do zakomunikowania coś przełomowego w kwestii Russela. W każdym razie Joe odniósł takie wrażenie. Miał tylko nadzieję, że cokolwiek to będzie, nie przysporzy jej dodatkowych cierpień.

- Prosiła, żebyś jutro do niej zadzwoniła - powiedział, mając na myśli Molly. - Angela zresztą też.

Łaknąc jego dotyku, Rebeka przysunęła się bliżej.

Zainteresowanie sąsiadów zdumiewało ją, a jednocześnie schlebiało. Było jednak coś, co nie dawało jej spokoju.

- Powiedziałeś Molly, co się stało? To znaczy o Russelu? I Jacku? - zapytała z obawą.

Wspomnienie ostatniej rozmowy z młodym Leverem nadal wprawiało ją w zażenowanie. Jack nie tylko poznał powód jej pobytu w

Rosewood, wiedział także, i to z pierwszej ręki, jak gwałtownie zareagowała na wiadomość o tym, że ojciec nie tylko nie chce jej uznać, ale co gorsza, posądza ją o chęć wyłudzenia pieniędzy.

Wprawdzie Jack okazał jej wiele współczucia, lecz niewykluczone, że sam widzi w niej harpię czyhającą na niebagatelny majątek ojczyma. Nie mogła nawet mieć mu tego za złe. W końcu wyglądało to tak, jakby najpierw zagięła parol na niego.

- Nie martw się. - Joe bezbłędnie odczytał jej myśli. - Nie wspomniałem o tym ani słowem. - Przyciągnął ją do siebie i objął opiekuńczym gestem. - Wy tłumaczyłem Molly, że miałaś kłopoty rodzinne. Doszedłem do wniosku, że jeśli będziesz chciała, sama jej o wszystkim opowiesz.

Oparła mu głowę na piersi. Potrzebowała jego wsparcia i nie miała siły dłużej się przed tym wzbraniać.

- Dzięki, Joe.

- Nie ma o czym mówić. Po prostu uznałem, że nie powinienem zdradzać takich szczegółów bez porozumienia z tobą.

- Nie tylko za to. Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- A konkretnie? - Poczowała we włosach jego palce.

Nie zdołała powstrzymać ciężkiego westchnienia, kiedy zamknął ją ciasno w ramionach. Zawsze starała się być twarda i niezależna. Nie chciała, by inni widzieli w niej słabą, zależną kobietkę, która klei się do facetów w poszukiwaniu wsparcia. Próbowwała radzić sobie ze wszystkim sama, choć czasem źle lokowała uczucia, a potem płaciła za to złamanym sercem i coraz mniejszą pewnością siebie. Zazwyczaj angażowała się zbyt mocno. Nie potrafiła w porę się wycofać, dlatego często cierpiała w samotności z powodu odrzucenia.

Tak było z Jasonem. Pozwoliła, by ją zranił. Za bardzo się przywiązała nie tylko do niego, ale także do myśli o małżeństwie. Była przekonana, że w końcu się z nią ożeni. Jakże się myliła.

Niestety, pomyliła się również co do ojca. Nie dopuściła do siebie myśli, że może jej nie zaakceptować. Tym większe ogarnęło ją rozgoryczenie i rozczarowanie, kiedy okazało się, że ktoś, za kim tęskniła całe życie, zwyczajnie nie chce jej znać. To był cios, który powalił Rebekeę na łopatki, ale nie byłaby sobą, gdyby się nie pozbierała. Kiedyś stanie w końcu na nogi, a tymczasem zrobi wyjątek i wesprze się na Joem. Później będzie się martwić o konsekwencje. Teraz liczyło się tylko to, że jest przy niej i chce jej pomóc. Chyba żaden mężczyzna nie zrobił dla niej jeszcze tak wiele jak on. Wiedząc, że ma kłopoty, pojechał za nią do miasta. Rozmawiał z jej matką i z sąsiadami. Nie była jednak pewna, czy zależy mu na niej tak bardzo jak jej na nim. Postanowiła zastanowić się nad tym później. Teraz zwyczajnie nie starczało jej na to energii.

- Za to, że przywiozłeś mnie z powrotem do Rosewood -  
odpowiedziała wreszcie na pytanie, próbując ukryć drżenie głosu.

Joe nie dał się zwieść. Kiedy uniósł jej brodę, natychmiast odwróciła wzrok. Nie dość szybko. Zdążył zauważyć w jej oczach łzy.

- Hej, nie płacz - powiedział miękko.

Łatwo powiedzieć. Wcale nie chciała się rozklejać. Będzie miała czerwony nos i jeszcze bardziej rozboli ją głowa.

- Wiesz, czego ci trzeba? - zapytał, głaszcząc ją po włosach.

- Dobrego psychiatry?

- Myślałem raczej o kilku godzinach snu - odparł ze śmiechem.

- Racja. Przydałaby mi się porządna drzemka.

- W takim razie powinienem już iść. Będiesz mogła się położyć.

Poczuł, że cała sztywnieje.

Pragnęła, żeby z nią został. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Sam też nie chciał jej zostawiać. Problem w tym, że gdyby nie pojechał do siebie, poszedłby z nią do łóżka, a przecież teraz bardziej niż seksu potrzebowała moralnego wsparcia i przytulania. Poza tym musiał wyprowadzić i nakarmić psy. On też padał z nóg, a wczesnym rankiem czekała go dwugodzinna jazda do domu rodziców.

- Zobaczymy się jutro u Angeli.

Uniosła głowę i spojrzała na niego zdezorientowana.

- Przecież zaprosiła także mnie. Już zapomniałaś? Rano jadę do Peterboro - dodał, żeby wiedziała, gdzie w razie czego go szukać. - W Święto Dziękczynienia spotykamy się wszyscy na uroczystym obiedzie. Zwykle jemy około pierwszej. - Przeszło mu przez myśl, że może warto by ją zabrać ze sobą. Uznał jednak, że ostatnio w jej życiu i tak dzieje się zbyt wiele. Nie chciał narażać jej na kolejny stres, którym niewątpliwie byłoby spotkanie z jego rodziną. Uwielbiał swoich bliskich, ale znał ich na tyle, by wiedzieć, że nie obyłyby się bez pytań na temat natury ich znajomości oraz jego zamiarów wobec Rebeki. Co do swoich intencji sam nie był ich jeszcze do końca pewien. Zaczynały się dopiero wykluwać, więc było stanowczo za wcześnie, by o nich mówić. Chcąc oszczędzić im obojgu kłopotliwej sytuacji, postanowił zostawić Rebeke w Rosewood z przyjaciółmi.

Ucałował jej skroń dokładnie w tym samym miejscu, które niedawno masowała.

- Zamierzałem jechać dzisiaj, ale miałem co innego do roboty.

No tak, pomyślała, musiał jechać po mnie. Świadomość tego, że całkowicie zmienił dla niej swoje plany, osłodziła jej nieco konieczność



chwilowego rozstania. Nie mogła od niego wymagać, żeby został. Reks i Bailey pewnie chodziły już w kółko wokół drzwi. W domu czekały na niego obowiązki.

Pochylił głowę i pocałował ją z biegiem wieloletniego kochanka; mocno, głęboko i długo. Poczowała, że brakuje jej tchu i uginają się pod nią kolana. Oparła dłonie o jego tors, wyczuwając pod palcami miarowe bicie serca.

Joe przerwał pocałunek, objął rękami jej twarz i spojrzał w oczy.

Jakie to szczęście, że jutro znów go zobaczę, pomyślała, odprowadzając gościa do drzwi.

- Tylko nie pozwól, żeby mama z kimś cię zaręczyła. Uśmiechnął się i cmoknął ją w czoło.

- Śpij dobrze. Do zobaczenia jutro u Schumacherów - pożegnał się.

Nad ranem deszcz zmienił się w lekki śnieg. Drzewa, dachy i chodniki pokryły się cienką warstwą białego puchu. Jeśli wierzyć pogodyńce, która przerwała swoją prognozą relację ze świątecznej parady, w głębi stanu opady były znacznie bardziej obfite.

Rebeka uwielbiała śnieg, choć w mieście utrzymywał się zwykle tylko kilka godzin, po czym zamieniał się w szaroburą breję. Dziś jednak modliła się, żeby wreszcie przestało padać. Jeśli zasypie drogi, Joe nie będzie mógł wrócić z Peterboro.

Nie powinna liczyć na to, że zawsze będzie obok niej. To wyjątkowo nierozsądne. Wyobrażanie sobie Bóg wie czego może okazać się dla niej oplakane w skutkach. Owszem, uratował ją przed samotnym weekendem i podłym nastrojem, ale to jeszcze nie znaczy, że będzie się tak zachowywał w przyszłości. Z drugiej strony, pomagał ludziom na co dzień, zarówno w

pracy, jak i w czasie wolnym. Robił to jakby odruchowo. Jakkolwiek by było, chciała go mieć przy sobie na imprezie u Angeli.

Wprawdzie Joe nie powiedział nikomu o Russelu, niemniej wcale nie mogła być pewna, że sąsiedzi nic nie wiedzą. Wystarczy, że Jack zwierzył się Zoey, ta z kolei wygadała się komuś innemu i... Boże, pewnie wszyscy już o tym dyskutują.

Im dłużej myślała o spotkaniu z młodym Leverem, tym bardziej nieswojo się czuła. Będąc prawnikiem, a więc osobą z natury sceptyczną i podejrzliwą, Jack mógł mieć o niej podobne zdanie co ojczym. Na jego miejscu sama pewnie posądziłaby siebie o materialistyczne pobudki. Tak to niestety wyglądało. Pojawiła się na Danbury Way praktycznie znikąd i natychmiast zaczęła wypytywać o Levera. Zaczęła się spotykać z Jackiem, a kiedy nie udało jej się utrzymać go przy sobie, poprosiła o zaaranżowanie spotkania z jego ojczymem, twierdząc, że jest jego córką. Bardzo podejrzane, zwłaszcza że i ojczym, i syn są nieprzyzwoicie zamożni.

Postanowiła nie myśleć dłużej o plotkach, jakie mogły powstać na jej temat. W przeciwnym wypadku w ciągu następnej godziny postradałaby zmysły. Westchnąwszy z rezygnacją, wzięła do ręki słuchawkę. Bez względu na to, co sobie o niej pomyśla, nie wypadało nie odpowiedzieć na telefony sąsiadów.

Zaczęła od Shibbów. Molly na pewno знаła najnowsze doniesienia poczty pantoflowej. Poza tym Rebeka chciała ją przeprosić za kłopot.

- To ja - odezwała się zaraz po tym, jak koleżanka odebrała połączenie. - Strasznie cię przepraszam, Molly. Naprawdę nie chciałam, żebyście się o mnie martwili. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że ktokolwiek przejmie się moim zniknięciem - przyznała, po czym pospiesznie zmieniła temat. - U mnie wszystko w porządku. Tak jakby. To

znaczy muszę tylko poukładać sobie pewne sprawy i będzie dobrze.

Dzięki, że zajęłaś się kotami. Jestem ci winna przysługę.

- Nie masz za co dziękować i nie jesteś mi nic winna. Joe mówił, że wyjechałaś z powodu kłopotów rodzinnych. Wiem coś na ten temat, gdybyś chciała się wygadać.

- Dzięki. Może później...

- W każdym razie miej mnie na uwadze, jeśli będziesz potrzebowała niezależnej opinii kobiety. Wiem, że męską opinię masz już zapewnioną. A propos, muszę powiedzieć, że masz szczęście. Ten twój Joe naprawdę za tobą szaleje.

- Tak powiedział?

- Nie musiał. To się słyszy w jego głosie. Zabierzesz go ze sobą do Angeli? Mówiła, że go zapraszała.

Uśmiech Rebeki nieco przybladł.

- Nie wiem. To będzie zależało od pogody. Pojechał na obiad do rodziców. Właśnie słyszałam, że spadło tam mnóstwo śniegu.

Molly z pewnością wyczuła jej rozczarowanie.

- Ciężko jest spędzać święta z dala od ludzi, na których nam zależy, prawda? - powiedziała ze współczuciem.

Jeszcze do niedawna Rebeka zareagowałaby tak jak zwykle. Zaprzeczyłaby, że żywi do Joego jakiegokolwiek cieplejsze uczucia, i starałaby się przekonać koleżankę, że są wyłącznie przyjaciółmi. Dziś jednak było zupełnie inaczej. Pożegnali się kilkanaście godzin temu, a już za nim tęskniła.

- Tak, masz rację - przyznała szczerze. - Nie jest łatwo. - Westchnęła, przypominając sobie, że nie zobaczy się także z matką.

- Wiesz co? - ożywiła się sąsiadka. - Nie martw się. Wiem, że to nie to samo, ale masz mnie i Adama. Przed chwilą dzwoniła Carly McMansion, żeby zapytać, jakie upiekłam ciasto. Pytała, czy już z tobą rozmawiałam. Wszyscy nie możemy się doczekać, kiedy cię znowu zobaczymy.

Rebeka natychmiast zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie krążyły o niej żadne niepochlebne plotki. Po drugie, powinna jak najszybciej udać się do sklepu. Nie wypadało pójść na przyjęcie z pustymi rękoma.

- Co upiekłaś?

- Ciasto z dyni. Właśnie skończyłam. Carly zrobiła szarlotkę i placek z bakaliami.

- Wiesz, co przygotowali inni?

- Myślę, że Vincentowie przyniosą swoją firmową tartę z pieczarkami. Wiesz, tę którą podają w Entree. Sylvia wspominała coś o sosie z żurawin, pomarańczy i rodzynek, a Zoey ma upiec rogaliki drożdżowe. Nie jestem pewna, co wezmą Abernathowie. Pewnie szampana. Angela i Megan zajmą się indykiem i całą resztą.

Potrawy przygotowane przez sąsiadów z pewnością będą znakomite i starannie przyrządzone, pomyślała Rebeka. Stało się dla niej jasne, że skoro Angela poprosiła ją o przyniesienie oliwek, jej antytalent kulinarny został oficjalnie przyjęty do wiadomości i zaakceptowany.

- O, kurczę! - wykrzyknęła nagle Molly.

- Co?

- Właśnie się zorientowałam, że zapomniałam o śmietanie do ubicia.

- Żaden problem. Wybieram się zaraz do supermarketu. Przywiozę ci.

- Naprawdę? Dzięki.

Odłożywszy słuchawkę, zaczęła rozmyślać o domowych wypiekach. Doszła do wniosku, że samodzielne upieczenie ciasta nie może być chyba aż tak trudne, jak jej się wydaje. Skoro tyle kobiet to potrafi...

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy.

- Cześć, Joe - odezwała się uradowana. - Być może uratowałeś ludzkość, a w każdym razie tę jej część, która zamieszkuje przy Danbury Way. Zastanawiałam się właśnie, czy nie upiec placka.

- Niemożliwe! - roześmiał się swobodnie. - Wygląda na to, że powoli wracasz do siebie - dodał zadowolony.

- Słuchaj, chciałem się tylko upewnić, czy wybierasz się do Angeli.

W jednej chwili zrzędała jej mina. Co się z nią dzieje? Zazwyczaj nie pozwalała sobie na tak częste przejawy rozczarowania. Miała przeczucie, że za moment usłyszy to, czego tak się obawiała. Joe powie jej, że niestety spadło zbyt dużo śniegu i że nie da rady dziś wrócić. Pewnie dlatego sprawdza, czy nie będzie w święta sama.

- Rebeko?

- Tak - mruknęła. - Wybieram się. - Zawsze będzie mogła wyjść, jeśli uzna, że ludzie zaczynają mówić o niej dziwne rzeczy.

- Dobrze. O której godzinie?

- Myślę, że około drugiej. - Podeszła do okna w kuchni. Nadal prószył śnieg. - Co słyhać u rodziców? - zapytała. - Wszystko w porządku? - O dziwo, nie słyszała w tle żadnych hałasów. Uznała, że pewnie znalazł jakieś ustronne miejsce do rozmowy. - Wziąłeś ze sobą Rekxa i Baileya?

- Uhm. Obydwa koło mnie stoją.

- Pogłaszcz je ode mnie po pyszczkach.

- Załatwione.

- Pewnie niedługo siadacie do obiadu?

- Prawdę mówiąc, już zaczęliśmy. Wyjeżdżam za jakieś dwie godziny. Muszę tylko dokładnie wiedzieć, gdzie będziesz. Ktoś chce z tobą porozmawiać.

- Słucham? - zdziwiła się. - Kto?

- Na razie nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Później ci wszystko wytłumaczę, obiecuję. Muszę zadzwonić jeszcze w jedno miejsce. Zobaczymy się po południu. Gdybyś zmieniła plany, zadzwoń do mnie. Na razie.

Rozłączył się. Rebeka stała nieruchomo, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w słuchawkę. Poczowała ogromną ulgę na wieść o tym, że Joe jednak wraca. Jednocześnie zastanawiała się nad tym, co od niego usłyszała. Ktoś chciał z nią porozmawiać? Kto? O czym? I dlaczego akurat dzisiaj? Nie znalazła żadnej sensownej odpowiedzi. Kiedy kilka godzin później zmierzała ośnieżonym chodnikiem w stronę domu Angeli, nadal nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Jakkolwiek wstyd jej było przyznać się do tego, Rebeka tak bardzo przejęła się sprawą ojca, że naprawdę zapomniała o zaproszeniu do Angeli. Na szczęście już tydzień wcześniej pomyślała o upominku dla gospodyni. Dotarła do domu Schumacherów z ozdobnie zapakowaną świecą o zapachu cynamonu w jednej i z kryształową misą w drugiej ręce. Pożyczywszy naczynie od Turnerów, wsypała do niego cztery puszki odsączonych czarnych oliwek, które udekorowała listkami natki i miniaturowymi pomarańczkami. Może i nie była dobrą kucharką, ale przynajmniej знаła się na ozdobach i dodatkach.

Spojrzała na swoje brązowe botki i strząsnęła śnieg z prawie siedmiocentymetrowych obcasów. Niepokój i nastrój wyczekiwania towarzyszyły jej stale, odkąd odebrała telefon od Joego.

Drzwi otworzyły się na oścież, ledwie zdążyła nacisnąć łokciem dzwonek. Powitał ją gwar rozmów i śmiech dzieci. Siostra Angeli, jasnowłosa Megan, uśmiechnęła się zachęcająco i zaprosiła ją do środka.

- Przyszła Rebeka! - krzyknęła do reszty zgromadzonych. - Ależ to świetnie wygląda - dodała, spoglądając na oliwki. Kolory idealnie pasują do stołu.

- Cieszę się, że udało ci się przyjść. - W przedpokoju pojawiła się Angela. Jak zwykle wyglądała idealnie. - Dopóki nie zadzwoniłaś dziś rano, nie byłam pewna, czy będziesz w mieście. - Otarłszy ręce o fartuch, uściskała ją na powitanie. - Wchodź śmiało. Ci, którzy nie oglądają meczu, są w kuchni. - Z góry dobiegał raz po raz niekontrolowany chichot i pisk. - Dzieciaki, jak widzisz, są wszędzie. A gdzie Joe? Nie wzięłaś go ze sobą?

- Przyjedzie później. Był na obiedzie u rodziców.

Wdychając aromatyczny zapach indyka z rusztu, ruszyła za gospodynią do kuchni. Po drodze dopadła je Sylvia Fulton.

- No, jesteś nareszcie. - Otworzyła ramiona i przyjrzała się młodej sąsiadce spod zmrużonych powiek, zupełnie jakby dokonywała gruntownej inspekcji swoich rabatek. - Przez telefon wydawało mi się, że nic ci nie jest, ale nigdy nie wiadomo. Lepiej przekonać się na własne oczy.

Rebeka schyliła się i objęła starszą panią z uśmiechem. Sylvia pachniała lawendą; była pulchna, choć niewielkiego wzrostu, sięgała jej zaledwie do podbródka. Za to pan Fulton był wysoki i chudy jak tyczka.

- Dziękuję za telefon wtedy wieczorem i przepraszam. Nie chciałam, żebyście się o mnie martwili.

- Wiesz, pomyśleliśmy z mężem, że musiało się stać coś okropnego. Wyjechałaś w takim pośpiechu. - Położyła jej rękę na ramieniu i zniżyła głos. - Mam nadzieję, że nikt nie umarł?

- Nie, skąd - zapewniła Rebeka. - Nic z tych rzeczy.

- Całe szczęście. Nie cierpię, gdy takie nieszczęścia przytrafiają się w czasie świąt.

- Ja też nie - włączyła się do rozmowy Marti Vincent. Podeszła do reszty kobiet i uściskała Reбекę. - Ale muszę przyznać, że my też pomyśleliśmy o najgorszym. Po tym, jak Ed zobaczył cię w sklepie, uznał, że to musi być coś poważnego. Powiedział, że płakałaś. Słyszeliśmy, że chodziło o jakieś problemy rodzinne. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Moja siostra rozstała się kiedyś z mężem w Święto Dziękczynienia. To było okropne. - Cofnąwszy się o krok, przyjrzała się z aprobatą strojowi Rebeki.

- Wyglądasz świetnie - stwierdziła, dając do zrozumienia, że nie chce drażnić osobistych tematów. Przesunęła wzrokiem po kakaowobrazowym wełnianym półgolfie, sięgającej do pół łydki kraciastej spódnicy i wysokich butach. Całości dopełniał szeroki skórzany pasek i złote kolczyki. - Ralph?

- Zgadza się. Masz świetne oko, Marti.

- Mamo, możemy trochę zjeść? - Siedmioletnia córka Angeli wypatrzyła na stole misę z oliwkami. Jak na komendę pojawiły się za nią inne dzieciaki.

- Przed chwilą jadłyście marchewki. Będziecie potem marudzić przy obiedzie.

Z salonu rozległy się pokrzykiwania i gwizdy kibiców, które skutecznie uniemożliwiły dalszą rozmowę. Molly przegoniła dzieci z



kuchni i podeszła do lodówki. Wyjęła z niej cztery puszki i podała je mężowi, który przyszedł po nowy zapas napojów. Adam uśmiechnął się do obu kobiet i zniknął za drzwiami.

- Mogłabyś zanieść to naszym fanom piłki nożnej? - Molly zwróciła się do koleżanki, wręczywszy jej tacę z przekąskami.

Wchodząc do pokoju, Rebeka stwierdziła, że są już właściwie wszyscy zaproszeni goście. Zaabsorbowani rozwojem wypadków na boisku, zauważyli jednak jej nadejście i oderwali się na moment od telewizora, żeby się przywitać.

Kiedy wróciła do kuchni i stanęła wśród znajomych kobiet, uświadomiła sobie z całą mocą, że sąsiedzi naprawdę interesują się jej losem. Nawet nie spostrzegła, jak to się stało, ale została włączona do wspólnoty. Nareszcie czuła się częścią większej społeczności i było jej z tym bardzo dobrze. Być może dlatego zdecydowała się podejść i nawiązać rozmowę z jedyną osobą, która trzymała się od niej z daleka.

Zoey stała przy kuchence, mieszając w garnku. Zauważyła ją od razu, ale nie odezwała się ani słowem.

Uśmiechnąwszy się zdawkowo, zabrała dzieci i wyszła z nimi do jadalni.

- Cześć - zagadnęła Rebeka, znajdując ją przy niskim stoliku nakrytym specjalnie dla maluchów.

Niania dzieci Jacka uniosła na moment oczy znad książeczki do kolorowania i spojrzała na nią przelotnie.

- Cześć - odpowiedziała zwięźle.

Miała kasztanoworude włosy, była o kilka lat młodsza i nieco bardziej zaokrąglona niż Rebeka. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie typowej kury domowej. Z pewnością jednak nie można jej było odmówić

inteligencji i posiadania własnego zdania. Fakt, że nie przepadała za niedoszlą dziewczyną swojego ukochanego, nikogo specjalnie nie dziwił. Każda kobieta na jej miejscu okazywałaby w tej sytuacji nieufność. Pewnie nadal traktowała Rebeke jak rywalkę.

- Nie mogę nigdzie znaleźć Jacka. Mówił ci, że byłem u niego w biurze?

- Tak, mówił.

Chyba nie ma sensu liczyć na zachętę, pomyślała Rebeka i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- A mówił ci, po co przyszedłem?

- Tak. Wiem też o Russelu - odezwała się wreszcie Zoey, używając konspiracyjnego tonu. - Prosił, żebym na razie z nikim o tym nie rozmawiała.

Na razie? Wydawało się, że nowa dziewczyna Jacka nie jest w stanie utrzymać z nią kontaktu wzrokowego. Wolą nie domyślać się, co to może oznaczać, ale była jej wdzięczna za dyskrecję.

- Nie ma go z mojego powodu? Może czułby się w moim towarzystwie niezręcznie?

Zoey uśmiechnęła się do malucha, który wdrapał jej się na kolana, i zmierzwiła mu włosy.

- Pojechał odebrać kogoś z dworca. Powinien wrócić lada chwila.

Rebeka nie była usatysfakcjonowana mało wyczerpującymi odpowiedziami niani, ale postanowiła nie drażnić tematu. Zapewne i tak niewiele by się dowiedziała.

Emily podniosła głowę znad malowanki i spojrzała z nadzieją na opiekunkę.

- Mogę wziąć sobie teraz trochę oliwek?

- Ja też! Ja też! - zawtórowali jej Olivia i mały Jack.

Zoey błysnęła zębami w szerokim uśmiechu.

- Dobrze, ale nie za dużo. To Rebeka je przyniosła. Myślę, że powinna nam pomóc.

- Pomóc? Jak to?

- No, przy oliwkach. Wiesz chyba, jak dzieciaki je jedzą?

Kompletnie zdezorientowana, potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Niania spojrzała na nią z mieszaniną niedowierzania i współczucia, po czym podniosła się, cały czas trzymając chłopca na rękach.

- No, dziewczynki, bierzcie Rebeke i chodźcie. Emily i Olivia ujęły ją za ręce.

Zastanawiając się, od kiedy jedzenie oliwek wymaga asysty, Rebeka posłusznie dała się wyprowadzić z jadalni. Zaskoczyło ją zachowanie Zoey. Jeszcze do niedawna odnosiła się do niej z wyraźną rezerwą, a teraz włączyła ją do wspólnej zabawy.

Dwie minuty później dziewczynki biegały po domu z oliwkami nadzianymi na wszystkie dziesięć palców

Rebeka siedziała na podłodze z dwuletnim Jackiem i co chwila wsuwała mu na palec kolejną oliwkę. Był za mały, żeby wkładać sobie do budzi więcej niż jedną naraz. W pewnym momencie uniosła głowę i napotkała wzrok Joego.

Wyglądało na to, że przygląda jej się od dłuższego czasu.

- Do twarzy ci z nim - stwierdził z uśmiechem.

## Rozdział 11

Joe oderwał wzrok od małego Jacka i przeniósł go z powrotem na Rebeke. Miał dziwny wyraz twarzy. Jego spojrzenie zdradzało pełną akceptację i nieklamane uczucie. Ta kombinacja wydała jej się dość zaskakująca. Jak dotąd nie patrzył na nią w ten sposób żaden inny mężczyzna.

Próbując uspokoić rozszalałe tętno, wcisnęła chłopcu na palec ostatnią oliwkę i pogłaskawszy go po włosach, podniosła się.

Za plecami brzęczały im garnki i powarkował mikser. Z salonu dobiegały wrzaski rozentuzjasmowanych kibiców przeplatane wywodami komentatora meczu. W takim hałasie trudno było cokolwiek usłyszeć. Pewnie dlatego Rebeka nie zorientowała się, kiedy pojawił się Joe.

- Sądziłam, że będziesz później - odezwała się, choć tak naprawdę miała ochotę mu powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że go widzi.

Mimo serdecznego powitania, jakie zgotowali jej sąsiedzi, nie potrafiła się rozluźnić. Może nie czuła się jeszcze wśród nich całkiem swobodnie.

- Na szczęście drogowcy nie próżnowali. Po drogach cały czas jeżdżą pługami. - Podszedł bliżej i położył jej rękę na talii, jakby chciał przyciągnąć ją do siebie.

Wstrzymała oddech. Już myślała, że pocałuje ją na oczach wszystkich, gdy nagle przerwała im Molly.

- Joe! Jednak udało ci się przebić przez zaspę! Angela odwróciła się ku nim znad zlewu.

- Cześć, Joe. Miło, że wpadłeś. Wszystko już prawie gotowe.

Siadamy do stołu, jak tylko zjawi się Jack.

Adam zajął do kuchni, wystawiając głowę z salonu.

- Hej, Joe, zapowiada się interesująca końcówka. Nie chcesz zobaczyć?

- Już idę. - Odsunął się z zamiarem odejścia, ale Rebeka przytrzymała go za nadgarstek.

- Czekaj. - Stojąc z twarzą tuż przy jego twarzy i wdychając jego zapach, ściszyła głos do szeptu. - Mówiłeś przez telefon, że ktoś chce ze mną porozmawiać. - Zajrzała mu badawczo w oczy. - I co? Kto to jest?

- Nie teraz - mruknął, zmierzając w stronę drzwi.

- Jak to? - Podążyła za nim. - Dlaczego nie teraz?

- Bo chcę zobaczyć rozstrzygające minuty meczu. - Albo jej się wydawało, albo unikał jej wzroku.

- Przecież wcale go nie oglądasz. Dopiero co przyszedłeś.

Posłał jej najbardziej zniewalający ze swoich uśmiechów i zniknął wraz z Adamem w salonie.

Rebeka otworzyła usta ze zdumienia. Transmisja sportowa okazała się ważniejsza od rozmowy z nią. Nie zdążyła go o nic zapytać. Uciekł, zanim udzielił jej wyjaśnień. Nadal nie wiedziała, kto chce się z nią spotkać ani czy ta osoba jest w mieście.

- Nie przejmuj się, to całkiem normalne - stwierdziła Angela z głową w lodówce.

- Święta racja - dorzuciła Marti, wyjmując z piekarnika brytfankę. - Ze sportem jest tak samo jak ze scenami pościgów. Niektórym mężczyznom zupełnie nie przeszkadza fakt, że nie mają pojęcia, o co chodzi w filmie. Jeśli wejdą i zobaczą na ekranie kilka ścigających się ze

sobą samochodów, natychmiast zamieniają się w słup soli i nie ma siły, żeby oderwać ich od telewizora.

- Ale przecież to bez sensu - odparła Rebeka. - Po co oglądać coś od środka albo, co gorsza, od końca?

- A kto mówi, że to ma mieć sens? - Angela zniżyła głos niemal do szeptu. - Swoją drogą wcale się nie dziwię, że zmieniłaś zdanie.

- Zmieniłam zdanie? W jakiej sprawie?

- Jak to? W sprawie facetów. Dobrze, że jednak z nich nie zrezygnowałaś. - Skinęła w stronę salonu. - Przynajmniej z tego jednego. - Zapewne pamiętała jeszcze ich spotkanie w parku. Uśmiechnęła się z aprobatą i podała Rebecce pęczek natki. - Możesz się na coś przydać. Udekorujesz sos żurawinowy i ziemniaki, co ty na to?

- Nie ma sprawy. - Lepsze to niż roztrząsanie kwestii sercowych. Angela miała rację. Pozwoliła, by Joe niepostrzeżenie wkradł się w jej łaski, mimo że obiecywała sobie raz na zawsze skończyć z facetami. Uśmiechnęła się bezwiednie, słysząc jego głos pośród głosów innych mężczyzn oglądających mecz. Cieszyła się, że został tak ciepło przyjęty.

Dom pękał w szwach, ale radosny chaos nikomu nie przeszkadzał. W powietrzu unosiły się cudowne zapachy i odgłosy rozmów. Dzieci przybiegały raz po raz do kuchni, dopytując się, kiedy wreszcie będzie obiad.

Myjąc natkę, Rebeka nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za spódnicę.

Spojrzała z góry na małego Jacka, który wyciągał ku niej paluszek.

- Zoey, mogę mu dać jeszcze jedną oliwkę? - zawołała przez ramię, zakręciwszy wodę.

- Dobrze, ale tylko jedną.

Po chwili zadowolony chłopiec obdarował ją uśmiechem i pobiegł pochwalić się zdobyczą swojej niani.

Tak musi wyglądać życie w prawdziwej, pełnej rodzinie, pomyślała z uśmiechem. Jeszcze kilka dni temu pewnie poczułaby smutek i żal, ale nie dziś. Dziś bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że właśnie tu jest jej miejsce, wśród życzliwych ludzi... wśród przyjaciół. Gdyby nie Joe, siedziałaby teraz sama, użalając się nad swoim losem. Powinna jeszcze raz podziękować mu za to, że przywiózł ją z powrotem do Rosewood.

- Przyjechał Jack!

Zoey porwała najmłodszego wychowanka na ręce i wybiegła do przedpokoju powitać jego tatę. Rebeka znów doznała uczucia lekkiego niepokoju. Jemu też powinna podziękować za to, że rozmawiał w jej sprawie z ojczymem. Nie chciała jednak psuć sobie nastroju rozmową o Russelu Leverze. Był ostatnią osobą, o której miała ochotę teraz myśleć.

Wraz z przyjazdem ostatniego gościa pośpiech w kuchni sięgnął zenitu.

Zebrało się ponad dwadzieścia osób, dostawiono więc jeszcze jeden stół, na którym wkrótce pojawiły się zimne przekąski. Przyciszono wprawdzie telewizor, ale kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, podniósł się nieopisany gwar.

Angela jak zwykle przeszła samą siebie. Indyk i reszta gorących dań wyglądały jak z okładki pisma kulinarnego. Rebeka nie mogła się nadziwić jej wszechstronnym uzdolnieniom. Zajęła miejsce obok Joego. Jack i Zoey siedzieli naprzeciwko nich w drugim końcu stołu. Zajęta dekorowaniem potraw, nie miała nawet czasu przywitać się z młodszym Leverem. Teraz, uśmiechnąwszy się do niej przelotnie, skinął głową Joemu i wrócił do rozmowy z innymi znajomymi.

Angela podniosła się z miejsca, by wznieść toast kieliszkiem szampana. Podziękowała zgromadzonym za to, że są dobrymi sąsiadami, i za pomoc okazaną podczas przygotowań do przyjęcia. Życząc wszystkim zdrowia, szczęścia oraz pomyślności, zaprosiła swoich gości do rozpoczęcia biesiady.

Rozległy się kolejne życzenia i toasty.

- Korzystając z uroczystej okazji - zaczął Greg, nie spuszczać oczu z blondynki u jego boku - chciałbym ogłosić, że Megan i ja się pobieramy.

Na chwilę zapadła cisza, po czym na młodych spadł grad gratulacji i pytań.

- Ustaliliście już datę?

- Gdzie urządzicie wesele?

- Ślub będzie w sylwestra - odparła Megan. - Nie wybraliśmy jeszcze miejsca.

- Sylwester to doskonała data. Rozpoczniecie nowy rok razem.

- Pokaż nam pierścionek - domagała się Sylvia.

- Jeszcze nie kupiliśmy - stropiła się narzeczona.

- Nie mieliśmy czasu - pospieszył jej z pomocą Greg. - Może wybierzemy się na zakupy w weekend.

- W takim razie wypijmy za pierścionek - zaproponował Adam.

Rebeka przyłączyła się do ogólnych gratulacji, współczując jednocześnie gospodyni. Angela uśmiechała się razem ze wszystkimi, ale w jej uśmiechu wyczuwało się cień rezygnacji. Jakby sądziła, że jej samej nie spotka już w życiu nic dobrego. Niewątpliwie cieszyła się szczęściem siostry. Niemniej musiało być jej przykro, że w tak liczonym gronie ona jedna była samotna. Nie miała przy sobie tej jednej ukochanej osoby.



To uczucie nie było obce Rebecce. Doświadczyła go wielokrotnie, przebywając wśród koleżanek z Nowego Jorku.

Spojrzała na Joego, który przyglądał się jej w milczeniu. Dziwne, ale z nim u boku nie było już mowy o poczuciu osamotnienia. Przeciwnie, gdy tylko się pojawiał, zaczynała być w pełni sobą. Dawał jej poczucie spełnienia, coś, czego jak dotąd nie potrafił jej dać żaden inny mężczyzna.

Znieruchomiała gwałtownie, uświadamiając sobie, co to wszystko oznacza. O mało nie upuściła miski, którą ktoś usiłował podać jej ponad stołem.

Joe musiał dostrzec jakąś zmianę w wyrazie jej twarzy, bo zmarszczył czoło i pochylił się ku niej.

- Co się stało? Źle się czujesz?

Unikając jego wzroku, nałożyła sobie na talerz sałatkę i podała mu salaterkę.

- Nie, wszystko w porządku.

Gdzieś między ziemniakami a indykiem uzmysłowiła sobie, że jest zakochana. Teraz miała już pewność, że to, co czuje do Joego, jest czymś znacznie więcej niż tylko przyjaźnią i zauroczeniem. Uśmiechaj się i podawaj dalej półmiski, powtarzała sobie gorączkowo. On nie musi o tym wiedzieć. Nie powinien się dowiedzieć. Za nic w świecie nie chciałyby go odstraszyć ani przeżyć kolejnego rozczarowania. Dopiero teraz dotarło do niej, że uciekając w pośpiechu na Manhattan, uciekała także przed nim, a raczej przed własnymi uczuciami. Bała się, że znowu się sparzy.

W tej chwili miała zupełnie inny problem. Joe jak nikt inny potrafił czytać w niej jak w otwartej książce. Obawiając się jego przenikliwego spojrzenia, spędziła większość czasu przy stole na rozmowie z Horace'em. Opowieść starszego pana o odśnieźarce, którą sobie niedawno sprawił, nie

była szczególnie zajmująca, zwłaszcza że niewiele z niej zrozumiała, ale postanowiła nie dać tego po sobie poznać. Po obiedzie zaś nalegała, żeby obaj panowie przyłączyli się do innych mężczyzn i obejrzeliby następny mecz.

Emocjonalna huśtawka przez kilka poprzednich dni zbyt mocno dała jej się we znaki. Wolała oszczędzić sobie na jakiś czas dalszych silnych przeżyć i komplikacji. Chciała po prostu miło spędzić resztę dnia, oddając się beztroskim pogawędkom z koleżankami. Wszystko zmierzało właśnie w tym kierunku, lecz kiedy zaczynała się już odprężać, nagle zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Rebeko? - usłyszała z przedpokoju głos Angeli. - Ktoś do ciebie.

Jeśli matka miała zamiar ją zaskoczyć, to z pewnością jej się udało. Lillian rzadko pojawiała się gdziekolwiek niezapowiedziana. Tym bardziej nie składała niespodziewanych wizyt swojej jedynej córce.

Wyglądała jak zwykle wspaniale. Sięgające podbródka włosy układały jej się efektownie wokół policzków. Od jakiegoś czasu farbowała je na rudobrazowo, by ukryć siwiznę. Miała na sobie elegancki płaszcz w kolorze karmelu, czarny sweter i spodnie. Podkreślona paskiem talia wydawała się nieprawdopodobnie szczupła. Rebecce wystarczyło jedno spojrzenie i niepewny uśmiech matki, by odgadnąć, że nie przyjechała do niej wyłącznie z powodu święta.

- Naprawdę, to żaden problem - przekonywała Angela. - Wprawdzie już zjedliśmy, ale zapraszam panią na deser.

- Nie chciałabym przeszkadzać - odparła Lillian. - Wiem, że wybrałam niezbyt odpowiedni moment, ale muszę porozmawiać z córką. To zajmie tylko kilka minut. Rebeko, witaj. - Podeszła do niej i objęła ją

przelotnie. - Odciągnę cię na chwilę od przyjaciół, pozwolisz? Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Wyjdiesz ze mną?

- Ale dokąd?

- Niedaleko. Na drugą stronę ulicy, do domu Jacka.

Angela sprawiała wrażenie równie zaskoczonej i zaciekawionej jak Rebeka. Nie wypadła jednak z roli idealnej gospodyni.

- Proszę do nas dołączyć, kiedy już skończycie. Będzie nam bardzo miło panią gościć. Beko, przekonaj mamę, żeby przyszła.

Dziewczyna skinęła głową odchodzącej do gości sąsiadce i przeniosła wzrok na matkę.

- Co się dzieje? - zapytała podenerwowana. - Dlaczego chcesz iść do Jacka?

Lillian nie odpowiedziała. Spojrzała w głąb korytarza ponad ramieniem córki.

- Cześć, Joe.

- Dzień dobry, Lillian. Miło cię widzieć. - Rebeka poczuła, jak Joe obejmuje ją ramieniem w pasie. - Nie bój się, nic złego się nie stało - szepnął jej do ucha, pomagając założyć płaszcz. Odwróciwszy ją twarzą do siebie, poprawił jej kołnierz. - Idź śmiało. Niedługo się zobaczymy.

Nic z tego nie rozumiała. Nie wiedziała, jak interpretować wyraz twarzy matki, który zdradzał jednocześnie niepokój i podekscytowanie. Nim zdążyła się odezwać, Lillian otworzyła drzwi, a Joe dosłownie wypchnął Rebeke na zewnątrz.

- Mamo - zaczęła głosem ochryłym z emocji. Ze zdenerwowania zaczynało brakować jej tchu. - Możesz mi powiedzieć, skąd znasz Jacka?

- Za chwilę wszystko ci wytłumaczę.

- A nie mogłabyś zacząć już teraz?

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia, na siedząco.

- Bez przesady. Mogę powstać.

Kiedy zajrzały sobie w oczy, zauważyła, że w spojrzeniu matki pozostał wyłącznie niepokój oraz prośba o odrobinę cierpliwości i zrozumienia. Ani śladu podekscytowania sprzed kilku minut.

- Dobrze, w takim razie powiedzmy, że to ja muszę usiąść - powiedziała Lillian i ruszyła zdecydowanym krokiem przez ulicę.

Rebeka wiedziała, że Jacka i Zoey nie ma w domu. Zastanawiała się właśnie, kto im otworzy, kiedy matka sięgnęła do zamka i zrobiła to sama.

Podążając za nią do salonu, kompletnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Skoncentrowała się na Lillian, która zatrzymała się na środku pokoju i skrzyżowała ręce, kładąc sobie dłonie na ramiona.

- Nie miałam pojęcia, że nadal szukasz ojca. - Sprawiała wrażenie, jakby chciała jak najprędzej mieć to już za sobą. - Sama nie wiem dlaczego, w każdym razie wydawało mi się, że dałaś sobie z tym spokój. Od tak dawna o niego nie pytałaś... uznałam, że po prostu o nim zapomniałaś... - Wpatrując się uważnie w córkę, przeszła do sedna sprawy. - Słyszałam, że odnalazłaś Russela Levera.

Chyba jednak muszę usiąść, pomyślała Rebeka. Całe szczęście, że stanęła w pobliżu kanapy. Mogła teraz osunąć się na nią bezpiecznie.

- Joe powiedział mi, że znalazłaś mój pamiętnik. Tylko się na niego nie złość. Zmusiłam go. Kiedy przyjechał cię szukać, nie chciałam dać mu adresu, dopóki nie wyjaśni, dlaczego to dla niego takie ważne. Szczegółów dowiedziałam się od Jacka. Ale, widzisz, kochanie... - Urwała i usiadłszy obok Rebeki, odgarnęła jej włosy za ucho, tak jak robiła to kiedyś, kiedy jej córka była jeszcze małą dziewczynką.

- ...Russel Lever nie jest twoim ojcem.

Rebeka odwróciła głowę i spojrzała na matkę z niemym niedowierzaniem. Jak to możliwe? Była stuprocentowo pewna, że to on.

- Ale przecież czytałam twój pamiętnik. Wiem, że byłeś w nim zakochana.

Lillian spłotła dłonie na kolanach.

- Rzeczywiście, byłam. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Wszystkie dziewczyny szaleją za takimi jak on. Teraz wiem, że był niewiele wart. Miał mnóstwo kobiet i nigdy nie traktował ich dobrze. Kiedyś tego nie widziałam, a raczej wolałam nie przyjmować do wiadomości.

Russel Lever nie jest moim ojcem, powtarzała sobie gorączkowo Rebeka. Po długich miesiącach prób skontaktowania się z nim, po tym gdy sam temu zaprzeczył, wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Ale Jack mówi, że jestem do niego podobna.

Lillian nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Ogarnęła wzrokiem niebieskie oczy i dołek w brodzie córki.

- Nie bez powodu - oznajmiła, kolejny raz tego dnia wprowadzając ją w osłupienie. - Pewnego dnia miałam spotkać się z Russelem na przyjęciu - pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami. - Nie pojawił się, ale poznałam jego młodszego brata. Też studiował na Uniwersytecie Columbia. Zresztą, nieważne. Randall nie wiedział, że spotykam się z Russelem. Nie powiedziałam mu, bo było mi głupio, że tamten wystawił mnie do wiatru. Mimo wszystko świetnie się bawiłam. Młodszy brat odprowadził mnie do domu, a następnego dnia zaprosił na randkę. - Wzruszyła lekko ramionami. - Zgodziłam się pójść, bo był miły i odnosił się do mnie z szacunkiem. Szczerze mówiąc, nie wiem, co sobie wtedy myślałam... Dalej wszystko

potoczyło się samo... Spaliśmy ze sobą tylko raz - podjęła wątek, niespecjalnie zadowolona, że zdradza córce takie szczegóły. - Kiedy Randall dowiedział się, że jestem zadurzona w Russelu, wściekł się i rzucił mnie. Powiedział, że nie chce być substytutem brata. Kilka tygodni później dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nie spotykałam się już wtedy z żadnym z nich, ale byłam rozdarta. Nie wiedziałam, co tak naprawdę czuję do Randalla. Koniec końców nie powiedziałam mu o dziecku. Kiedy wyjechał pod koniec semestru, postanowiłam urodzić i wychować cię sama.

- Więc to brat Russela jest moim ojcem? - zapytała Rebeka, wciąż mocno oszołomiona.

- Tak, twoim ojcem jest Randall. - Zrzuciwszy ogromny ciężar z piersi, Lillian pozwoliła sobie w końcu na uśmiech. - Do wczoraj nic o tobie nie wiedział. Jack dał mi jego numer. Mieszka w New Haven i jest adwokatem.

- W jej ton wkradło się wyraźne ożywienie. - Długo był żonaty, ale nigdy nie miał dzieci. Jego żona nie... Zresztą, nieważne. W każdym razie rozmawialiśmy wczoraj kilka godzin.

Ojciec już o niej wie, uzmysłowiła sobie powoli Rebeka. Matka nie dała jej czasu na dalsze rozmyślanie.

- Chciałabyś go poznać? - zapytała ostrożnie.

- Oczywiście, że bym chciała.

- To świetnie. On też chce się z tobą zobaczyć. - Klepnąwszy córkę po dłoni, podniosła się z miejsca i wygładziła spodnie. - Zaczekaj chwilę.

- Dokąd idziesz?

- Zawołać go.

- Jest tu z tobą?

- Tak, czeka w gabinecie Jacka. Chcieliśmy się spotkać, zanim z tobą porozmawiam. Umówiliśmy się dziś rano i przyjechaliśmy razem pociągiem. Jack odebrał nas z dworca. - Zawahała się. - Wiem, że Święto Dziękczynienia to nie najlepszy moment na takie rozmowy, ale nie chciałam, żebyś nadal cierpiała z powodu Russela. Domyślałam się, jak bardzo musiałaś się poczuć dotknięta. Dlatego postanowiłam wyjaśnić ci wszystko jak najszybciej. - Uśmiechnęła się, jakby chciała prosić córkę o wybaczenie. - Zadzwoiłam do Joego, żeby dowiedzieć się, gdzie cię znajdzie. Ponieważ miałaś być bardzo blisko domu Jacka, uznaliśmy, że najlepiej będzie spotkać się u niego. Nie chcieliśmy przeszkadzać wam w obiedzie, więc zadzwonił, kiedy skończyliście jeść.

- Kto zadzwonił? Joe?

- Nie, Jack. Obaj są bardzo mili i uczynni. Polubiłam zwłaszcza Joego. Spodobało mi się, jak się o ciebie martwił.

Dopiero teraz Rebeka uświadomiła sobie, że Randall Lever jest przybranym wujkiem Jacka. A więc należą wszyscy do jednej rodziny. Wsłuchując się w stukot obcasów matki, pomyślała, że czekała na ten moment całe życie. Za chwilę spotka się z ojcem, i to tylko dzięki Joemu. Gdyby nie pojechał za nią do Nowego Jorku, wszystko byłoby po staremu...

Lillian wróciła do salonu w towarzystwie wysokiego bruneta z siwiejącymi skrońmi. Miał takie same jak Rebeka niebieskie oczy i dołek w brodzie.

- Jesteś równie piękna jak twoja mama. - Uśmiechnął się niepewnie.

- Dziękuję. - Wykrztusiła, wpatrując się w mężczyznę, który przekazał jej swoje geny.

Żadne z nich nie wykonało najmniejszego gestu, by zmniejszyć dystans. Stali wciąż w odległości kilku metrów od siebie. Może bał się ją objąć, nie wiedząc, jak zareaguje. A może nie chciał naruszać jej prywatnej przestrzeni. Przecież w ogóle się nie znali. Nic o sobie nie wiedzieli. Jej wyobrażenia o pierwszym spotkaniu z ojcem uległy w ciągu ostatnich miesięcy drastycznym zmianom, ale przecież była przekonana, że będzie miała do czynienia z kimś zupełnie innym.

Teraz, kiedy wreszcie nadszedł ten upragniony moment, nie wiedziała, czego się spodziewać ani jak się zachować. Nie wiedziała nawet, co czuje. Szczerze mówiąc, była lekko otepiała.

Starając się rozładować napięcie, Lillian stanęła między nimi i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Słyszałem, że chciałaś w dzieciństwie nauczyć się grać na skrzypcach - odezwał się Randall, przełamując lody.

Zupełnie ją tym zaskoczył. Ostatni raz myślała o swojej muzycznej pasji w wieku trzynastu lat. Chyba rzeczywiście długo rozmawiali. Mama zdążyła wiele mu o niej opowiedzieć.

- Owszem, chciałam, ale okazało się, że jestem kompletnie niemuzyczna.

- To zupełnie tak jak ja. - Przyglądał jej się już niemal otwarcie. - Ja usiłowałem opanować gitarę elektryczną, ale nic z tego nie wyszło. Myślę, że talent plastyczny w zupełności rekompensuje ci brak słuchu muzycznego.

- Nie przesadzałabym aż tak z tym talentem.

- Nie bądź taka skromna - Wtrąciła matka. - Jesteś naprawdę świetna. Powinieneś obejrzeć kiedyś jej stare rysunki - zwróciła się do Randalla. -



Mówiłam ci, że profesorowie radzili jej spróbować sił jako projektantce, ale wolała pisać.

- Moja siostra... to znaczy twoja ciotka - poprawił się - jest malarką. Wystawia swoje prace w kilku galeriach. Myślę, że miałybyście o czym rozmawiać. Powinnyście się kiedyś poznać.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas o jej planach na przyszłość, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do domu wszedł Jack. Zauważywszy ich w salonie, pospiesznie omiół wszystkich troje badawczym spojrzeniem.

- Przepraszam. - Sądząc po jego minie, nie spodziewał się zastać ich w tym miejscu. - Nie chciałem wam przeszkadzać, ale mój mały oblał sobie mlekiem całą koszulkę. Wezmę mu tylko coś na zmianę i znikam.

- Nie ma sprawy - uspokoił go wujek, uśmiechając się swobodnie.

- Wszystko w porządku? - Nie potrafił opanować ciekawości Jack.

- Jak najbardziej.

Odetchnął z wyraźną ulgą.

- Cieszę się. Angela prosiła, abym wam przypomniał, że jesteście zaproszeni na deser. Reszta towarzystwa wie tylko, że przyjechała mama Rebeki, a mnie odwiedził wujek. Będziecie naprawdę mile widziani - zwrócił się do wujka i Lillian. - To nasi znajomi z sąsiedztwa. Bardzo mili ludzie. Na pewno się polubicie.

Randall sprawiał wrażenie zrelaksowanego, ale nie chciał narzucać im dłużej swojego towarzystwa. Może uznał, że lepiej będzie, jeśli da im czas na ochłonięcie.

- Czy jesteś pewien, że to nie problem? - zapytał z wahaniem. - Co o tym myślisz, Lillian? Miałabyś ochotę uczcić Święto Dziękczynienia? A raczej to, co z niego zostało?

Jej uśmiech wystarczył mu za odpowiedź.

- Rebeko? Masz coś przeciwko temu, żebyśmy poszli z wami?

- Ależ skąd.

Miała za co dziękować. Pierwszy raz w życiu spędzi święto z obojgiem rodziców. Nadal wydawało jej się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. W dodatku właśnie dziś zdała sobie sprawę, że jest zakochana w mężczyźnie, dzięki któremu jej spotkanie z ojcem stało się możliwe. Joe spełnił jej największe marzenie. Teraz rozumiała już, dlaczego on i Zoey dziwnie się zachowywali i unikali jej pytań. To miała być niespodzianka.

- Powinnaś wiedzieć - szepnął jej do ucha Jack, kiedy kilka minut później szli za Lillian i Randallem w stronę domu Angeli - że Russel nigdy nie zapytałby was o zdanie. Zrobiliby to, co sam uznaliby za stosowne. Wujek to naprawdę porządny gość. Masz szczęście. Trafił ci się na ojca zdecydowanie lepszy brat.

## Rozdział 12

Rebeka stała, wyglądając przez okno w domu Joego. Śnieg, który spadł w Święto Dziękczynienia, już stopniał, ale sądząc po kolorze nieba, zanosilo się na kolejną nawałnicę.

Przyglądała się z daleka rodzicom zbliżającym się ścieżką od strony lasu. Matka trzymała w ręce torbę, zapewne wypełnioną szyszkami, po które się wybrali. Randall niósł naręcze świerkowych gałęzi do udekorowania kominka. Nie obejmowali się, ale szli bardzo blisko siebie.

Odkąd tydzień temu poznała ojca, rozmawiała z nim dwa razy przez telefon. Najpierw zadzwonił z pytaniem, czy może przyjechać do Rosewood i zabrać ją na kolację, żeby mogli się trochę lepiej poznać.

Wczoraj zatelefonował drugi raz. Zakomunikował, że przyjeżdża też mama i w związku z tym trzeba zmienić rezerwację.

Pojawili się kilka godzin wcześniej, akurat kiedy miała się spotkać z Joem, który kilka dni temu poprosił ją, żeby pomogła mu wybrać bożonarodzeniową choinkę. Wybrali się zatem na zakupy razem i na kolację też zamierzali pójść we czwórkę.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Od tygodni próbowała zaciągnąć Joego do Entree. Niestety, ciągle był zbyt zavalony pracą. Bailey wyglądał razem z nią przez okno, opierając się przednimi łapami o parapet. Reks podreptał za swoim panem do garażu w poszukiwaniu bombek i lampek do udekorowania drzewka. Cieszyła się, że ma przy sobie rodziców, a przede wszystkim, że jest znowu z Joem.

Nie widzieli się od czwartku, kiedy po imprezie u Angeli odprowadził ją i jej gościa do domu. Zaprosił go do środka, ale odmówił, twierdząc, że powinna spędzić trochę czasu sam na sam z matką. Chciała wierzyć, że usunął się w cień, bo jak zwykle miał na względzie jej uczucia. Nie była jednak do końca pewna, czy postanowił dać jej trochę swobody, czy też sam potrzebuje dystansu.

Usłyszała za plecami przesuwanie pudeł po podłodze i odgłos kroków. Po chwili Joe stanął obok niej i Bailey.

- Wygląda na to, że dobrze się dogadują - odezwał się, mając na myśli Randalla i Lillian.

- Prawda? Też to zauważyłam. Wydaje mi się, że bardzo się lubią.

Jej mama nigdy nie wyglądała na tak szczęśliwą, jak w towarzystwie mężczyzny, którego znała niegdyś tylko przelotnie. Coś się między nimi narodziło, i to po tylu długich latach.

- Nawet nie wiem, jak ci dziękować - mruknęła, nadal nie mogąc uwierzyć, że w końcu dane jej było poznać ojca, który w dodatku chciał pozostać w jej życiu.

- Nie masz za co dziękować.

- Oczywiście, że mam. Gdyby nie ty, nie bylibyśmy tu dziś wszyscy razem.

Kątem oka zauważyła, że wyciąga rękę w jej stronę. Dotknął delikatnie jej podbródka i odwrócił twarzą ku sobie.

Spojrzał na nią uważnie. Miała wrażenie, że przygląda się jej, odkąd się tego dnia spotkali.

- Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

Cały on, pomyślała, posyłając mu czuły uśmiech. Jak zwykle trafił w sedno.

- Chyba powoli oswajam się z sytuacją.

- A co sądzisz o ojcu?

- Jest w porządku. Dokładnie tak, jak mówił Jack. Skinął głową w stronę pary za oknem.

- Cieszysz się, że prawdopodobnie się zejdą?

- Nie wiem - przyznała otwarcie, marząc o tym, żeby Joe wreszcie ją objął. Tęskniła za tym od tygodnia. - To bardzo romantyczne, ale dla mnie najważniejsze jest, żeby mama była szczęśliwa.

- To bardzo rozsądne i odpowiedzialne podejście.

- Cóż, staram się. - Spojrzała w jego roześmiane oczy. - Nie chcę, żebyś myślał, że rozklejam się co chwila tak jak wtedy, kiedy przyjechałeś po mnie na Manhattan.

Wciąż było jej z tego powodu wstyd. Szczerze mówiąc, miała nadzieję, że już zapomniał, w jakim stanie znalazł ją w mieszkaniu Cindy.

- Dobrze, że o tym wspomniałaś - powiedział, chowając ręce do kieszeni. Sprawiał wrażenie całkowicie zrelaksowanego, choć wyczuwała w jego głosie pewne napięcie. - Przypomniało mi się, że chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Zastanawiałaś się już, co chcesz dalej robić? To znaczy, zamierzasz wyjechać czy zostać w Rosewood?

Jej spokój prysnął jak bańka mydlana. Że też musiał wspomnieć o tym akurat teraz. To była ostatnia rzecz, o jakiej miała w tej chwili ochotę rozmawiać.

Odwróciła się od okna i rozejrzała po pokoju. Jeśli chodzi o Joeego, do tej pory zachowywała się podobnie, jak robią to zwierzęta. Powiedział jej kiedyś, że w ich świecie istnieje tylko przeszłość i teraźniejszość. Nie znają pojęcia przyszłości. Odkąd uświadomiła sobie, że go kocha, żyła wyłącznie chwilą obecną. W Święto Dziękczynienia spotkały ją także inne dobre rzeczy... Chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie te nowe, nieznane uczucia.

- Podobno mieliśmy ubrać choinkę.

- Ubierzemy, jak wrócą Lillian i Randall. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

„Powinniśmy porozmawiać”, słyszała to już zbyt wiele razy. To zdanie nigdy nie wróżyło niczego dobrego. Nic dziwnego, że ogarnęły ją nagle złe przeczucia.

- Proszę cię, Joe. Nie teraz. Jest tak miło, nie psujmy tego.

Milczał przez chwilę, a kiedy się ponownie odezwał, w jego głosie wyczuwało się ostrożność, jakby stąpał po cienkim lodzie.

- Dlaczego sądzisz, że rozmowa miałaby cokolwiek popsuć?

- Joe, proszę cię.

- Ale o co mnie prosisz? Nie rozumiem, czego się boisz. Co takiego straszego mielibyśmy sobie powiedzieć?

W odpowiedzi potrząsnęła uparcie głową. Nie dając łatwo za wygraną, podszedł bliżej, skracając między nimi dystans.

- Chcę się tylko dowiedzieć, czy myślałaś o pozostaniu w Rosewood. Czy to takie dziwne? Niedługo kończy ci się umowa najmu. Masz tylko miesiąc, żeby podjąć ostateczną decyzję. Jeśli planujesz zostać, powinnaś rozejrzeć się za nowym lokum.

- Ach, więc o to ci chodzi - odetchnęła z ulgą.

Zmrużył powieki, wpatrując się w nią z napięciem.

- A myślałaś, że o co?

- Bałam się, że...

Urwała w pół zdania, uzmysłowiwszy sobie, do czego zamierzała się przyznać. Przez moment myślała, że Joe powie to, czego tak bardzo się obawiała. Nie była na to gotowa. Jeszcze nie teraz. Może uznał, że sprawy przybrały zbyt poważny obrót. Może doszedł do wniosku, że ona traktuje ich związek zbyt serio, i chciał zobaczyć się z nią tylko po to, żeby dać jej to delikatnie do zrozumienia. Dobrze ją znał. Mógł przecież domyślić się jej uczuć.

Z drugiej strony, myślała gorączkowo, nie zrywałby z nią chyba podczas ubierania choinki? Chociaż, właściwie czemu nie? Jason rzucił ją po romantycznym wieczorze w kinie, a Jack oznajmił jej, że między nimi koniec, kiedy zastanawiała się, co włożyć na randkę z nim.

Joe znaczył dla niej znacznie więcej niż tamci. Uświadomiła też sobie, że nigdy nie będzie dostatecznie gotowa na to, żeby go stracić. Na coś takiego nie można się przygotować. Nie chciała nawet o tym myśleć.

- Nie zamierzałem cię naciskać. Chciałem tylko wy badać, ile mam czasu.

- Czasu? - powtórzyła zdezorientowana. - O czym ty mówisz?

- O nas. - Zauważyła, że zacisnął szczękę. - Gdybyś powiedziała, że zostajesz, zaproponowałbym ci pomoc w znalezieniu nowego mieszkania, a gdybyś skłaniała się ku wyjazdowi, próbowałbym ci to wyperswadować.

Zaniemówiła z wrażenia.

- Nie chciałeś ze mną zerwać?

Joe poczuł, że odpływa z niego całe napięcie. Przez nieskończenie długie minuty sądził, że zmarnuje Rebecę dzień, wyznając jej swoje uczucia.

Ostatnio myślał o niej niemal bez przerwy. Towarzyszyła mu wszędzie - w pracy, w domu, na spacerze z psami. Nawet kiedy spał, śnił o niej. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna przeżywa trudny okres. Najpierw sprawa z Russelem, potem pojawienie się Randalla. Wiedział, że musi sobie to wszystko poukładać, ale kiedy nagle, podczas obiadu u Angeli, zaczęła zachowywać się wobec niego dziwnie - do końca wieczoru nie chciała spojrzeć mu w oczy - doszedł do wniosku, że powinien się na jakiś czas wycofać. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, może stracić ją na zawsze.

Zakochał się w niej. Nie wiedział nawet, kiedy. To się mogło stać kiedykolwiek; gdy opowiedziała mu o ojcu albo gdy rzuciła mu się na szyję w drzwiach mieszkania Cindy. Być może przepadł już w dniu, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy u siebie w klinice. Nieważne, że nie planował w najbliższym czasie małżeństwa ani nawet stałego związku, z kimś takim jak ona nie dało się niczego zaplanować.

Trzymał się od niej z daleka tylko dlatego, że nie chciał obarczać jej dodatkowym stresem. Jej emocje i tak zostały wystawione na ciężką próbę.

Gdyby przyszło mu do głowy, że zinterpretuje jego nieobecność jako zapowiedź ucieczki, natychmiast zapukałby do jej drzwi.

Nigdy nie potrafił przewidzieć, jak Rebeka zareaguje na daną sytuację. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się do końca ją poznać. Pewnie już zawsze będzie go fascynować.

Zajrzał jej w oczy, próbując odczytać myśli z wyrazu twarzy. Miała nienaganny makijaż i wyglądała jak zwykle ślicznie, ale przypatrywała mu się równie ostrożnie i powściągliwie jak on jej.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chcę z tobą zerwać?

- Pomyślałam, że cię wystraszyłam.

Położył jej dłoń na karku. Nie potrafił dłużej się powstrzymać.

- Czym?

- Mnóstwem rzeczy. Mam wymienić wszystkie?

- Wystarczy, jeśli wymienisz tę najważniejszą.

- Tego akurat nie mogę zrobić.

- Czemu nie?

- Bo wtedy na pewno byś się wystraszył i uciekł - zniżyła głos - a tego bym nie chciała.

- Wolisz, żebym był w pobliżu?

Jego uśmiech i dotyk dodały jej odwagi.

- Zdecydowanie tak - oznajmiła bez wahania.

- W takim razie - mruknął, obejmując ją w talii wolnym ramieniem - obiecuję, że nigdzie się nie ruszę, pod warunkiem że mi powiesz, co takiego straszego zrobiłaś, że aż miałem wziąć nogi za pas.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe, kiedy przyciągnął ją do siebie.



- To wcale nie jest straszne. No, może tylko trochę... przerażające.  
Roześmiał się i pocałował ją lekko w usta.

- Hmm, ciekawe. - Wodził wargami po jej policzku i skroni. Zawsze, gdy jej dotykał, czuła się niezwykle ważna, niemal uwielbiana. Tęskniła za nim i za jego pocałunkami. - No więc, co takiego przeszkrobałaś?

- Zakochałam się w tobie. - Zebrała się na odwagę, bo trzymał ją w ramionach.

Joe kompletnie znieruchomiał, jakby zastygł mu w ciele każdy mięsień. Przez moment chyba nawet nie oddychał.

- Nie oczekuję, że ty też mnie pokochasz - dodała pospiesznie. Coś jej mówiło, że trzyma go teraz w miejscu tylko jego własne słowo. Obiecał przecież, że nie ucieknie. - Niczego od ciebie nie oczekuję i nie wymagam. Stałeś się dla mnie kimś wyjątkowym. Nie mogłam nic na to poradzić. Samo tak jakoś wyszło. To znaczy próbowałam z tym walczyć...

- Ja też cię kocham.

Tym razem to ona zamarła w bezruchu, po czym potrząsnęła głową.

- Nie musisz mówić, że mnie kochasz, tylko dlatego, że ja przed chwilą powiedziałam to tobie.

- Mówię to, bo tak czuję..

- Daj spokój, Joe.

Chwyciwszy ją za ramiona, schylił głowę i zajął jej w oczy.

- A więc nie wierzysz, że się w tobie zakochałem? Dlaczego?

Bo to zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe. Bo mężczyźni często mówią to, co kobiety chcą od nich usłyszeć. Bo pragnęła tego jak niczego na świecie.

- Zaczekaj chwilę. - Odwrócił się i odszedł kilka kroków. - Nigdzie się nie ruszaj.

Wyszedł na moment z pokoju, by po chwili wrócić z niebieskim pudełeczkiem w ręce.

- Między innymi po to pojechałem w święto do rodziców. Gdyby nie to, mama nieźle zmyłaby mi głowę, że tak szybko pognałem z powrotem do Rosewood. - Stał przed nią i uchylił wieczko, ukazując złoty pierścionek z brylantami. - Należał do mojej prababci. Nie byłem pewien, kiedy nadejdzie właściwy moment, żeby ci się oświadczyć, ale zabrałem go na wszelki wypadek. Chciałem go mieć cały czas w zasięgu ręki.

Nie była w stanie wykrztusić słowa. Rzadko zapominała języka w ustach, ale szczęście i niedowierzanie odebrały jej mowę.

Pierścionek był przepiękny. Trochę staroświecki, ale dzięki temu oryginalny.

- Wiem, że jest stary, ale jeśli chcesz, możemy go przerobić.

Nawet przez myśl by jej nie przeszło, żeby go zmieniać. Był w rodzinie od lat, przechodził z pokolenia na pokolenie. Brakowało jej tchu. Joe naprawdę ją kochał.

- Mówiłem już, że nie chcę cię naciskać, ale chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Nigdy w to nie wątp. Dobrze? - Podszedł bliżej.

- Dobrze - odparła przez zaciśnięte gardło.

- Czyli mogę przyjąć, że dobrze się zrozumieliśmy?

Zdażyła tylko skinąć głową, zanim porwał ją w ramiona i zaczął całować. Czowała w tym pocałunku ogromną ulgę, ale i obietnicę. Kiedy wreszcie uniósł głowę, nogi zaczynały odmawiać jej posłuszeństwa. Nie bez satysfakcji spostrzegła, że on też ma trudności z oddychaniem.

- Teraz jestem pewien, że się rozumiemy - mruknął zadowolony.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

- Jakie?

- Kiedy planujesz mi się oświadczyć?

- Kiedy tylko będziesz gotowa - odparł bez wahania.

Zachęcona jego płomiennym spojrzeniem, wzięła głęboki oddech.

- Myślę, że już jestem gotowa.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Odwrócił głowę, kiwając w stronę psów.

- Zdajesz sobie sprawę, że Bailey i Reks są częścią umowy przedślubnej?

- Mam nadzieję.

- Pewnie dojdą jeszcze inne zwierzaki. Dla dzieci, ma się rozumieć.

Serce zabiło jej mocniej. Mówiła mu kiedyś, że chce mieć dzieci.

- Ile?

- Dwójka?

- Zwierzaków?

- Nie, dzieci.

- Ja chciałabym troje.

- Będziemy negocjować. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- W takim razie - zaczął poważnym tonem - wyjdiesz za mnie?

- Tak - odparła szeptem, przyglądając się, jak wsuwa jej pierścionek na palec.

Przez chwilę wpatrywała się w złoto i brylanty, potem spojrzała na Joego i zarzuciła mu ręce na szyję. Nagle poczuła, że jest w domu. Jej miejsce było w Rosewood, wśród przyjaciół, a co najważniejsze - u boku Joego. Zamierzała mu o tym powiedzieć, kiedy oderwał od niej usta i przytulił się do jej policzka.

- Nie jesteśmy sami - szepnął jej do ucha.

Odwróciła się. W drzwiach pokoju stali jej mama i niedawno poznany ojciec. Randall obejmował Lillian ramieniem. Oboje się uśmiechali. Rebeka również nie potrafiła powstrzymać promiennego uśmiechu, gdy podeszli bliżej i pokazała im, co dostała od Joego. Kiedy stali tak we czwórkę, nareszcie zrozumiała, co znaczy mieć rodzinę. Odnalazła swoje szczęście przy mężczyźnie, który okazał się tym jedynym, choć kiedyś wydawali się sobie zbyt różni, by cokolwiek mogło ich połączyć.

RS